152735.

SZKICE Z PRZESZŁOŚCI.

Zebrał

Stach z nad Dniestru.

Stach z nad Dniestru.
Dniestrzańska Stanisława.

Sambor.
Nakładem drukarni J. Czaińskiego.
1883.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

285971 24

Ostatnie lata
Stanisława Augusta.

Z pamiętnika J. Sagatyńskiego.

Kapitulacya Warszawy. Wyjazd do Grodna. Abdykacya.

Po nieszczęśliwej bitwie pod Maciejowicami (dnia 1. Paźdz. 1794) i zdobyciu Pragi przez Rosyan, powstała w Warszawie okropna trwoga; lud pogrążony w największej rozpaczy, przeciągał ulice, napełniając powietrze ciężkiem wzdychaniem i płaczem a wszystko garnęło się do królewskiego zamku. Cały dziedziniec, wszystkie korytarze i pokoje były przepełnione ludem obojej płci i wieku z swem mieniem i kosztownościami, jakie kto mógł z sobą unieść, bano się albowiem aby Warszawę podobny los nie spotkał, jak Pragę, gdzie 16.000 mieszkańców obo-

jej płci bez względu na wiek wycięto, i dlatego do zamku pod protekcyę króla Stanisława Augusta wszyscy się cisnęli. Kto się niemógł pomieścić w zamku chronił się do pałaców przez ambasadorów zagranicznych zamieszkałych, i każdy oczekiwał z trwogą nastąpić mających ostateczności, a to tem smutniejszych, że wysłana deputacya na Pragę do Suwarowa dla umówienia warunków kapitulacyi, z niczem powróciła, otrzymawszy od niego tylko tę odpowiedź że ich niezna i znać niechce i że z miastem buntowniczem w żadne umowy wchodzić nie będzie, li tylko z królem samym. Znakomitsi obywatele miasta udali się więc do Stanisława Augusta, błagając go, aby ratował stolicę. Król i jednej chwili nie wachał się: natychmiast posłał z swojej strony pełnomocników dla umówienia kapitulacyi, której najpryncypalniejsze warunki były: aby Kozacy nie wchodzili do miasta, i ażeby osoby i ich majątki były ubezpieczone od gwałtów. Suwarów przyrzekł dopełnić te warunki, i wszedł niebawem na czele wojska swego do Warszawy, gdzie natychmiast udał się do króla, dla złożenia mu swego uszanowania.

W kilka tygodni nadszedł kuryer z Petersburga od Katarzyny II. przywożąc depeszę królowi, zawierającą życzenie imperatorowej, aby król udał się do Grodna dla czego i na jak długo, lub w jakim celu? — żadnej o tem nie było wzmianki. Niemało zdzi-

wiło króla, co ta podróż ma znaczyć: niespodziewał się bowiem, aby na zawsze miał opuścić Warszawę. Miotany tą niepewnością, uledz jednak musiał okolicznościom. Już na drugi dzień przybył Suwarów do króla, zapytując się, jak prędko zamyśla się puścić w podróż aby potrzebne do tego wydał rozporządzenia.

„Będę się starał jak najspieszniej uskutecznić życzenia cesarzowej, odpowiedział król, lecz kasa moja jest w tym momencie za szczupłą, aby tę podróż zaraz przedsięwziąć.“

„Mam rozkaz od cesarzowej, rzekł Suwarów, wszystko, cokolwiek Wasza Królewska Mość zażądasz uskutecznić natychmiast; czekam więc tylko Jego dalszych rozkazów.“

Po zaopatrzeniu tedy kasy królewskiej potrzebnemi pieniądzmi, zaczęto się wybierać w drogę. Król wymienił osoby, które z nim jechać miały, co niemal połowę dworu wynosiło. Nadszedł nakoniec dzień wyjazdu. Smutny a zarazem i bolesny był to widok gdy pojazdy zaszły na dziedziniec zamkowy. Ostatni z królów opuszczał stolicę swoją, by ją zostawić nieprzyjacielowi. Mnóstwo ludu, nadewszystko reszta pozostałego dworu, ze łzami w oczach i ponurem milczeniu stała przy bramie zamkowej, aby pożegnać pana, od którego w czasie swej służby same tylko dobrodziejstwa odbierała.

Przyjechawszy Stanisław August do Grodna,

dodany mu tam został jenerał Rosyjski, hrabia Bezborodko w znaczeniu marszałka dworu, a między innemi i niejaki Fryze, jako sekretarz gabinetowy. Gwardya Rosyjska, sprowadzona umyślnie, pełniła służbę u dworu, i asystowała królowi konno w każdym jego wyjeździe, czy to na spacer czyli gdzie w odwiedziny. Żył tam tedy bez wszelkiej okazałości, trawiąc czas najwięcej na czytaniu gazet i pisaniu w swoim gabinecie, od którego klucz starannie przy sobie chował, przyjmując niekiedy osoby ze zwykłą sobie uprzejmością. Rzadko atoli kiedy był w wesołym humorze, zawsze pewien rodzaj zamyślenia i smutku przebijał się w jego twarzy, gdy go przytem łagodność jego charakteru i dobroć serca nigdy nieodstępowały, albowiem i teraz jeszcze biednych i zrujnowanych do niego się uciekających, wspierć niepoprzestawał. Tak pędząc jednostajne życie i nie mając już żadnej nadziei polepszenia losu, złożył koronę dnia 25 Listopada 1795 r. a to w samą rocznicę wstąpienia na tron przed trzydziestu laty, zamyślając resztę dni życia swojego zakończyć w Rzymie. Odniosłszy się w tym celu do imperatorowej Katarzyny, i zapewnie pomyślną zyskać musiał odpowiedź, albowiem uczynił już rozporządzenia przez księcia Poniatowskiego, mieszkającego w Rzymie, dla zakupienia tamże pałacu; gdy oto nagła i niespodziewana śmierć Katarzyny w niwec obróciła te jego

zamiary. Paweł skoro tylko objął berło cesarskie, tak natychmiast przysłał przez kuryera list własnoręczny uprzejmie napisany, zapraszający Stanisława Augusta dla zjechania do Petersburga.

Pobyt w Petersburgu.

Wahał się Stanisław August i długo namyślał, jak sobie ma postąpić, gdyż z upragnieniem życzył sobie zamieszkać w Rzymie. Przedstawienia jednakże osób poufnych i rodziny, zmieniły nareszcie zamysł króla i zdecydował się udać do Petersburga. Po dwuletnim pobycie w Grodnie, nastąpił więc czas wyjazdu, w który to dzień grono licznych obywateli przyszło go pożegnać, życząc mu szczęśliwej podróży, a bardziej jeszcze pomyślniejszego powrotu. Z twarzą na której widocznie malowała się żałość bolesna i smutek, wsiadł do powozu i odjechał dokąd go wezwano.

Zbliżając się do stolicy Carów, na ostatniej stacyi spotkali Stanisława Augusta różnej rangi jenerałowie i wyżsi urzędnicy dworu, wysłani od cesarza dla powitania i wprowadzenia go do miasta, u bramy zaś samej Wielki Książe Aleksander i Konstanty konno, otoczeni wielką świtą jenerałów i adjutantów, uprzejmie powitali króla. Aleksander zbliżywszy się do karety królewskiej, rzekł doń w języku francuzkim:

„Najjaśniejszy cesarz ojciec mój, włożył na mnie ten nader przyjemny obowiązek, oświadczenia W. K. Mości, iż pomiędzy szczęśliwe chwile życia swego policza ten dzień, w którym W. K. Mość przybywasz jako dostojny gość do jego stolicy, a tem samem dajesz mu sposobność, nietylko najprzyjemniejszego powitania siebie, ale nadto okazania sobie, tego wysokiego szacunku, z jakim Jego Ces. Mość zostaje dla W. K. Mości.“

Po tym komplemencie asystował cesarzewicz konno przy karecie królewskiej przez całe miasto, pośród tłumu ludu aż do cesarskiego zamku.

Paweł przyjął gościa swojego, wyszedłszy na przeciw niemu aż do pierwszych pokojów jak najuprzejmiej, a wprowadzając go do swego gabinetu, po dość długiej rozmowie, wsiadł z Stanisławem Augustem do pojazdu, i odjechał wraz do pałacu zwanego marmurowym, gdzie już odwach ze sztandarem i mnóstwo jenerałów i urzędników przy drzwiach pałacowych oczekiwało króla, na którego przybycie uderzono w bębny i muzyka rogowa zagrzmiała. Po rozlokowaniu się w swem nowem pomieszkaniu, przybyli ambasadorowie Angielski, Austryacki, Pruski, Francuzki i Szwedzki na pokoje króla dla powitania go, również i panowie Polscy znajdujący się podówczas w Petersburgu, dla złożenia mu swego uszanowania. W parę dni później odwiedził

cesarz Paweł dostojnego gościa z całą swą rodziną a odchodząc, zaprosił go do siebie na obiad; która to grzeczność później w tygodniowy się zwyczaj zamieniła, gdy nawzajem król Stanisław August co niedzielę i czwartek obiady dawał, na które cesarz, W. książęta, ambasadorowie zagraniczni i panowie Polscy zapraszani bywali. — Paweł pamiętny niegdyś świetnego i uprzejmego przyjęcia swego od króla w Warszawie, okazywał ku niemu przy każdej sposobności jawne dowody szacunku i poważania, często po parę godzin sam na sam przesiadywali z sobą w gabinecie, i w każdym nadto razie starał się uprzedzać imperator swoją życzliwością króla, a nawet i w samej istocie był mu powolnym; bowiem i w najgwałtowniejszym wybuchu gniewu, najłatwiej tylko za pośrednictwem królewskim dał się ułagodzić. Na dowód czego następujący wypadek. W Wilnie wykryty został jakowyś spisek, na którego czele stał niejaki Pociej. Paweł rozkazał przywieść go do Petersburga i w pierwszym impecie wydał nań surowy wyrok, skazując nieszczęśliwego na knuty. Stanisław August dowiedziawszy się o tem, pospieszył natychmiast do cesarza, a chociaż go zastał w najsroższym humorze, wyjednał dla Pocieja nawet więcej aniżeli się sam spodziewał; bo nietylko że wyrok został cofniętym, ale nadto udarował go Paweł wolnością i pozwolił mu spokojnie odjechać do dóbr

swoich. — W czasie koronacyi Pawła, zaproszonym był Stanisław August do Moskwy, gdzie zjechawszy się z Ludwikiem XVIII. Burbonem, później królem Francuzkiem, tamże przez przeciąg całego obrzędu koronacyjnego, jak też i świetnych balów widział się Stanisław August w przynależnej mu godności być zawsze odszczególnionym. Ciągle tym sposobem doświadczał król od Pawła do najwyższego stopnia posuniętych grzeczności, w pośród których, chcąc go rozerwać, zapraszał go to do Kataryna, to do Carskiego-Sioła, to znów do Petrohofu, gdzie obok imperatora najmilsze mógł przepędzać chwile; chcąc mu tą wysoką uwagą, uprzedzającą życzliwością i wszelkiego rodzaju przyjemnościami ciężar utraconej korony wynagrodzić. Nic Pawła nie uszło baczności: wiedział albowiem, że Sztakelberg za panowania jego matki, będąc ambasadorem w Warszawie, nieznośnie imponował królowi, przeznaczył go właśnie, a to na upokorzenie jego wyniosłej dumy z rozkazem pełnienia służby szambelana w pałacu Stanisława Augusta. Posłuszny woli cara, a więcej jeszcze lękając się gniewu jego, udał się Sztakelberg natychmiast do dworu królewskiego na wskazane mu miejsce przeznaczonej służby, lecz król, który nigdy niemiał ducha zemsty, do niczego nowo przybyłego szambelana nie używał i obchodził się z nim jak najgrzeczniej.

Śmierć i pogrzeb króla w Petersburgu.

Dnia 1. Stycznia 1798 podług kalendarza naszego, przybył imperator do króla, powinszować mu osobiście nowego roku, a wszedłszy z nim do gabinetu, blizko 2 godzin sam na sam zostawali; poczem powrócił Paweł do siebie, Stanisław August zaś wyszedł na pokoje, gdzie mnóstwo osób się znajdowało. Pierwszy raz po wyjeździe z Warszawy, ujrzano twarz króla wypogodzoną, na której się niejaka radość i pewne zadowolenie malowały. — Głęboko zamyślony przechadzając się podwójnym krokiem po sali, rzekł nakoniec z wyrazem pełnym znaczenia do przytomnych:

„Przecież uprzykrzyło się losowi nas dłużej prześladować, w krótce będziem oglądać Warszawę, jako stolicę zwróconej nam ojczyzny, a znaczenie imienia polskiego znowu w całym swym blasku zajaśnieje.“

Słowa te króla powszechne na otaczających go sprawiły wrażenie; radość uderzyła na wszystkich twarzach, jeden tylko Fryze, będąc przy tem obecny czoło swoje zmarszczył i spojrzawszy po przytomnych okiem pełnym chytrości, szydersko się uśmiechnął i spiesznie wyszedł. Prosto udał się do Luchesiniego ambasadora Pruskiego, dając mu wiedzieć, co słyszał z ust królewskich. Tenże nieomieszkał natychmiast

króla swego o intencyi imperatora Pawła zawiadomić; bowiem było to niezawodną rzeczą, iż cesarz Rosyi zamyślał szczerze o przywróceniu bytu królestwa Polskiego, i tę myśl objawił królowi.

Stanisław August ciągle był w dobrym humorze, a niebyło i jednego z dworzan jego, któryby niepodzielał tej radości. Kilkadziesiąt listów odeszło do Warszawy; ten uwiadomił ojca i krewnych, drugi przyjaciela, inni swoich znajomych, a każdy donosił o tej nadzwyczajnej i nigdy niespodziewanej wiadomości. Te tak zajmujące wszystkich serca nadzieje, tę niecierpliwie oczekiwaną przyszłość, do której wszyscy zarówno wzdychali, przerwała w tem nagła i niespodziana śmierć króla, zmieniając cały stan rzeczy. Dnia 12 Lutego 1798, wstał Stanisław August jak zawsze rano, i wypił zwyczajną filiżankę bulionu, czując się do 10tej jeszcze zupełnie zdrowym. Około południa zaczął się już użalać, że mu coś niedobrze. W godzinę później, czuł się być bardziej słabszym i zawezwał Beklera, przybocznego lekarza swego. Bekler dotknąwszy się pulsu, upuścił krwi, poczem jeszcze gorzej było królowi. Cesarz Paweł uwiadomiony o nagłej słabości Stanisława Augusta, przybył natychmiast do pałacu, lecz już wówczas król utracił mowę i leżał bez przytomności. Podano mu z rozkazu zasmuconego tym wypadkiem cesarza papier i pióro, lecz już żadnej władzy niemiał a pióro

wypadło mu z ręki. — Wkrótce nastąpiły konwulsye, które coraz bardziej wzmagając się, aż do 10 godziny w nocy trwały; a w pół do jedynastej przerwały pasmo dni jego. Paweł nieodstępował króla ani jednej chwili, w twarzy jego widoczne uważano pomieszanie z najszczerszym połączone żalem. Natychmiast też opieczętowano gabinet, w którym Stanisław August zwykł był pisywać, a dwóch grenadyerów gwardyi postawiono u drzwi jego z rozkazem, aby się nikt nie ważył dotknąć pieczęci. Nazajutrz z polecenia cesarza zrobiono sekcyę, po której wieść puszczono, że uderzenie wody o mózg, stało się przyczyną tak nagłej śmierci króla. Bekler atoli wezwany do cesarza, nie wahał się wyjawić rzeczywisty powód śmierci, sądził on bowiem, że subtelny rodzaj trucizny, zwany Aqua Tofana, którego ciężko i trudno znaków dostrzedz, gdyż śladu po sobie nie zostawia, musiał być zadany w bulionie. Zaczem w skutek tego oświadczenia lekarza, nastąpiło też i najsurowsze śledztwo, mnóstwo osób powzięto pod inkwizycyę. Najprzód tę, która wydawała mięso i zwierzynę, dalej drugą, co korzenie; nuż kucharza i kuchcika, wreszcie lokaja, który wynosił z kuchni i oddawał kamerdynerowi, a ten postawiwszy w przedpokoju filiżankę na stole, gdzie się kilka osób zawsze znajdowało, wchodził do króla, dla uwiadomienia go, że bulion już gotowy: słowem

przez kilka rąk, nim się do ust królewskich dostał. Każden się tłumaczył, jak mógł, i na tem też musiano poprzestać.

Drugiego dnia po śmierci króla przybył Paweł znowu do pałacu, i rozkazał w swej przytomności otworzyć zapieczętowany gabinet, gdzie wszystkie papiery zebrano, opieczętowano, i do cesarskiego pałacu zaniesiono. — Na sali audyencyonalnej, obitej żałobą, ustawiono trumnę na wspaniałym katafalku, w której złożono zwłoki królewskie, ubrane w mundur gwardyi koronnej i ozdoby orderu białego orła. Z wierzchu przywdziane płaszczem karmazynowym obłożonym gronostajami i w koronie na głowie, którą cesarz w asystencyi różnej rangi otaczających go osób, sam włożył królowi na głowę, zaś szambelanowie, pazie i leibgwardya imperatorska, stała na gradusach katafalku, zmieniając się co godzina. Cała stolica przez dni kilkanaście była w nadzwyczajnym ruchu, a każdy spieszył odwidzieć ciało. Wtem nadszedł dzień pogrzebu, na który wszyscy Polacy, znajdujący się w Petersburgu, byli zaproszeni. Cesarz Paweł przybył z wielkim orszakim do sali i pokropiwszy ciało wodą święconą, dał znak po odprawieniu modlitwy do wyprowadzenia go do kościoła katedralnego, gdzie przepyszny katafalk i różne ozdoby pogrzebowe przyrządzono. Garnizon składający się z 20.000 wojska i cała gwardya, for-

mowały szpaler uliczny od pałacu aż do kościoła, gwardye zaś konne, postępowały przed i za trumną. Cesarz wraz z synami na czele licznej świty jenerałów i dygnitarzy swojego państwa, szedł tuż za konduktem. Wszystkie pojazdy nieboszczyka króla w sześcio-konnym uprzężu, obite czarnym kirem, jako też konie wierzchowe świty dworskiej i inne, okryte czarnemi kapami z koroną i herbami królewskiemi, zwolna postępowały za karawanem. Kościół cały obleczono wewnątrz czarnem kirem i rzęsisto oświetlono, w pośród którego wznosił się najwspanialszy na gradusach ustawiony katafalk, którego wysokie kolumny pokrywał kosztowny baldachin, ozdobiony u szczytu polską koroną. Słowem cały obrzęd pogrzebowy odbył się z największą wspaniałością, jaka tylko przynależała godności monarszej.

Tak dokonał życia ostatni z Piastów z żalem i boleścią tych, co go bliżej znali, na obcej ziemi, a której władca i po zgonie nieszczędził dowodów czci i poważania, jakiemi dla królewskiego swego przyjaciela był zawsze przejętym. — Stanisław August nieposiadał wprawdzie tego ducha bohaterskiego, jako Chrobry, Batory, Sobieski i inni jego poprzednicy i niemiał może tej mocy charakteru wzniosłej duszy powołanych li tylko do wielkich przeznaczeń; ale jak na osobę prywatnego obywatela, niemiał też w owym czasie sobie równego. Ileż to dowodów

najlepszego serca przez długoletni szereg rządów jego niedoświadczyło tysiące osób? On pierwszy spieszył zawsze tam, gdzie rozpacz lub nędza ratunku wołały. Kasa jego stała bowiem otworem, skoro istotnie dobro powszechne i wsparcie cierpiącej ludzkości na celu było. Tak też i wszelkiego rodzaju przemysłowość, kunszta i nauki, którym się z całą duszą był oddał i poświęcił, podnosił i wspierał. Nigdy Polska tyle naraz uczonych mężów nieliczyła ile za czasów jego panowania; bo ile sam światły, o tyle też i w podobnych sobie cenił i poważał talenta. Słowem był to król uczonych, niedzierżąc wprawdzie berła owego wieku, — ale nigdy wojny.

Kto się w opiekę podda Panu swemu.

Powieść z r. 1706.

Niedaleko Biecza, miasta w obwodzie Jasielskim, niegdyś w Polsce handlem znakomitego, stała za dawnych czasów karczma w polu, a w niej żyd, arendarz Moszko; jak każdy prawie po dziś dzień z tego pokolenia wierny syn Abrahama; chytry, przemyślny a oraz uczynny — zwabiał grosze i złotówki, udzielał napoje na borgi — a za te dobrodziejstwa rachunki dubeltową kredą znaczył, dodając do nich zwyczajne procenta. Mimo łachmanów, które obwlekały jego nędzną postawę, miano go za bogatego, albowiem dzierżąc tę karczmę przez lat więcej, pożyczką pieniędzy i dobrym trunkiem lud okoliczny do siebie zwabiał, przytem jako przy gościńcu do Gorlic, często i gęsto landary pańskie znanego Moszka niemijały.

Pewnego dnia, a było to roku 1706, przed zachodem słońca, jakiś szlachcic podcinając szkapę i uchodząc przed nawalnicą, stanął naraz u okna tej karczmy, wołając, aby go wpuszczono. Skwapliwie wysłał arendarz stróża, aby szlachcicowi bramę otworzył, a Marek to uczyniwszy, powitany został od podróżnego:

„Niech będzie pochwalony".

Jako żydowski sługa nie odpowiedział „na wieki", lecz ponuro patrząc na przemokniętego gościa, czekał na dalsze jego rozkazy, a odebrawszy od niego konia, prowadził głębiej w podsienie. Podróżny strzepawszy z deszczu burkę i czapkę, wszedł do izby szynkownej, zapytując arendarza, czy go na nocleg przyjmie.

„A dla czego nie? hersty, ja z Wgo Pana bardzo kontent będzie. A daleko Wny Pan jedzie?"

„Ho, ho, przyjacielu, z daleka; aż od Sandomierza."

„Ejwej, od Sandomierza! A co tam ślichać Wżny Panie? czy tam jeszcze wojują?"

„O i dobrze, odrzekł podróżny, śmiejąc się z zastraszonego Żyda. „Wojują i biją, aż łapcie odlatują."

„Ny, to tam niebezpieczno pojechać, zagadnął Zyd."

„Nie wiem o tem, bo nie znam, co niebezpie-

czeństwo. Jak długo żyję, nigdym o tem nie myślał bom nikomu nic złego nie zrobił, ergo i mnie nikt nic złego nie zrobi. Lecz dajmy temu pokój, dajno mi lepiej kieliszek wódki, i co zjeść, bom zziąbł, i nakaż stróżowi, żeby o moim koniu nie zapomniał."

Był to szlachcic staropolski, uzbrojony w tęgi nahaj, który odetchnąwszy zrzucił z siebie ubogą burkę, przyciągnął pasa, ugłaskał czuprynę, podkręcił wąsa; a łyknąwszy podany mu kubek gorzały, rozgościł się do wieczerzy, którą żydowica wystrojona w bindę czerwoną zastawiła. Zgłodniały szlachcic nie długo się przy tej krzątał, a otarłszy gębę, przeżegnał się i wieczorne odmawiał pacierze, poczem oddawszy dobranoc, legł na zrobionym posłaniu, zasnął prędko i chrapał na całe gardło. Arendarz ze stróżem gwarzyli w drugiej izbie jeszcze długo, nareszcie Marek wychyliwszy kieliszek wódki od Moszka mu podanej, udał się toż samo na spoczynek do sieni.

Nazajutrz skoro świt, przebudził się szlachcic, odmówił modlitwę, żydówka uwarzyła mu polewkę z piwa, nie żałując do niej śmietany, sera i kminku a żyd jęty ciekawością, dokądby jego gość dążył, znowu go zagadnął:

„Za przeproszeniem, Wżny Pan w którą stronę jedzie?"

„Otoż to właśnie, że sam niewiem, i ciebie

się zapytać muszę o drogę; jeżeliś dobry to mi powiedz, daleko z tąd Lipinki?“

„Och! niedaleko, tylko cztery mile — prosto jak na talerze.“

„To na południe mogę stanąć w Lipinkach?“

„Ny, a dlaczegoby Wżny Pan nie miał stanąć?“

„No, proszę uniżenie! a mnie powiedziano, ze to w górach wielkich; wprawdzie nigdy tam nie byłem, chociaż to w Lipinkach proboszczem jest ksiądz Wieściński, mój wujaszek.“...

„Kłaniam Wżgo Pana! Ksiądz proboszcz nie przyjeżdża tędy nigdy, żeby do mnie nie wstępował.“

„To znasz tedy żydku wuja mojego?“

„Och! czegożbym go nie miał znać? On mnie tak lubi jak swego syna.“

„A cóż tam słychać o nim?“

„Ta i coby było słychować, wszystko dobrze.“

„Pięknie mi dobrze! ksiądz Wieściński przecież rozniemógł się bardzo, jak mi pisano, niebezpiecznie nawet chory może i skończy.“

„Ny, to Wżny Pan sukcesyą po nim wezmą, a ludzie gadają, że ksiądz proboszcz ma wielkich pieniądzów.“

„Nie wiem o tem.“

„Ale ja wiem, i winszuję Panu jak najwięccj.“

„Dajmy temu pokój, raczej obacz mój żydku, czy koń gotów, i powiedz co ci się należy.“

Poszedł żyd do stajni, wybiegła za nim żydówka, i z Markiem coś rozmawiali długo ale z cicha. Po niejakiej chwili, gdy arendarz do izby powrócił, szlachcic przypomniał mu rachunek. — Och! nic nie zaszkodzi, odrzekł żyd, Wżny Pan powracać będzie, to zapłaci, a będzie wtedy czem płacić.“

„Dobry jesteś, mój żydku, nie lubię długów, ale jeśli mam wiarę u ciebie, a zechcesz mi poczekać, przyznam się tobie, że w trzosie moim nie mam, jeno kilka złotówek; złe teraz czasy, oj złe!“

„Będą lepsze, niechno Wżny Pan weźmie po wuju gotówkę. Wżny Pan z powrotem wstąpi do mnie, będzie miał bardzo wielką wygodę i usługę, mam stary miodek lewocki.“

„Co w tem, to bądź spokojny, mój żydku, dług każdy jest i bywał u mnie zawsze świętym, nikogom jak żyję nie skrzywdził. Boże zachowaj! zapłacę wszystko co do grosza, i za poczekanie się odwdzięczę.“

„Mam więc słowo Wżgo Pana?“

„Masz słowo i rękę moją.“ — To rzekłszy szlachcic, podał żydowi dłoń, żyd nadstawił swoją, ale ręka żydowska drżała i trzęsła się jak w febrze.

„Co tobie? zapytał szlachcic patrząc żydowi w oczy.

Moszko spuścił oczy w ziemię, cofnął rękę i zająknął się w odpowiedzi. Wtem wszedł Marek stróż,

z oznajmieniem, iż koń gotowy. Szlachcic nie bawiąc dalej, dosiadł stępaka i odjechał.

Moszko ze stróżem patrzali z progu dość długo za odjeżdżającym, pokąd im nie zniknął z oczu, dopiero obejrzawszy się do koła, żyd zaczął mówić do stróża, głaskając swą kudłatą brodę.

„No, cóż ty myślisz Marku: — wstąpi ten szlachcic do nas z powrotem?“

„Alboż ja wiem!“ odpowiedział nato stróż.

„Jeżeli wróci, pamiętajże Marku“...

„Dyć pamiętam przecie, nie gadajcie jedno posto razy.“

„Tylko Marku, żebyś nie zdradził, nie wygadał się, bo jak czasem pałkę zalejesz?“

„Wiem ci ja wiem, co gadać — albom was zdradził kiedy?“

„Jeżeli się nam uda, to wielkie pieniądzów nam się znaczą. Ty Marku do połowy należysz, sumiennie się z tobą podzielę.“

„Żeby się jeno udało, odrzekł stróż, a potem będziem się dzielić“...

„Co nie ma się udać? oh! upoję go miodem, będzie spał i chrapał jak w ten czas, niby zabity, lada dziecko podoła śpiącemu.

W tym jacyś podróżni zbliżali się drogą, a żyd ze stróżem wrócili milczkiem do karczmy.

Minął tydzień pierwszy, minął i drugi po od-

jeździe szlachcica a żadnej o nim wieści, ani o jego powrocie nie było. Trzeciego dopiero przechodzący drogą jakiś nieznajomy wieśniak, wstąpił do karczmy. Żyd poznawszy, że to góral z innej okolicy, zwyczajem swoim jął go pytać, z kąd i dokąd by szedł? a kiedy mu tenże odpowiedział, że jest wysłany z Lipinek, zadrżał żyd na całem ciele, zająknął się i nie wiedział, o co miał się pytać. Góral nie czekając więc dalszego zapytania, mówił dalej: że jest wysłany z listem do proboszcza Bieckiego, by jechał na pogrzeb, ponieważ pleban Lipinek zakończył wczoraj, a suty pogrzeb sprawić mu mają. Po odejściu wysłańca żyd chodził zadumany po izbie, i dopiero kiedy noc zapadła, zaczął się umawiać z Markiem i z żoną o zamierzonym zbrodniczym przedsiewzięciu. Bo mówią ludzie, iż są rzeczy o których we dnie rozmawiać nie miło, a w nocy lżej i bezpieczniej.

Ale dnie przemijały jedne po drugich, a z niespokojnością oczekiwany szlachcic nie przybywał. Żyd tracił już nadzieję i żałował, że przedczasem swój zamiar odkrył Markowi. Żydówka, która nie mając odwagi zbójcom właściwej, i najpierw usiłowała odwieść męża od zamierzonego zabójstwa, teraz, gdy już niemal pewną była, że szlachcic tą drogą nie wróci, poczęła żałować straty tych pieniędzy, które zbogacić ją miały, i łajała męża, że nie wzią-

wszy od szlachcica pieniędzy za nocleg, i swoje stracił i nic nie zyskał.

Nareszcie dnia pewnego nad samym wieczorem, wpada arendarz do izby, blady i pomieszany; wydając głos grobowy z siebie: „jedzie szlachcic sam jeden.“

Na te słowa twarz Marka spłonęła ogniem, żydówka dygotała ze strachu, a wszystkim biło serce jakby młotem. Długo milczeli, aż po chwili wszczęli rozmowę i to niepewnem i trwogą przerywanem bąkaniem, co czynić mają. Zatętniała w tem krzemienista droga, szlachcic nadjechał i stanął przed oknami karczmy. Ani żyd ani Marek nie zdołali przybyłego powitać, snać opuściła ich odwaga. Szlachcic zeskoczył więc z konia, uwiązał go u płotu, i wszedł do szynkowni.

„Jak się macie, rzekł przestępując próg, a co umiem dotrzymać słowa, albo nie? dług tu zaciągnąłem, będzie temu, jeżeli się nie mylę, cztery tygodnie; otóż przychodzę, ażebym zapłacił co do grosza, i z procentem zapłacę, jak się należy. Obrachujcie się ze mną co żywo, bo ruszam dalej, i jeżeli Bóg da, to jeszcze kilka mil upalę przy chłodzie wieczornym.

„Jak to, Wżny pan dalej pojedzie, nie miałby nocować tutaj, a to dla czego? zapytał żyd jąkając się, przyszedłszy nieco do siebie, a oko zaiskrzyło

się jego, jak ziejącej żmyi i usta zapieniły ze złości i żalu; bo sama myśl, iż nadzieja zbogacenia się naraz spełzła na niczem, drażniąc chciwy i łakomy umysł jego, jad wściekłości zwierzęcej wlała mu w łono. W miejscu trwogi, która w nim zwolniała, zaczęła działać niespokojność, jako nieodstępna towarzyszka w podobnych razach, na umysł zbrodniarza. Śmielszym jak z początku głosem jął namawiać szlachcica, by nie jechał dalej, i u niego zanocował — a troszcząc go różnemi niebezpieczeństwy, jakie zazwyczaj podróżnemu w czasach wojennych zagrażają, nieradził, iżby zapuszczał się pod noc w drogę deklarując u siebie spokój i pewność; przyczem i napomknął szlachcicowi, jako mu dał słowo; że za powrotem u niego nocować będzie.

„Dałem słowo! rzekł szlachcic, tam do biesa! prawda, dałem; ergo zanocuję, nie pokaże się to na mnie, żebym kiedy niedotrzymał słowa. I masz prawdę żydku, czasy niepewne, łotrów pełno wszędzie, wszelako żebym miał rzec prawdę, łotra się nie boję. Oho! nie jeden pierwej się po swoim łbie poskrobie, nim się do mojej porwie czupryny; ale kiedym dał słowo, zanocuję tutaj i nie spóźnię się w drodze, bo natomiast jutro co świt kopnę się dalej; — idź Marku, wszakże jak pomnę, Marek tobie na imię, idź, weź konia do stajni, daj mu siana i co się patrzy, a mnie pościelisz tu na ziemi, jestem znużony

podróżą że ledwie stoję na nogach.“

Po odejściu Marka szlachcic mówił dalej do żyda.

„Arendarzu! gdybym zaspał bo sypiam czasem twardo, to niezapominaj mię obudzić przed świtem, słyszałeś! bo się spieszę i radbym lotem błyskawicy stanąć u mojej Marysi; nieboga pisała mi, że synek nasz, dziecina śliczna jak aniołek, zasłabł nagle. Biedna kobiecina, rady sobie dać sama niemoże. Boże łaskawy! zachowaj nas od nieszczęścia, bo gdyby nas odumarł, onaby go nie przeżyła, a ja bym ją nie przeżył“. Domawiając te słowa, czuła łza wytrysła mu z oka, nie zdążył ją otrzeć, bo stoczyła się i utonęła w zawiesistych wąsach.

Żyd przechadzając się po izbie zamyślony, po małym przestanku odezwał się do swego gościa:

„Wżny pan nie pozwoli sobie służyć miodkiem, mam parę garcy starego lewockiego, a jak to mówią: Dobry trunek, na frasunek.“

Szlachcic nic nie odpowiedział.

„At, na co te turbacie, mówił żyd dalej, synek Wżnego pana będzie zdrów, a Jejmość znów się pocieszy, skoro Wżnego pan obaczy, i dowie się o sukcesyi po księdzu wujaszku?“

„Bogdajbym był i grosza nie widział, a mój synaczek mi się uchował; pieniądze nie pocieszą w utrapieniu; co mi po nich, jeżeli mego synaczka

utracę. Jak mi Bóg miły, w błoto bym je rzucił. Słyszysz żydku, nie chcę ani miodu, ani wieczerzy".

Moszko zaszwargotał coś do żydówki, postał chwilkę; wreszcie życząc gościowi dobrej nocy, wyszedł z żoną do przyległego alkierza, gdzie ich sypialnia była. Marek przyniosłszy kilka okłotów, rozwiązał je i rozścielił posłanie. Tymczasem szlachcic klęknąwszy na ziemi, ucałował szkaplerz i zaczął śpiewać:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całem prawie sercem ufa jemu,
Śmiele rzec może: Mam obrońcę Boga,
Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga.

Ciebie on z łowczych odzieży wyzuje
I w zaraźliwem powietrzu ratuje:
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod jego pióry ulężesz bezpiecznie.

Stateczność jego, tarcz i puklerz mocny:
Za którym stojąc na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów poleże,
Ztąd drugi tysiąc: ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny: a ty przed swojemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemi.

Marek miał się do wyjścia, lecz w progu stanął i słuchał spiewającego, a potem i on mimowolnie

może, zaczął śpiewać wraz ze szlachcicem, i rzecz dziwna, słowo po słowie powtarzał pieśń nabożną. Spostrzegł to szlachcic i zawołał zdziwiony: co słyszę, i ty umiesz tę pieśń nabożną? któż ciebie nauczył ją śpiewać.“

Marek nie dawszy żadnej odpowiedzi, wyszedł z izby. Oburzyło to szlachcica, wołał na odchodzącego ale nadaremnie; natomiast odchyliły się drzwiczki od alkierza i wstąpił do izby arendarz. Posłyszał wołanie i ciekawością wiedziony, zbliżył się do szlachcica, i zapytał czego żąda.

„Powiedz mi żydku, jak dawno służy u ciebie ten Marek?“

„Bez mała, rok będzie na gody.“

„Hm, hm... a dawniej co robił, gdzie był?“

„Służył, jak powiada we dworze Rzepieńskim, a na co Wżmu panu potrzebno to wiedzieć?“

„Teraz pojmuję. Jeżeli służył we dworze, to tam bez wątpienia nauczył się tej pieśni.“

„A jakiej to pieśni? zapytał żyd ciekawie.“

„Nie dla was to żydów ta pieśń, idź spać, a nie przeszkadzaj mi w modlitwie.“ Poszedł żyd do alkierza, a szlachcic śpiewał dalej:

I żeś rzekł Panu, tyś nadzieja moja,
Iż Bóg najwyższy jest ucieczka twoja,
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się znajdzie w domu twoim szkoda.

Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś idąc drogą
Na ostry kamień nie ugodził nogą.

Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych,
I po padalcach deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz,
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

Słuchaj co mówi Pan: iż kto mię miłuje,
A przeciwko mnie szczerze postępuje;
Ja go także w jego każdą trwogę,
Nie zapamiętam i owszem wspomogę.

Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
Ja z nim w przygodzie: odemnie obrony
Niech pewien będzie, pewien i zacności,
I lat sędziwych i mej życzliwości.

Skończywszy śpiewaną modlitwę i nie zdejmując z siebie odzieży, legł na posłaniu, i w krótce usnął i chrapał głośno, jak to mówią, na obie uszy.

Żyd powróciwszy do alkierza, nie kładł się więcej, lecz przechadzając się z cicha, stawał co chwila u drzwi, czyhał, przysłuchiwał i milczkiem wlepiał iskrzące się ślepie do izby. Noc była głucha niebo zasute chmurami, kiedy niekiedy zabłysło blade światło księżyca i rzucało przemijający cień na śpiącego podróżnego. Grobową ciszę snem głębokim ujętego szlachcica tylko wolne chrapanie przerywało. — W godzinę, żyd chyłkiem zbliżył się do

szafy, która była składem różnych sprzętów, drżącą ręką pochwycił nóż długi, narzędzie przedsięwziętego morderstwa i odchyliwszy drzwi, wszedł do szynkownej izby. Księżyc zajaśniał w pełni i oświecił spokojną twarz śpiącego; morderca odwrócił oczy, na palcach przesunął się ku drzwiom wiodącym do stajni, otworzył je i wszedł obudzić Marka.

„Marku, Marku, wstawaj! zawołał przytłumionym głosem, wstrząsając zaspanego stróża, wstawaj Marku, teraz czas, szlachcic śpi jak zabity; wstawaj i chodź ze mną, nóż mam już w ręku.“

„Idźcie sobie sami, ja nie pójdę.“

„Cóż znowu takiego? widzicie go, teraz mówi, ja nie pójdę.“

„Idźcie i zabijcie go, jeżeli podołacie, powiedziałem i nie pójdę.“

„Marku, cóż się tobie stało? przyrzekłeś sam go zabić, a teraz“...

„A teraz powiadam, że mu nic nie będzie; nikt go zabić nie potrafi.“

„Nie potrafi, a dlaczegożby nie mógł potrafić.“

„Otoż żaden człowiek nie potrafi go zabić, powiadam wam, i jeżeli nie wierzycie, co mówię, idźcie sami i probujcie, czy potraficie.“

„Gadasz mi ni to ni owo, mój Marku, jakby przez sen.“

„Nie przez sen ja gadam, bo wiem co gadam.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

Słyszeliście jak śpiewał szlachcic: *Kto się w opiekę poda Panu swemu;* tę pieśń dawniej w Rzepienieckim dworze śpiewałem wraz z wszystką czeladzią co wieczora, i pan z nami śpiewał; boć to pewna, że kto ją śpiewa przed zaśnięciem, pewien życia i bezpieczny od zabicia; żaden nóż go nie przebije, całe ciało jego jakoby kościane."

„Pleciesz Marku, radbyś żebym ci wierzył; ot powiedz prawdę, że nie masz odwagi."

„Wy ją może macie? więc idźcie i probójcie, czy przebijecie pierś szlachcica nożem waszym; idźcie jeno, a przekonajcie się, że prawdę mówię."

Słysząc tę dziwną Marka rozmowę, zamyślił się żyd, i lubo nieprzestawał namawiać i prosić Marka, ażeby go nieopuszczał i dopomógł zamierzonego dokonać zamysłu, w duchu dawał może poniekąd wiarę tej cudownej mocy, jaką miała ta pieśń staroświecka. Po chwili więc dumania, która mu przed oczy stawiała znaczne na pewno szlachcica pieniądze, nadto łakomstwo co raz bardziej podniecało czarną duszę zbrodniarza; jął więc na nowo do Marka przemawiać, usiłując go przekonać, iż rzeczy o których prawi, do wiary nie są podobne. — Ale nie przekonał Chrześcijanina, bo mocna i niezachwiana była jego wiara, od młodości w jego zaszczepiona serce, nie dała się wykorzenić i uwieść pokusom piekielnej mary. W pierwotnem życiu zboczył on

wprawdzie z drogi cnoty, będąc za kradzież wychłostany i ze dworu wydalony, tak że mu wstyd nic innego nie pozostawił, jak przyjąć służbę u żyda, której się z początku wzdrygał. Wtem przekonaniu wierzył w moc i opiekę Boską, odstąpił od zamiaru spełnienia morderstwa i wszelki udział zbrodni żydowi wręcz odmówił. Widząc żyd, iż wszelkie dalsze namowy byłyby nadaremne, powrócił z cicha do szynkownej izby. Ciemno i głucho było w około, szlachcic oddychał spokojnie i spał swobodnie gdy w tem wilczym krokiem zbliżył się zbrodniarz, i nóż godzący w serce niewinnej ofiary, wymierzył. Naraz drzwi skrzypnęły, a narzędzie mordercze wypadło z rąk zbrodniarza i utkwiło storcem w ziemię.

„Mojsze, czy to ty tam stoisz?“ zapytała żydówka po niemiecku.

„Cicho, cicho!“ odrzekł żyd, przychodząc do siebie z przelęknienia i schyliwszy się szukał po ziemi opuszczonego noża.

„A gdzie Marek?“ zapytała żydówka.

Żyd podniósł nóż, przesunął się na palcach do alkierza i drzwi zamknął za sobą.

„Gdzie Marek?“ zapytała się znowu żydówka.

„Naco nam Marka? Marek ogłupiał, ja nie wiem co mu się stało, jakieś plótł bajki, a potem nie chciał słuchać, com gadał do niego; nakrył się z głową i śpi, ale na co nam Marka? obejdę się

bez niego, szlachcic śpi jak zabity.“

Wysłuchawszy to żydówka, niepokoić go poczęła na nowo i odmawiać męża od wykonania morderstwa, czyniąc uwagę, że Marek, kiedy nie chciał należyć do zabójstwa, gotów potem wydać i całą rzecz zdradzić. Alić żydowi zdawało się, że już wszystko za późno bo choćby zaniechał zamierzonego czynu, Marek wiedząc o wszystkim, prędzej czy później mógłby go o zbrodnię oskarzyć. Zaczem inaczej myślał Mojsze: zabić szlachcica, a pieniądzmi podzielić się z Markiem, by wiecznie milczał. Te uwagi nastręczyły im znowu inne, i tak do późnej pory przedłużyły tajemną radę. — Północ była kiedy żyd pochwycił za nóż, odchylił drzwi i wstąpił do izby, w której spał szlachcic.

Po nie długiej chwili, północną ciszę przerwał nagle krzyk okropny i słowa: „ratujcie, ratujcie! żyd zdrajca, zabił mnie, ratujcie!“ Głos zwolniał, zachrypnął i zgasł.

* * *

Dnia następnego w Bieczu, o porannej porze wielkie zbiegowisko narodu otaczało ratusz; przywieziono tam bowiem w nocy zabitego człowieka. Lud ciekawością wiedziony, podniósł płachtę wóz osłaniającą, i z zgrozą i politowaniem patrzał na skrze-

płego trupa, który kilka głębokich ran miał w piersiach i krwią cały był zbroczony. — Po chwili spostrzeżono i drugą ulicą farną zbliżającą się gromadę ludu, postępującą za strażą grodową, która żyda arendarza z karczmy za miastem i żydówkę, okutych w ciężkie kajdany, do ratusza wprowadzała. Żyd szedł z odkrytą głową smutny i pomury, oczy miał w dół spuszczone, żydówka załamywała ręce, szlochała i jęczała po swojemu. Żydki zastepując drogę, bluźnili z przegrażaniem żydostwu, ciesząc się oraz, że mordercy schwytani nie ujdą szubienicy albo koła za spełnione okropne morderstwo.

W niejakim oddaleniu, dwóch panów jechało konno; jeden w sutym kontuszu powierzch kirejąodziany przy karabeli, drugi z podróżna w kubrak ubrany.

„Z drogi, z drogi! zawołano, pan starosta jedzie.“

„A któż to ten drugi, co z nim jedzie i rozmawia?“

„Obcy jakiś.“ On to złapał żyda na gorącym uczynku.

„Jako żywo, on go nie ujął, ale przybiegł pierwszy do miasta i dał znać straży.“

„Ale żydostwo? że nie uciekało.“

„Ba jakże miało uciekać, kiedy rozum straciło.“

„Ale czegoż żydzisko zabijał tego biednego człeka?“

„A któż to wie.“

„Dobrze mu tak, niechby nie służył u parcha.“

Tak i podobnie rozmawiali mieszczanie między sobą, gdy tym czasem starosta do ratusza się udał, by rozpocząć sądy.

* * *

Z wywodu słownego przedsięwziętego z żydem, którego oskarzycielem był szlachcic nam znany, pokazała się rzecz ta: iż morderca miał zabić szlachcica i zrabować mu pieniądze. Do tej zbrodni nakłonił był Marka, swego stróża, ale gdy przyszło do jej wykonania, Marek uchylił się od tego, i niechciał należyć do zbrodni. Żyd w obawie, żeby go Marek nie wydał, a raczej, żeby się z nim nie dzielić zrabowanemi pieniądzmi, z żoną swoją naradziwszy się, przedsięwziął zgładzić obydwóch. Spiącego Marka przebił nożem najpierw, ale raniony narobiwszy krzyku i wrzawy, obudził szlachcica, który nie wiedząc, co się dzieje, trwogą przejęty, zerwał się z posłania i oknem wyskoczył z izby. Biegł z tamtąd prosto do miasta, trafił na straż nocną, i wrócił z tą nazad do karczmy. Straż otworzywszy siłą zamkniętą bramę do sieni, oświeciła ją latarnią i w przyległej stajni znalazła zabitego człowieka. Nato wzięto żyda i żydówkę pod areszt i prowadzono do grodu.

Szlachcic po zdaniu sprawy u sądu, dał na wotywę do fary Bieckiej, na podziękowanie Bogu za cudowne uratowanie życia, później zaś, jako staruszek, uczył wnuczki swoje tej nabożnej pieśni: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, i zalecił im, by się nigdy spać pierwej nie kładli, dopóki nie odmówili tej pieśni, której winien był życie.

Tatary pod Zbarażem.

Powieść z r. 1474.

Kości spruchniałe powstańcie z mogiły,
Przywdziejcie ducha i ciało i siły.

Woronicz.

Po upadku wschodniego cesarstwa, cała Europa przejęta trwogą znakiem zatkniętego księżyca na szczytach Carogrodu, drżała na samo wspomnienie przyszłości własnych losów. Wszelkie jej usiłowania w stawianiu silnej tamy dalszym zapędom tłuszczy proroka, nareście o niezgodę wodzów krzyżowej wyprawy z boleścią się rozbiły. Sztandar Machometa jeszcze dumniej zdawał się powiewać, wskazując na zachód. Jedna Polska stanęła przedmurzem od północy i zachodu, ona tylko sama nieulękła się tej strasznej hydry — wystąpiła przeciw niej do walki, czego kilku wiekowe srogie z nią zapasy, niezapiera jej historya świata. Wielkie ofiary własnego mienia, kwiat nie jeden rodzimej nadziei, poczet nie jeden najdzielniejszych rycerzy, sławnych wodzów i króli:

gdzież to wszystko? jeśli nie widzimy ległe na polu chwały w heroicznem poświęceniu się dla ogółu, dla zbawienia reszty ludów i ocalenia zagrożonego chrześcijaństwa.

Rok 1474 był świadkiem jednej z najokropniejszych burz która nawiedziła wówczas wojowniczą Polskę. — Nieprzejrzane tłumy barbarzyńczej dziczy zalały całą Ruś, by ją ujarzmić, by dalej w głąb Europy postąpić. Książę Iwan Wiszniowiecki stojący na straży jej granic z małym tylko pocztem wojska swojego, zważywszy niepodobieństwo oparcia się tak wielkiej potędze, ustępował w dobrym porządku przed wszystko niszczącą nawałą ku Zbarażowi, postanowiwszy, w twierdzy tego miasta się zamknąć, dopókiby mu wojska polskie na pomoc nie nadciągnęły, a tem samem i dalsze zagony w głąb kraju barbarzyńców powstrzymać. Z uniesieniem i łzami w oczach, lud tłumnie z okolic zbiegły powitał walecznego książęcia, widząc w nim przyszłe ocalenie swoje. Wiszniowicki toż samo nieprzestawał cieszyć wzywających jego pomocy, lecz zarazem dał poznać niemożność przyjęcia całej rzeszy w obręb twierdzy — dla szczupłości miejsca jak i braku żywności; przyrzekał wszelakoż pewną i rychłą pomoc wojsk polskich do ich obrony już się zbierających, zalecając oraz by dawnem zwyczajem po lasach, których w okolicy pełno było, się rozeszli i tam

poukrywali, gdzie ich dziez tatarska niedosięże. Bolesne było to rozstanie się, ludu prostego z wodzem i panem; boleśniejsze ojca z dziećmi swojemi, gdy tkliwem narzekaniem zawołał: jak biedni oni są przez te najazdy nieprzyjacielskie, które nigdy końca nie mają. Gromadnie odchodzili wieśniacy z żonami i dziećmi, a tylko kikudziesięciu mołojców pozostało w zamku, dopraszając się wodza przyjęcia w szeregi rycerzy, by pospołu mogli walczyć z pochańcami, gdyż inaczej nie widzą sposobności, wywarcia swej zemsty za tyle krzywd sobie zadanych. Pochwała wodza i podanie bratniej dłoni rycerzy było znakiem ich przyjęcia, a wnet poswatali się pałasze i kopie rycerskie z dzidami i kosami do wspólnej obrony matki ojczyzny.

Głucho i pusto powstało w około zamku, głucho i pusto w Zbarażu i jego okolicy, i jakby od pomoru dżumy dotknięte włości ani żywej duszy niezatrzymały — wszystko się albowiem wyniosło w bory i zarośla, góry i parowe odległe. Tylko na zamku Zbarażkim brzmiał szczęk oręża i gwar obrońców gotujących się do walki, która w krótce zawrzeć miała. — Wśród powszechnego ostrza oręży, wśród odgłosu kotła i trąbki, ćwiczyli rycerze swoich nowych towarzyszy broni walczenia dzidą, siekierą lub straszną na stoc nabitą kosą. Mołojcy nietylko z łatwością ale i zapałem pojmowali wskazywane im

obroty: uderzenia i odbijania pocisków nieprzyjacielskich — zaklinając się w uniesieniu zawziętości z przechwałką; że popamięta wróg gorzko spotkania się z Rusinem.

W czas niedługi wznoszące się tumany kurzu na szlakach, zapowiedziały okropną burzę zniszczenia, srogi najazd niewiernych. Jak bałwany mgły porannej nad krętym Dniestrem, tak i kurzawa coraz bardziej wzmagając się, toczyła się coraz bliżej i bliżej ku Zbarażowi, opasując go naraz długim i szerokim wałem. Czerń Tatarska zajęła nieprzejrzane niwy żyźnego Podola, rozciągnąwszy się po swojemu tratując pola krwawej pracy nieszczęsnych mieszkańców.

Następnego dnia po zwykłym wypoczynku, postanowił Han szturmem na twierdzę uderzyć, ponieważ na wezwanie poddania się żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Jak mrówisko nieprzyjaznym poruszone znakiem, tak dzicz tatarska gęsto i czarno zalała głęboką fosę, otaczającą twierdzę Zbarazką, zkąd głowa o głowę, ramię o ramię, pod mury się piętła, w zamiarze prędkiego dostania się na wały. Lecz naraz zabrzmiała pieśń bojowa „Boga Rodzico Królowo“, a ciężkie kamienie i bryły skał leciały z twierdzy na łby cisnących się Tatarów, gdy zbliżonych pod same mury rażono dzidami i kosami, zadając im śmiertelne ciosy. Mnóstwo padało pohańców, lecz

krocie następowało na ich miejsce, bój wrzał okropny, fosy trupami poległych zapełnione, pięły się już w górę, gdy w tem zapadła noc i srogą walkę przerwała. Zatknięcie wysokiej tyki było znakiem dla oblężonych, że wróg poległych pogrzebać myśli i wypoczynku broni żąda. Rad był temu i Iwan Wiszniowiecki, gdyż wyziew z trupów niezawodnieby powietrze w twierdzy zaraził, zaczem przykazał i swoim, by Tatarów wydobywających trupy swoich z fosy nie napastywano, zalecając zarazem surową baczność i zwyczajne modły.

Drugiego dnia tym dzielnym odporem jak i stratą wielką rozjuszona tłuszcza, uderzyła z większą jeszcze wściekłością na twierdzę, wlokąc przed sobą drzewa gałęziste zasłaniając się niemi od pocisków i przystawienia ich do murów, dla tem łatwiejszego dostania się po nich na wały. W miarę tego podstępu rozwinęła i przygotowana na to załoga odpowiedni sposób odparcia — lejąc na te drzewa z kotłów rozpalonych wrzącą wodę, smołę i olej. Z opieczonem cielskiem spadała dzicz tatarska z drzew jakoby wrony z gniazda wyrzucone, a wyłażąc z fosy, tarzała się po rozkopanej ziemi, albo wijąc się w błocie, wyła z bolu przeraźliwemi głosy.

Pomimo tej nowej klęski nie odstępował Han od oblężenia, zaklinając się na brodę proroka, że zamek w swoją moc dostać musi, chociażby drugie

tyle ludzi miał stracić. Pomysł nowego wynalazku wprawdzie mu do tego posłużył. Kazał bowiem fosę ziemią, kamieniami i drzewem zarzucić i zrównać, a tuż obok niej mogiły pousypywać, by z nich snadniej oblężonych strzałami mógł dosięgać. W samej istocie tym sposobem przywiódł twierdzę do ostateczności. Tłuszcza na oślep idąca do szturmu, w fosie zamkowej więcej się nie gniotła, przeciwnie w swych obrotach zuchwalej posuwała się naprzód, a z wysokich po nad wały wystających mogił, obrońców twierdzy strzałami zatrutemi srodze raziła. Z każdym dniem zmniejszała się i tak szczupła załoga twierdzy, z każdą chwilą zbliżała się smutna ostateczność; lecz wódz postanowił w obronie jej z chwałą poledz, niżeli się niewiernym poddać, gdzieby go tylko sromotna hańba lub śmierć trafiła. I gdy dnia jednego wśród gradu strzał wiechcie gorejącej słomy u tyk uwiązane, dachy zamkowe zapaliły, dzicz korzystając z ogólnego zamięszania oblężonych, całą siłą gwałtownie na wały natarła i takowe zdobyła.

Bój wszczął się jeszcze okropniejszy, bój szczupłej garstki śmierci się nielękających Sarmatów z nieprzeliczonymi tłumy zajadłego wroga. Wśród strasznego pożaru, szerokiemi płachtami aż na wały uderzających płomieni, wśród kroci dokonanym zwycięstwem upojonych pohańców, walczył już tylko

gdzie niegdzie jaki z obrońców Zbaraża, by tylko zginąć śmiercią chwalebną. Miecz, dzida czy kosa przestały dopiero wtedy walczyć, gdy przesyte krwią najezdców z dłoni bohaterów wypadły i ani jeden nie znalazł się taki z obrońców, coby żywcem był ujęty. Wszyscy polegli śmiercią walecznych, jak wszyscy zarówno walczyli, czy rycerz szlacheckiego rodu, czy młodzian wiejskiej zagrody — a z niemi razem na czele dzielny Iwan książę Wiszniowiecki.

Po upadku Zbaraża rozsypała się dzicz rozbestwiona po obszernym zamku, którego dogorywające dachy jeszcze kłębami dymu jak i płomieniami ognia buchały, w celu łupieży. Nie długo przecież mogła tam gospodarzyć, ponieważ spadające zgliszcza dachów na dolne zabudowania, łaknące tłuszcze rychło wypłoszyły. Rzuciła się więc część jedna do podziemnych sklepień, zaś druga do stajen zamkowych, gdzie wśród okropnego pożaru, srodze pokaleczonych i stratowanych trupów, wśród potoków krwi skrzepłej wywlekali najezdcy konie i bydło, zaś z lochów poukrywanych tamże służących książęcych, a między temi i samą księżnę z dwojga małemi chłopiętami, która aby się nie stać ofiarą płomieni, tam się schroniła. Księżna przed oblężeniem twierdzy obiedwie córy swoje w bezpieczniejsze wyprawiwszy strony, sama wraz z małemi dziećmi postanowiła

dzielić losy najukochańszego męża i pozostała w Zbarażu.

Jako branka przed Hana stawiona, dała mu zrozumieć, kto jest ona, zapewniając zarazem, że okup sowity go czeka, gdy ją przy życiu zachowa. Żyć pragnęła albowiem jedynie dla dzieci, tuląc ich do łona swego. Han szanując kobietę wysokiego rodu, zapewnił ją, że się jej nic nie stanie i za złożeniem 100.000 sztuk złota wolność odzyska. Poczem ją oddał pod straż kilku starych Tatarów, zalecając pod karą śmierci baczne pilnowanie tak znakomitej branki.

Po dokonaniu łupieży reszty ogniem zniszczonego zamku, wypoczywała dzicz czas jeszcze niejaki na stratowanych polach Zbarazkich, czyniąc z tamtąd w dalsze strony za zdobyczą zwyczajne wycieczki. Tak też i jeden ze starych Tatarów, którym Wiszniowiecka pod straż oddaną była, wyjeżdżał codziennie z końmi swych towarzyszy na błonia dla ich paszenia. Mali Wiszniowieccy w dziecięcej prostocie prędko się zaznajomili z Tatarami, którzy czy to litością, czy sutej nagrody wiedzeni oczekiwaniem, różne im zabawki przyrządzali, dozwalając biegania nietylko około namiotu, ale i częstego przejeżdżania się na koniach. Z wdzięcznością czułe dzieci za takie obchodzenie się z niemi, stały się odtąd przychylnemi Tatarom swoim stróżom i przyszło nawet do tego,

że często jeden albo drugi chłopczyna z Tatarem na popas koni wyjeżdżał, będąc mu tam pod okiem jak gdyby w namiocie.

Dnia pewnego gdy starsze pacholę na taki popas wraz z Tatarem na jednym koniu jechało, smagając w dziecinnej pustocie długogrzywego tabuna nahajem lipowym, zbliżyli się do małego lasku, gdzie Tatarzyn zsiadłszy, konie popętał i na łąkę puścił, sam zaś z dzieckiem pod cieniem rozłożystego dębu usiadł. Znużony nocnem czuwaniem w namiocie przy odbywaniu kolejnej czaty, uczuł się na raz snem znużny a bojąc się, aby go dziecko nie odbiegło, przywiązał je długim rzemieniem do siebie; dając mu znak, aby się przy nim układło. Snem głębokim ujęty chrapał Tatar donośnie, lecz nie tak książęce pachole, który na smyczy uwięzione, chociaż wstawać i bawić się mogło, lecz czy z obawy przebudzenia Tatara, a może i sromotne czując więzy, przy boku tego się utuliło i toż samo usnęło.

Odgłos potężnego chrapania który się po lesie rozchodził, sprowadza w to miejsce szpiegującego wieśniaka. Jak krogulec śledzący zdobyczy, tak jego oko szuka pastucha bujających koni po lesistej łące. Poznał, że to konie Tatarskie; ale kto je tu przywiódł i gdzie są ich panowie, tego chciał wyśledzić, będąc bowiem od gromady w dalekich borach ukrytej na zwiady wysłany. Ostrożnie i cichuteńko prze-

suwa się pomiędzy zarośla na głos rozlegający się, i spostrzega naraz pod dębem rozłożystym rozciągniętego pohańca i obok niego małe dziecię. Czas niejaki jeszcze śledził po za drzewami czyli Tatarów gdzie niema, a nieznalazłszy ich więcej nigdzie, odważył się do uspionego zbliżyć.

Jakby od piorunu rażony stanął na widok dziecięcia, w którym od razu poznał syna swojego pana, którego nieraz na zamku Zbaraskim na barkach nosił, lub na koniu przejeżdżał. Zadumany zrozumiał, że ród Wiszniowieckich z gniazda, nad którem łunę straszną przed niedawna z lasów uważano, rozpierzchnął. Żal z ciężkim połączony smutkiem ogarnął niezepsute serce wieśniaka — myśli, duma i waha się, aż nareście śmiało postanawia, dziecię swego pana z niewoli Tatarskiej oswobodzić chociażby mu i własną krew przelać przyszło. — Dawać znać gromadzie było niepodobieństwo, bo ta opodal była ukrytą, a więc opatrzony w tęgi buczek z korzenia giętkiego dębczaka wycięty, nie lęka się kindżała Tatarskiego i co spieszniej zabrał się do dzieła. Dobywa nóż z kality, przecina smycz rzemienną i oddziela pachołę od pohańca. Poruszone zarazem z lekka, ocknęło się ze snu, a przetarłszy oczęta patrzy obok i na około siebie, i spostrzega Hrycka, tego to samego dobrego Hrycka, co mu nieraz jagody dostarczał, na barkach swoich nosił i na konia wsadzał.

W niepohamowanej radości porywa się i za jednym skokiem uwija się u kolan Hrycka, budząc zarazem wykrzykiem radości spiącego Tatara. Tenże widząc skarb straży swojej powierzony tuż w objęciu Rusina, dobywszy kindżała, zapamiętale uderza na niego. Mołojec ustępując zwolna przed wymierzonemi nań ciosami po za drzewa, przywiedziony został nareszcie w zwyczajne prostemu ludowi uniesienie — wywarcia sztrasznj zemsty nad przeciwnikiem. Silną ręką naraz wywinął potężnym buczkiem, którego dolny koniec w guz ciężki wychodził i tak skutecznie ugodził pohańca w głowę, iż ten upadając, razem i ducha wyzionął.

Czem prędzej uprowadza wtedy dziarski Hrycko oswobodzone dziecię, niosąc je przez bory i zarośla, i staje szczęśliwie przed swoją gromadą. Biedni wieśniacy widząc dziecię pana i ojca przed sobą, z jakimże nie witała je uniesieniem; z rąk do rąk ujmowane, oblewane łzami radości, witane było jak anioł pocieszenia. Hrycko opowiedziawszy sposób jego znalezienia, jak i dalsze zdarzenie, wzbudził w gromadzie ciężką obawę: w tym dziecku może ostatniego z rodziny Wiszniowieckich widzieć uratowanego przed sobą. Kobiety i dziewczęta zdjęte litością nad biedną sierotą i przemową najsędziwszego z gromady do łez wzruszone: „że za Boską wolą oswobodzoną sierotę pana swego mają jak oko w gło-

wie strzedz, by się z niego dobrego pana i mściciela krzywd wspólnych doczekać," odebrały je w swoje staranie, okładając szlachetną dziecinę pocałunkami i pieszczotami, dostarczając mu zarazem jadła: placków, mleka i jagód leśnych, i pytając z przymileniem, czy nie jest jeszcze głodne?

Niebawem ustąpiła czerń Tatarska z Podola, uszczuplona znaczną stratą przy zdobywaniu Zbaraża, a więcej zastraszona zbliżających się wojsk Polskich pochodem. Powrócili też i wieśniacy do swoich zagród zniszczonych, niosąc z sobą i małe książę — które później z niewoli Tatarskiej okupionej księżnie matce, mającej to dziecię za stracone, rzeźwe i zdrowe oddali. Zawdzięczając się matka a później i dorastający młody Wiszniowiecki, obdarzyli poczciwych włościon Zbaraża wielu względami, nadając im różne przywileja, zaś dzielnego Hrycka osobnemi nadto nagrodami, uwalniając zarazem wszystkich od danin i ciężkiej robocizny.

ZGODA.

Powieść historyczna z dziejów Lwowa.

Niezwykły ruch w grodzie Lwa i w okolicach jego zajmował umysły wszystkich, a ciekawość każdego tem więcej była poruszona, albowiem zbliżył się dzień, w którym Bolesław Trojdenowicz, książę Mazowiecki będąc teraz księciem ziemi Halickiej, wyprawiał na zamku świetne gonitwy, w których uczestniczyć mieli znani z dzielności oręża rycerze nietylko krajowi, ale i zagraniczni. Przez dni kika trwał już zjazd panów rycerskich z Polski, Mazowsza, Litwy i Węgier, których u bramy zamkowej z chlebem i solą witający poważni bojary ruscy z uprzejmą grzecznością do książęcych wprowadzali komnat, gdzie ich sam książę mile przyjmował. Po zwykłych rozmowach, jak na rycerskich panów przystało, stawiano zaraz posiłki dla podróżnych, zaczynając od rozweselającego puhara, którym hojnie

rozrządzał książęcy podczaszy; i wszyscy byli między sobą radzi i twarz każdego rycerza rozpromienioną, gdy spełniano zdrowie wielkiego gospodarza. Wesoło i ochoczo działo się na zamku — tu znak trąbki u bramy zwiastuje nowo przybyłych — szczęk oręża i ostróg po kurytarzach, przywitania i rozhowor — wszędzie ruch i przepych, a każdy gość pełen krzepkości i ducha rycerskiego. — Rad był Bolesław tym zacnym mężom i do każdego przemawiał jego ojczystym językiem, i nadzwyczajnie umiał sobie zniewalać serca wszystkich tą uprzejmością, jaką oddawna jaśniał ród książęcy. Będąc nadto nadzwyczajnie zamiłowan w rzemiośle rycerskim, chociaż niemiał sposobności z nieprzyjacielem doświadczać szczęścia oręża, toż zaraz w pierwszym roku po swem wstąpieniu na tron Halicki dał wiadomość w kraju i za granicą, iż odprawią się u niego gonitwy rycerskie, zapraszając na nie rycerstwo do popisów marsowych. Toż niemała liczba wojowników zebrała się w grodzie a po dwóch tygodniach była ich tak wielka liczba, że nieumieszczonych na zamku, po dworach bojarskich i innych gospodach powstawiono.

Na równinie tuż u podnóża wysokiego grodu, urządzono plac gonitwy, obwiedziono go poręczami potrójnemi, ziemię zaś wysypano śnieżystym piaskiem, którym pobliskie góry bielały. Na wznioślejszem miejscu, wyłożonem deskami i pokrytem suknem,

ustawiono rzędem ławki, w pośród których bogate krzesło książęce jeśniało.

Na świętą Pokrowę r. 1337 o świcie ozwały się dzwony świątyń Lwihoroda, toż i w monasterze ś. Jura zwoływała sygnaturka mnichów rozsianych po pustelniach boru poblizkiego do służby Bożej, a lud wierny przykładem swych ojców, korzył się ze skruchą przed znakiem odkupienia, i bijąc czołem o ziemię, przystępował do ucałowania jego. Po odprawieniu długich nabożeństw, którym głosy spiewaków Carogrodzkich wtorowały, wylana z świątyń ludność spieszyła prosto ku miejscu do gonitw przygotowanemu; było to bowiem niezwyczajne widowisko, patrzeć na tak wielką ilość różnego rycerstwa, na wspaniałe i lśniące zbroje i na te rącze konie, przybrane w kosztowne rzędy; bo co dotąd w stolicy widziano nowego, to byli tylko płaskonose małookie Tatary na szpetnych koniach, którzy niegdy do Leona i Daniela, książąt Halickich jako do swoich kumów po znajomemu zajeżdżali. Co za różnica tych kostrubatych poczwar w porównaniu z tem rycerstwem: Węgrzy w opiętym odzieniu z ulatującemi na barkach futrami; Polacy i Mazury w lśniących koszulach stalowych i uginającym się pióropuszem u żelaznej czapki; Niemcy nie mniej zwracali na się uwagę, byli bowiem zupełnie w żelazne szyny odziani; rycerstwo krajowe w uzbrojeniu niemal węgierskiemu

podobne, albowiem sąsiadując z tym krajem i mając porazy książąt węgierskich za panów, wiele obyczajów dwa od tego narodu przyjęło. Z pomiędzy tych wszystkich widziano mężów Litewskich, Kumańskich, Wołoskich i Kroackich, przywdzianych po największej części skórami dzikich zwierząt, jednych z skrzydłami ptaków u czapek, drugich z przyłbicami na głowie, w ostatku nadciągnął jeszcze mały wprawdzie ale wyborny poczet rycerzy, zwracający na się ciekawość samego rycerstwa, bo nietylko że piękne i odznaczające były rysy ich twarzy, ale przedziwnem było i ubranie: ramiona i nogi mieli osłonione w skóry jaskrawe, głowę zaś, piersi i plecy okrywała druciana siatka lgnąca do ciała, a przepasana w krzyż szkarłatną oponą. — Była to młodzież Ormiańska, których ojcowie uchodząc przed jarzmem Turków z kraju rodzinnego w dalekiej Azyi, tu na Rusi jako do drugiej ojczyzny swojej przybyli, a będąc od książąt Halickich mile przyjęci, różne i swoje wyłączne obyczaje i swobody zachowali.

Już zastąpił lud ciekawy poblizkie wzgórza i równiny grodu Lwowa, chcąc przynajmniej widzieć przyjazd świetny zebranych rycerzy. Wnet rozpoczął się ów pochód wspaniały: najprzód straż książęca, utrzymująca łatwe przejście i porządek, albowiem nader wielkim był natłok widzów: tuż za strażą postępowali rycerze, najpierw ruscy, a po nich

zagraniczni, poprzedzani trębaczami, którzy przybywszy na plac turniejów, uszykowali się wszyscy w szeregu porządkowym z podniesionemi do góry kopiami. Po niejakiej chwili nadeszli bojarowie; ich powierzchowność pełna powagi: te długie włosy u brody i takież na głowie, po największej części siwe, tudzież ubior suty z futer kosztownych, wszystko to wzmagało w każdym widzu większą cześć dla tych mężów doświadczenia. Tuż za nimi jechał na dzielnym koniu młody książę Bolesław, otoczony radcami swymi, któren to urząd sprawowała zwykle starszyzna z owych dumnych bojarów wybrana, a w ostatku zdążała liczna gawiedź dworska, barwy książęcej i innych możnych panów, służalce i pachołki.

Zasiadł Bolesław krzesło książęce, bojary zaś zajęli ustawione ławy, a gdy na znak hołdu i uczczenia majestatu książęcego wszystkie kopie rycerzów na dół się zniżyły, odezwały się chrapliwe głosy trąb, wzywające do popisów: w tem wystąpił Rusin barczysty z laską w ręku odziany w suknię przestronną, na której jaśniały zjednoczone herby Mazowsza i Halicza, obwołując porządek walki i zapowiadając nagrodę dla tego, który nad dziewięciu innymi odniesie zwycięztwo. Nagrodą tą był to koń najpiękniejszy ze stajni książęcej. Otworzono szranki i na widownię wjechało dwunastu rycerzów: sześciu Polskich, sześciu Ruskich; ci zmierzywszy z sobą

kopie, dali dowody nader wielkiej siły męzkiej, poczem inni z kolei występując: Mazowieccy z Litewskimi, Niemieccy z Węgierskimi, i ogółem wszyscy według ułożonego porządku zarówno rzadką odszczególniali się zręcznością, bo gdy jedni cios wymierzony tarczą odbić starali się, to drudzy zgrabnie omijając go ciałem uchodzić umieli przed zagrażającem zapędem przeciwnika; jedyni niemieccy rycerze, odziani w szyny żelazne, pochwytywali te ciosy piersiami swemi, albowiem ciężar tej zbroi tak ubranemu uchylać, raczej uginać się niedozwalał, hart zaś stali od rany ubezpieczał, jakkolwiek ustawy surowo wszelkiego uszkodzenia ściśle zabraniały, gdyż jedynie zsadzenie rycerza na ziem, lub też strzaskanie kopii na nim było dowodem zwalczenia.

Już miało się ku wieczorowi, a jeszcze trwały owe turnieje, przyklaski i śmiechy, a głos trąb przepowiadał, iż może nie tak prędko ukończą się zapasy rycerskie. Ze wszystkich walczących o pierwszeństwo najwięcej odznaczył się rycerz Ormiański, Hidran, znany z prawości charakteru i bogactw który wywiózł był z ojczyzny swojej ojciec jego, potomek niegdyś królów Ormiańskich. Wzniosłej postawy, pleczysty i okrępowany lśniącą siatką drucianą, która podając się za każdem ugięciem ciała, kształtu swego bynajmniej nie traciła, zdawał się ów rycerz, iż nie siedzi na pieniącym się koniu, ale raczej że leci w powie-

trzu, albowiem gdy nań nacierano, zmieniał swe położenie nie pochylaniem, lecz zsunieniem siebie pod brzuch konia, zadając potem przeciwnikowi tak pewne uderzenia, iż go z siodła na ziem osadził. Jeszcze jednego potrzebował zwycięztwa, aby oznaczoną odnieść nagrodę; wyjeżdża więc na plac i walecznych śmiało do boju wyzywa, a wszyscy podziwiając sztukę rycerską Ormianina, chwalą oraz piękność twarzy smagławej, którą krasił nadobny rumieniec zdrowia czerstwego; — nos potężny, włosy krucze, brew tak miłe odcieniowana, te piękne i prawdziwe męzkie Ormian oznaki, nadawały jemu poniekąd postawę dumnego, podczas gdy serce jego z natury przyjacielskie, na teraz tylko sławy najwaleczniejszego pragnęło. To wyzywanie od niektórych rycerzy za poniżanie poczytane, wznieciło zawiść ku niemu, przeto kilku występując, oświadczyło się przyjęcia wyzwania, chcąc nauczyć śmiałka.

Zmierzywszy się z pierwszym, strzaskał na nim Hidran kopię swoję, lecz nie zachwiał się przeciwnik, wybijający jemu tarczę z ręki. W mgnieniu oka skacze Ormianin z konie, aby ująć tarczę swoją, gdy w tem przeciwnik wbrew porządkowi turniejów kopią z góry go uderza. Lotem błyskawicy dosięga Hidran grzbietu konia, i w zapalczywości obrażonego honoru naciera z ułomkiem drzewca na napastnika, unikając sam z podziwianą zręcznością wymierzonych nań

ciosów całej kopii — bądź to uchylaniem sobą, bądź zwinnym obrotem dzielnego konia, a uderzając w tem z ułomkiem tuż zbliska na przeciwnika, zadał mu pchnięcie dotkliwe, poczem walka nabrała postać tak zaciętego boju, że zguba jednego z nich czem raz więcej widoczniejszą się stawała, gdyż nawet znak trąby niemógł powstrzymać zaciętych w boju rycerzów.

Ani wołanie bojarów sędziów, ani głos strażnika turnieju niemogły powstrzymać czem raz więcej wzmagającej się zapalczywości obydwu walczących z sobą rycerzów, którzy przekonawszy się, iż użycie kopii li czas walki przedłuża, porwali razem za miecze — pierwszy obosieczny a długi, drugi zaś, jak sierp skrzywiony. Teraz więc wszczęła się walka straszna, wszystkich oczy i myśli trwożliwe na nich się zwróciły, bo za każdem cięciem silnej prawicy ustać miało życie jednego z walecznych. — Było to ówczesnym zwyczajem, iż sprawę własną częstokroć orężem rozstrzygano, walczących zaś o honor osobisty nikt nie był upoważniony rozbrajać, przeto umilkły głosy do zaniechania walki pojednawczo wzywające, zaś ciszę grobową między niepoliczonemi widzami przerywał tylko szczęk żelaza, rozlegający się po błoniu, a przelatujące stado wron, jakby więcej usmętnić chciały tę chwilę, wtorowały głosy złowieszczymi.

Dotąd nieodniósł żeden z walczących nad drugim przewagi, jeden jak drugi wielką odznaczał się zręcznością, obaj byli waleczni, jedyni że koń rycerza z Mazowsza począł szwankować od rany zadanej mu przez Armeńczyka, którego rumak ognisty, jakby podzielając męztwo jeźdźca swego pełen życia najsilniejszego, niezwyczajne i straszne czynił skoki, rzucając śnieżystą pianę daleko przed i po za siebie.

W tem od skały ocienionej starym borem na północ grodu położonego, nadszedł starzec zgrzybiały w czarnej sukni zakonnej, i z krzyżem w ręku. Tłumy ludu skupione głowa o głowę, rozstępowały się przed nim z miejsca, czyniąc dogodne przejście aż do placu walki, do którego gdy się zbliżył, podniósł uroczyście znak odkupienia do góry, i zawołał z powagą drżącym głosem: „W imię tego, który za nas śmierć poniósł na krzyżu, wzywam was chrześcijanie — rycerze, zaniechajcie walki, inaczej zgubne padnie na was przekleństwo! Zgoda między syny chrześcijańskiemi, których ramienia kraj potrzebuje.“ Zgoda! Zgoda! między chrześcijańskiemi syny i braćmi! powtórzyło liczne grono rycerstwa różnych narodowości.

Nie prawo turniejów, ale moc religii wstrzymała walkę, obaj zapastnicy spuścili żelazo mordercze, a podjechawszy tuż aż przed pustelnika, zsiedli z koni do ucałowania podanego im krzyża, poczem

podawszy sobie dłonie do pojednania, uściskali się serdecznie.

Jak widok boju wszystkich uczucia zatrwożające przenikał, tak i to pojednanie się tem więcej błogie i rozrzewniające czynił na widzach wrażenie, rycerze stojący po za szranki, dzieląc także tego uroczystego ducha zgody bratniej, podawali sobie dłonie przyjaźni: tu zarosły Litwin ściskał od serca olbrzymiego wzrostu Polaka, tam otyły Mazur gibkiego Armeńczyka, ówdzie znowu smukły Węgrzyn Niemca stalowego, i tak podobnie wszyscy z różnych narodów, gdy głosy radosne uniesionego tym widokiem ludu sięgały aż do szczytu zamku książęcego.

Trąby wojenne zapowiedziały koniec, turnieju, strażnik w szacie herbowej podniósł laskę na znak, aby rycerstwo ruszyło w pochód przed księciem, który dosiadłszy podanego mu wierzchowca, otoczony poważnymi bojarami, już stanął na równini. Szereg rycerstwa postępował jeden za drugim przed Bolesławem i dworem jego, okazując zniżeniem kopii winne uszanowanie i ustawił się w rzędzie przeciw niemu, aby być świadkiem udzielenia nagrody dla najwaleczniejszego. Gdy w ostatku i oddział rycerzów Ormiańskich nadciągnął, ponieważ Rusiny i Ormiany jako krajowcy dali zagranicznym zaszczyt pierwszeństwa, skinął książę na marszałka, by go w pochodzie zatrzymał i walecznego przed nim stawił Hidraan.

Nie z tronu jak w innych krajach, lecz z konia dał mu pochwały waleczności, uważając go książęcej nagrody najgodniejszym — i wnet służalec wprowadził konia, aby go oddał wskazanemu. — I znowu ukazał się pustelnik, który zbliżywszy się do Bolesława, przemówił doń:

„Pozwól Książe i Panie, niech i z mej ręki spłynie nagroda najwaleczniejszemu, gdyż i ja mam prawo uwieńczyć tego który stać się może obrońcą chrześciaństwa.“

Odkrywając w tem zakonną suknię swoją, odwiązał mu sługa kościoła puklerz od ramion i bioder i podał go starcowi, a ten ująwszy go w ręce, wskazał Ormianinowi by pieszo ku niemu postąpił, i wkładając nań rynsztunek, mówił dalej:

„W nagrodę dzieł rycerskich otrzymałem w młodości mojej ten puklerz z rąk cesarza Greckiego; uwielbiając męztwo twoje, oddaję go tobie waleczny młodzieńcze, noś ten puklerz w boju za wiarę zagrożoną od tych barbarzyńców, którzy ci ojczyznę twoją wydarli;“ przeżegnawszy w ostatku zwiędłą swą ręką rycerza dzielnego, usunął się w tłum ludu i zniknął wśród niego.

Bolesław Trojdenowicz ruszył w tem z miejsca a długi szereg bojarów i rycerstwa za nim prosto do zamku książęcego, w którym była uczta już przygotowaną; zastawiono misy, dzbany i roztruhany

ciężkie srebrne i złociste — spełniano zdrowie dostojnego gospodarza, na którego dworze tak rzadka zajaśniała jednomyślność i zgoda w rycerstwie różnych narodów—którą to zgodę zaprzysięgli między sobą, aby zjednoczeni walczyć z nieprzyjacielem krzyża świętego.

Wtargnięcie Turków do Galicyi,

w. r. 1498.

Z roczników dziejopisa tureckiego Saded-ed-dina.

Najpotężniejszy w krajach saktabskich (sławieńskich) władzca Lihów (Olbracht król Polski) wiedziony chęcią podbojów, za poduszczeniem braci i dalszych jednej z nim wiary, których tu wyszczególniać niewarto, zebrał niewierne wojsko w celu najechania na islamskie posiadłości. Ponieważ stolica jego o miesiąc przeszło drogi od granicy państwa jest oddaloną, wyprowadziwszy zatem liczną piechotę i jazdę, na początku roku 1498 ruszył ku prawowiernych krajom. W czasie przechodu przez Bogdan (Multany) zatrzymał się w tej ziemi, i na mocy sąsiedzkich związków, oraz braterstwa w niedowiarstwie, posłał do tamecznego hospodara, wzywając do łączenia się z sobą i przewodniczenia zjednoczonem siłom. Lecz hospodar, chociaż na pozór z nim trzymał, i spólną zdawał się popierać sprawę; wiedział

jednak, iż owocem podobnego sojuszu byłoby zdeptanie obowiązków wiernego poddaństwa, i własna jego zguba. Pomny surowej kary, jaką tylekroć odniosły bunty niewiernych przeciw domu Osmanów, starał się odwieść króla Lihów od przedsięwzięcia, z przypomnieniem smutnego końca tylu już wojen, które królowi Franków (Europejczyków) przeciw wielkiemu Szechryarowi podnieśli. Tym najprzód sposobem nastraszywszy zuchwalca, w celu pozyskania czasu, sam niezwłocznie dał wiedzieć pogranicznym rządzcom, aby z jednego przynajmniej sandżaku (chorąztwa) wojsko do Mułtan, jako przednią straż nadesłali. Doradzał oraz wodzom naszym, iżby się zręcznie ukryli w miejscu przezeń wskazanym i za danem hasłem ukazali. Jeden z najbliższych tej granicy dowódzców, natychmiast z pięciu tysiącami żołnierza Dunaj przeszedł, i w umówionym zasadził się lesie. — Hospodar z swej strony, udając przestrach uchodził spiesznie nazad, a króla bezzwłocznie uwiadomił, iż przednia straż osmańska weszła na mułtańską ziemię, i że za nią nieprzeliczone wojska pospieszają. Ponieważ zaś siłami swemi ani podołać, ani się mierzyć z niemi niemoże, ażeby z drugiej strony król o jego szczerości i prawem postępowaniu najmniejszej niemiał wątpliwości, radził więc, aby mu przysłał pięć tylko tysięcy żołnierza. W ten czas pokazawszy miejsce, w którym się znajdują

prawowierni, wspólnie z dowódzcą królewskim najprzyzwoitsze powezmą zamiary i zajdą z tej strony, zkąd najbezpieczniej uderzyć wypadnie. — Król stosownie do tej rady posłał wnet pięć tysięcy w żelazne pancerze uzbrojonego wojska, a hospodar tymczasem cztery tysięcy swoich niedowiarków przebrawszy na wzór rumelskich żołnierzy, rozłożył blisko miejsca, w którem się prawowierni ukrywali i tym oddziałem straszyć nieprzyjaciela zaczął. Gdy wojsko Lihów, przewodniczone od hospodara, weszło na zasadzkę, prawowierni z dobytemi mieczami rzucili się na nie jak strzały i natychmiast multańscy niedowiarki, których się cztery tysięcy po rumelsku przybranych na tyle zostało, uderzyli w trąby i kotły osmańskim obyczajem, i żwawo z drugiej strony natarli. Wprawione w osłupienie wojsko Lihów, zmięszane i przestraszone, nie wiedziało kędy nazad uchodzić, i całe w rozsypkę pierzchnęło, a hospodar korzystając z przerażenia, rzucił się w pogoń i ścigał je po płaszczyznach i górach. Większa część nieprzyjacielskich żołnierzy, obłąkana w nieznanym kraju, nikczemnie wyginęła; reszta doścignionа od przedniej straży islamskiej, poszła w niewolę, lub na pastwę miecza. Mała niezmiernie liczba po tysiącznych cierpieniach ratowała się do obozu i o blizkim zwycięzkich sił następowaniu grożącą wieść tam przyniosła. Tak zwany obłąkaniec król Lihów,

widząc, jak niewiele z jego przedniej straży pozostało ludzi, przejęty bojaźnią, rzucił z przestrachem swój obóz, odbiegł sprzętów, bogactw, zapasów wojennych, i spiesznie uciekł do domu.

Twierdzą, iż 20.000 (?) wozów napełnionych wszelkiemi potrzeby i zbytku przedmiotami wpadło w moc zwycięzców, i stało się we spół z hospodarem udziałem przedniej islamskiej straży. Korzystając z przerażenia nieprzyjaciela, wysłano za nim oddziały lekkiej jazdy, które wielką liczbę uciekających schwytały w niewolę i ojczyznę zuchwalców pożogą i mieczem pustoszyli. Za powrotem z tej wyprawy, hospodar przypadającą na się część bogatej zdobyczy w raz z jeńcami odesłał w podarunku do wysokiego Progu Szczęśliwości, i nawzajem, za wierne swe usługi, otrzymał w nagrodę konia, futro obrzędowe, oraz znaczne pieniądze, uskiuf, (złotą czapkę) będąc oraz nad innych swych współbraci wywyższonym.

Skoro przestraszony król Lihów uciekł do swojego kraju, wysoki Padiszach rządcę Sylistryi, walecznego Małkucz-ohłu Bały-beja mianował dowódzcą wojowników wiary, w celu pomszczenia zuchwałości niedowiarków, i okrycia ich ojczyzny sromotą pożogi zniszczenia. Na ten koniec większa część rządzców rumelskich odebrała rozkaz, połączyć się doń z wojskami. Bały-bej w krótkim przeciągu czasu, zebrawszy pod chorągwie wiary, czterdzieści tysięcy do-

brze uzbrojonego żołnierza, ruszył ze stolicy swej prowincyi, przeprawił się przez Dunaj i wszedł na ziemię Mułtańską. Hospodar z oznakami czci i poszanowania spotkał przednie prawowiernych straże, i podług zwyczaju, opatrzył we wszelkie zapasy żywności, sam zaś, naprzód się udawszy, był przewodnikiem na swej ziemi. Przybywszy nad granicę Mułtan, rzekę Turłu (Dniestr) przejść należało, lecz że się bez mostu niepodobna było przeprawić, znalezione więc łodzie powrozami powiązane, służyły za most, po którem całe wojsko bezpiecznie przeszło. Skoro na ziemię Lihów wkroczyli; Ali-bej starszy syn Bały-beja objął dowództwo nad przednią strażą, a młodszy Tur-ali-bej nad tylną; wojsko zaś szczęśliwie w głąb lihskich krajów przeniknąwszy, wiele obronnych zamków i miast ludnych obróciło w perzynę, a wszystkie okoliczne ziemie zwycięzką jazdą stratowało i spustoszyło.

Pierwszą na drodze zwycięzców napotkaną warownią była, Terkowa (Koroków albo Soroka?), zamek zbudowany na brzegu rzeki, obronny i trudny do przebycia, mający wtenczas mocną załogę. Ponieważ rzekę nieinaczej, jak przez most przechodzić należało, ten zaś ogromnemi działami i wszelkim obrony rodzajem był zasłoniony, wysłany więc na rozpoznanie oddział, odkrył sposobne miejsce, kędy się można było wpław przebrać. Wojsko tym spo-

sobem rzekę przeszedłszy, uderzyło na olbrzymich niedowiarków, broniących mostu, wycięto ich w pień i zawzięcie się z nieprzyjacielem ucierając, weszło do twierdzy, gdzie swój gniew i zemstę sprośną krwią nasyciło. Dowódzcy zamku wzięci zostali w niewolę; żołnierze znakomitą zdobycz znaleźli.

Przyszli następnie do krainy, ciągnącej się po niezmierzonych okiem płaszczyznach, których środek zajmuje ogromne na kształt morza jezioro. Na brzegach jego znajdowało się wiele miast znakomitych. Te niespodzianie opanowawszy, ku największemu z nich pociągnęli, które wodami owego jeziora będąc na około oblane, z żadej strony niemiało przystępu, (zdaje się Brzeżany?). Szukając pilnie na około miasta wśród wiosek i domów letnich, odkryli w lesie most gruntownie zbudowany, po którym wojsko ku zamkowi ruszyło. Widząc islamskie żołnierze przechodzących rzekę, osada silną uczyniła wycieczkę, chcąc ich nazad odeprzeć, lecz porażona orężem prawowiernych, uciekać do zamku zaczęła. Ochotnicy, którzy za uchodzącymi pospieszyli, dopadłszy obwodowych murów, znaleźli drzwi jeszcze otwarte i udali się do środka. Nastąpiła żwawa tak zewnątrz jak wewnątrz murów utarczka, niewierni przełamanymi zostali, a zwycięzcy niezwłocznie opanowali twierdzę. Zabrawszy znalezione tam zapasy, zamek i miasto, które z deszczek i bierwion było zbudowane, spalili,

popioły tylko na igrzysko wiatrów zostawiając.

Przyszedłszy dalej do warownego miasta imieniem Gołogóry i zamku Kiliali (Gliniany) zwanego, postrzegli iż okoliczni mieszkańcy, lękając się przejścia wojowników wiary, opuszczali swe siedziby, do dwóch rzeczonych zamków unosząc skarby i kosztowne sprzęty. Niezwłocznie więc we wszystkich kierunkach posłano oddziały lekkiej jazdy, które niewiasty, dzieci i bogactwa zachwytawszy, żelazu brzydkie niedowiarków dusze, a ich mieszkania płomieniom poświęcili.

Po kilku dniach drogi, dosięgli miasta zbudowanego wspaniale w zachwycającem położeniu, otoczonego mnóstwem ogrodów i sadów, które znajome jest pod nazwiskiem Ili (Lwów). Znajduje się tu piękny pałac królewski, kioskami otoczony. To miasto było pobytem najmajętniejszych z obywateli, którzy zabrawszy klejnoty i najkosztowniejsze sprzęty, z rodzinami i czeladzią biegli skryć się po jaskiniach i pieczarach. Spotkani przez żołnierzy, wpadli im w ręce bez trudów i zabiegów, ze skarbami nie tak pospolitych mieszkańców, lecz raczej samowładnych i potężnych królów, tak dalece że te niezmierne bogactwa i mnóstwo klejnotów, rzekomo wspaniale były przygotowane. Zgrabiona z nich zdobycz tak się okazała wielką, iż każdy z wojowników nabrał więcej niżby mógł sobie życzyć i unieść. Ponieważ utrzy-

manie i straż miasta były niepodobnemi, oddawszy więc je na pastwę płomieniom, mieszkańców, jako lud wyborny na niewolników dla znanej jego poczciwości do jasyru zagnali.

Wojsko postępując dalej, spotkało na drodze miasto Sanadża (Dubiecko?) zwane, zbudowane wśród żyźnej i rozkosznej płaszczyzny, w położeniu zdrowem i przyjemnem, otoczone cudownie pięknemi widokami, oraz mnóstwem prześlicznych ogrodów. Wspaniała rzeka płynie przez jego środek, której przejść bez mostu prawie niepodobna. Ten strzeżony był od licznej mężnej załogi, i mnogiemi zasłoniony warowniami. Żołnierze islamscy, po tysiącznych znojach i przypadkach, wpław rzekę przebyli, uderzyli na niedowiarków broniących mostu, spalili ich twierdzę, a mieszkańców w niewolę uprowadzili.

Zbliżywszy się wieczorem do miasta nazwiskiem Radomya (Radymno); a ponieważ niewierni pilnie strzegli wrót i dachów, jazda więc prawowierna noc o okolicach przepędziła, lecz skoro dzień zajaśniał, poznano, iż zdobycie zamku bez wielkich trudów i znakomitej straty niemogło być dokonanem, przetoż go pominąwszy, oddziały wojska dla zgarnienia zdobyczy na różne strony rozesłano. Tur-ali-bej i Bały-bej, syn Jahia-paszy z wyborem wojska w dwie przeciwne strony wyprawieni zostali, a Bały-bej

główny tej wyprawy dowódzca, z resztą żołnierza zatrzymał się w tych okolicach, oczekując ich powrotu. Pierwszy z nich doszedłszy aż do miasta, imieniem Bruska (Przeworsk?) opanował je bojem i niedobitki swojego miecza popędził w niewolę; spalił nadto zamek i miasto, a po trzydniowem plądrowaniu z niezliczonemi bogactwy do ojca powrócił. Przybył też nazajutrz syn Jahia-paszy z ogromnem łupem, i przyznaczony został do strzeżenia tych skarbów, do pożytku doczesnego łączących duchowną przed Bogiem zasługę.

Opuściwszy to miejsce pogromcy błędu i niewiary, przyszli do bogatej i niezmiernie ludnej krainy, gdzie podobnież oddziały wojska rozbiegły się na rabunek, a główny korpus aż do powrotu tam pozostał. Jeden z najwaleczniejszych dowódzców, imieniem Hassan Wojwoda, wyprawiony z oddziałem rumelskich wojowników, przeniknął z jednej strony o cały dzień drogi, znalazł wśród obszernej płaszczyzny 700 domów niewiernych i w płomienie zapalonych mieszkań wrzuciwszy tych, którychby miał wyciąć, zdatnych do usług w niewolę popędził. Wróciwszy po kilkudniowym rabunku, przyniósł niezmierne do obozu bogactwa i na dziękczynienia wodza zasłużył.

Ogrom zebranych łupów tak dalece obciążył wojsko, iż dla wielości obozów, powrót nieprze-

zwyciężone znajdowałby trudności. Przetoż Bały-bej bojąc się, aby w czasie odwrotu od zdrad i chytrości niedowiarków nie cierpiał, roztropną powziął radę, palić i burzyć do szczętu wszystkie na swym przechodzie wioski i miasta. Tak mądrze obmyślony środek, całemu podobał się wojsku, które od tej chwili zabrało się do powrotu. Lecz w tem doniesiono wodzowi, iż na drodze znajduje się wielka do przebycia rzeka, której bez mostu przejść niepodobna, gdyż go chytry król spalić pospieszył; dalej zaś niebezpieczny wąwóz, który chociażby nieosadzony pozostał, trudny jest do przebycia; cóż dopiero, kiedy król potępiony, ile mógł wszystkie do powrotu zatamował drogi, ziemią i kamieniami zagrodził wąwozy i wszelkie sposobne do przechodu miejsca zarębami zawalił. Bały-bej otrzymawszy tę wiadomość, wspomnianego wyż Hassan Wojwodę, wyprawił naprzód dla przygotowania mostu z oddziałem zdatnego i przemyślnego żołnierza. Ten z największą usilnością zebrał na prędce materyały i zbudował most gruntowny, po którym Bały-bej z całem przeszedłszy wojskiem, niezwłocznie wyprawił mocny oddział, z zaleceniem otwarcia rzeczonego wąwozu. Lecz pułki naprzód wysłane, niebyły w stanie opanować tego przejścia. Gdy Bały-bej sam z wojskiem nadciągnął, dwa dni jeszcze bawił u wąwozu, a wtenczas waleczni wojownicy siekierami i czekanami

uprzątnąwszy drogę w lesie, otworzyli przechód, wpadli na nikczemników broniących wąwozu i do ucieczki ich zmusili. Tak więc wojsko prawowierne, wiedzione prawicą Wszechmocnego, przebyło szczęśliwie trudności i z otchłani zguby wybrnąwszy, rozwinęło zwycięzkie chorągwie na polu spokojności i zwycięztwa, widząc na sobie sprawdzone te słowa niewątpliwej księgi:

„I wrócili się sprawą łaski i miłosierdzia Boga, tak, iż ich żadne złe niedotknęło.“

Po kilku dniach drogi spotkali znowu czekającego na nich w ciasnem przejściu nieprzyjaciela i po żwawej utarczce zupełne odnieśli zwycięztwo. Chociaż w tej potyczce wielu mężnych poległo wojowników, żaden jednak z niej nieuszedł niedowiarek. Po bitwie Mustafa-bej, syn Kasim-beja, z pięć set jazdy wysłany został na obrabowanie okolicznego kraju. Uszedłszy kilka dni drogi, w dwóch miejscach stoczył potyczkę z niewiernymi, i w obu otrzymawszy zwycięztwo, przybył do ludnej i bogatej krainy. Tu spotkał wielką i głęboką rzekę, której mostu broniło 1.500 w boju wyćwiczonych pogan. Wezwawszy więc pomocy wybranego Proroka, uderzył na niewiernych. — Wszczęła się zażarta walka; krew piekielna zaczerwieniła nurty rzeki, nakoniec Mustafa przełamawszy nieprzyjaciela, most przeszedł i przybył zwycięzko do miasta Premysela (Przemyślany?)

które zrabował i spustoszył. Między innemi obdarł tam bogatą kielissę (kościoł) pełną lanych ze złota i srebra posągów, ukraszonych mnóstwem drogich kamieni. Gdy z tak świetnym łupem do obozu powrócił, wódz złożywszy Bogu dzięki za jego szczodrobliwość, udał się w dalszą na powrót drogę, zmierzając ku Akkierman i Kilij, położonym na granicy państw osmańskich. — W tym ostatnim zamku złożywszy piątą część łupów, należną samowładzcy, zwycięzkie zastępy do domów rozpuścił.

Opisanie tej wyprawy przez owego Turczyna, zgadza się zupełnie z naszymi kronikarzami, tylko jedynie w względzie zajęcia Lwowa nic nie wiedzą krajowi pisarze o tem; co być może, że tylko przedmieścia spalone być mogły.

Zamek nad Bugiem.

Powieść historyczna z czasów Zygmunta I.

Przeszłego roku zmusiły mnie ważne interesa familijne do odwidzenia małego, nad Bugiem położonego miasteczka Buska; a że dłuższy czas tamże zostać się spodziewałem — toż najałem sobie skromne kawalerskie mieszkanie na przedmieściu zwanem Lipoboki, u jednego z tamtejszych mieszczan. W mieście oprócz urzędników z któremi miałem do czynienia, nieznałem nikogo; toż starałem się zebrać znajomość z moim gospodarzem co wcale trudnem nie było; a po kilku dniach zdawało mi się iż zyskałem sobie całkowitą przyjaźń staruszka.

Niewiem czyli się to zowie przyjaźnią jeśli gdzie kogo grzecznie przyjmują, radzi z gościem rozmawiają; niewiem też czy przyjaźń od pierwszego poznania już się zabiera, czyli też potrzebuje dłuższego czasu do utrwalenia? lecz nie jestem filozofem, ni też tu miejsce prawić o tem.

W niedzielę po obiedzie wyszedłem na ulicę

obok rynku i przypatrywałem się ludziom wychodzącym z kościoła. gdy w tem dotknął mnie ktoś z lekka po ramieniu; oglądnąłem się, był to mój gospodarz.

— A może pan masz ochotę przejść się trochę, rozglądnąć się po okolicy? zagadnął mnie.

— I owszem; jeśli panu nie zabiorę czasu; bardzo mi będzie miłem towarzystwo pańskie.

Minęliśmy miasto; — na kilkadziesiąt kroków przed sobą ujrzałem nie wielki wzgórek, na którem sterczały jakieś gruzy, niby odłomek muru kamiennego.

— Czy też nie mógłbyś mi pan objaśnić co za budynek stał na tem miejscu? zagadnąłem mego towarzysza.

— Ho! to wspominek dawnej przeszłości! to moje ulubione miejsce.... właśnie tam zdążam.

Weszliśmy na wzgórek; był on dość rozległy; a gdym okiem rzucił na około zobaczyłem iż z jednej strony był dość szeroki do w pół usypującą się ziemią zawalony rów i zarośnięty zielskiem, tak iż ledwo znak pozostał.

Zaś od strony północnej ściana wzgórza była prawie prostopadłą, a u podnóża jej wiła się rzeka Bug, która swą srebrną wstęgą opasuje całe miasteczko.

Nad samą zaś przepaścią wisiał kawał muru,

którego bałem się nawet dotknąć; mniemając iż za lada poruszeniem urwie się i wpadnie do rzeki. Lecz mój gospodarz zapewniał mnie iż mur ten wisi już tak odkąd jego pamięć sięga.

— Tu stał nigdyś obronny zamek wojewody, mruknął staruszek i usiadł na bujnej trawie.

A więc tu stał zamek! pomyślałem sobie; niegdyś tu brzmiała wesoła muzyka i krążyły kielichy, nie jeden przechodzień znachodził gościnne przyjęcie, niegdyś tu się broniono przeciw napadom nieprzyjacielskim, nie jeden tu przebywał bochater, a ileż to czasów ten zamek tu przestał? niegdyś tu była całość, życie! a dziś?... śmierć, zniszczenie garstka gruzów.....

I tenże to kawał muru który jeszcze nie uległ zniszczeniu, któremu nie podołał ząb czasu — jest wspominkiem świetnej przeszłości i czynów?

Westchnąłem!

Wszystko niknie powoli najdroższe nasze pamiątki czas zaciera!

A gdzie się podziały nasze słynne miasta o których pisali dawni geografowie, gdzie jest: Lutydanum, Viricium, Scurgum, Rugium, Kalisium.... niema ani szczytu, ni śladu gdzie stały; zatarły się. Jeden tylko „Kalisium“ dziś zwany Kaliszem wytrwał do dzisiaj.

Usiadłem; staruszek wpadł w jakąś zadumę iż nieśmiałem mu jej przerywać.

— Rozglądnij się pan tylko uważnie do koła rzekł nareście, oto tam na lewo widać jeszcze dzisiaj szeroką fosą; ciągnęła się ona niegdyś na około tej tu góry, lecz dziś — ślady tylko w niektórych spostrzedz można miejscach.

— Teraz zaś spojrz pan przed siebie na łąkę widzisz na niej rosnące dęby, była to niegdyś droga prowadząca do zamku.

— Tu zaś gdzie siedzimy stał zamek wojewody; o dawno, bardzo dawno temu!

— Zdaje mi się że pan coś więcej wiesz o tem zamku? rzekłem nieśmiało.

Staruszek spojrzał mi bystro w oczy i odrzekł: a tak! ciekawyś Waszmość, bo to też wy młodzi ludzie lubicie starych ciągnąć za słówko, a potem piszecie i drukujecie to coście słyszeli.

— Lecz to nie źle, nie źle! dodał z dobrotliwym uśmiechem, trzeba podawać potomności zdarzenia dawne, aby umieli oceniać charakter swoich pradziadów.

— Lecz proszę wybaczyć; rozgadałem się i zabaczyłem o pańskim żądaniu. Słyszałem ja nie jedno od mego ojca, tenże zaś od swego dziada, nie jedno też mógłbym panu opowiedzieć; wiele pism mego

pradziada znajduje się u mnie w biórku, pisanych w języku łacińskim.

— Lecz zaczynam:

Za dawnych błogich czasów kiedy to jeszcze Ruś nasza na województwa podzielona była, jako to: Bełskie, Podlaskie, Bracławskie i Ruskie; po śmierci króla Aleksandra, za czasów Zygmunta I. roku 1507 okropna klęska spadła na nasz kraj; był mór.

Szczególnie też w Krakowie wiele ludzi marło; biedniejsi uciekali z swą rodziną w lasy, bogatsi zaś uwozili swe majątki za granicę.

Popłoch w kraju był ogromny, dochody państwa szczupłe, wojsko żądało płacy a nieotrzymawszy takowej, rozchodziło się do domów.

Aby mieć środki utrzymania porządku, król nakazał w całym kraju każdemu płacić pogłówne; zaś Boner kupił królowi Oświęcim i żupy ruskie za 14.000 złr. p. od Pawła Czarnego, mieszczanina Krakowskiego.

Natenczas Wasyl Wielki książę moskiewski, widząc w jakim się stanie Polska znajduje, umyślił z tego korzystać.

Pobratał się z Hanem przekopskich Tatarów i mocno go sobie upominkami zjednawszy, wyprawił go ze czterdziestą tysięcy ludzi aby zawojował Ruską ziemię, a sam zaś miał z drugiej strony do Litwy wtargnąć.

Tatarzy tedy — nie znalazłszy na granicy nikogo coby się im oparł — przeszli przez Wołyń do ziem Ruskich.

W Busku za miastem na wzgórku — ot, tu gdzie jesteśmy, stał obronny, fosą i murem otoczony zamek Jana Kamienieckiego Pilawczyka, kasztelana Lwowskiego, starosty Buzeckiego.

Gdyś przeszedł most zwodzony, ujrzałeś nad bramą herb właściciela a po drugiej stronie herb państwa: żółtego Lwa w złotej koronie; do niego należała ziemia Lwowska, Halicka i Przemyska. Po dziedzińcu snuł się tłum dworzan; bogato strojne landary, karoce i wózki; wypełniały reszty miejsca.

Zjazd był ogromny! gdyż to imieniny starosty obchodzono, okoliczna szlachta, ba! nawet i o mil kilkanaście tu się zebrała. Zaś u drzwi wchodowych złotemi literami na błękitnem polu, był położony następujący napis:

Bogu na chwałę! Sobie ku wygodzie!
i przechodniom!

Huczna kapela zamkowa grała mazura, młodzież ochoczo tańczyła, poważne matrony rozsiadły się do koła i strzegły swych córek: w drugiej komnacie siedzieli starsi wiekiem i dostojeństwami, spełniali puhary rodzimego wina i gawędzili o różnych rzeczach.

Dziś, graliby w karty! lecz dawniej karty nie były jeszcze tak rozpowszechnione, bawiono się polowaniem, turniejami, lecz nie tracono marnie czasu na rachowaniu lew i sztonów.

A niechnoby który z dworskich śmiał zagrać w karty! turma czekała nieboraka cały tydzień o chlebie i wodzie.

Dziś młodzieniaszek nie przeszedł jeszcze infimy a jest już biegłym graczem, graczem namiętnym.

Dlatego też mamy tylu przedwczesnych starców gdyż człowiek z jednej namiętności wpada w drugą a namiętności gnębią człowieka.

— Patrz panie Starosto, jak córkę aszeci zgrabnie wiedzie do tańca jakiś szlachetka, zagadnął jeden z gości Kamienieckiego.

— A cóż, nie dziarski chłopak! wyrzekł starosta, z nietajonem uczuciem, mogę się poszczycić żem go wychował, syn biednych ale poczciwych rodziców, mnie tylko wszystko zawdzięcza! Robi kordem że aż miło patrzeć, najdzikszego dosiędzie rumaka, od zabaw i kielicha też nie stroni; to moja prawa ręka! A chodź no tu asze panie Madaliński! zawołał.

A dobry to pan był ten starosta, poznałeś to zaraz od pierwszego wejrzenia, z szlachetnej postawy, z oczu przebijała się dobroć i szlachetność staropolskiego szlachcica, jakiej dziś na próżno byśmy szukali.

Młodzian najwięcej lat dwudziestu zbliżył się z uszanowaniem do starosty, i obecnym pokłonił się nizko.

Jan Kamieniecki przedstawiwszy go dodał: a jaki z niego gospodarz, jak się na wszystkiem rozumie, także i oracyą po łacininie niby drugi Cicero wyciąć potrafi.

— Ho! ho! a toż to wiele zalet w jednej personie! — wykrzyknął ksiądz Mikołaj Zarzycki, przyjaciel starosty.

— Proszę do figury, panie Madaliński! — ozwał się cienki pieszczotliwy głosik z salonu; był to głos Jadwigi, córki Kamienieckiego.

Ulubieniec skłoniwszy się powtórnie, wybiegł.

— Zawsze tylko jego wybiera, jemu pierwszeństwo oddaje i chętnie z nim mówić lubi, mruczał starosta do siebie, jak para gołąbków, jakby kochankowie.

Nagle brwi sfałdował, groźna błyskawica przesunęła się po jego czole i to co do siebie żartem wyrzekł, wydało mu się prawdą; myśl ta dręczyła go.

— Hm, ona — moja córka miałażby kochać biednego szlachetkę, sierotę? A on — czyliżby śmiał podnieść na nią swe oczy?... czyż by to było takie wywdzięczenie się za moje dobrodziejstwa?.... o niebaczny! zgubiłby siebie... zgubiłby i ją!

Lecz wkrótce uspokoił się, śmiał sam ze swej

obawy, a jednak ciągle śledcze spojrzenia zwracał ku komnacie przez drzwi, w której tańczono.

W końcu uśmiech zadowolenia wystąpił mu na usta i rzekł sam do siebie: jestem prawie przekonany że Madaliński żadnych względem mej córki nie ma zamiarów, lecz by się całkowicie zaspokoić, muszę mieć dowody. Wyszlę go do Lwowa z listami i to zaraz! ciekawym jaki ten nagły wyjazd zrobi na Jadwisi wrażenie? Faworyt zawołany stawił się, odebrał listy i wyszedł na galerję zamkową.

Jadwiga obojętnem okiem patrzała na wyjazd dworzanina, starosta był zaspokojony, przycisnął córkę do piersi; gdy w tem wpadł faworyt do sali i krzyknął: Panie idą Tatarzy! są już we wsi poblizkiej najdalej za pół godziny tu będą! Potem powiódł okiem na około, jak gdyby się chciał przekonać jakie na obecnych wrażenie ta nowina wywarła, najdłużej zaś zatrzymał swój wzrok na Jadwidze, uśmiechnął się szydersko i wyszedł ze sali.

Jadwiga zemdlała.

Madaliński wszedł do swej komnaty, zamknął drzwi na klucz i usiadł na stołku.

— A więc dziś... już dziś, spełnią się moje najgorętsze życzenia! czekaj dumny panku! wyznałem jej swoją miłość; zdziwiła się, oburzyła, zagroziła że powie ojcu i potem li tylko z litości zamilczała o całem zdarzeniu; — szeptał sam do siebie. Myśla-

łem że mnie kocha, zawsze do wszystkiego mnie używała, lecz nie! nie jestem ja przedmiotem jej kochania, lecz jestem machiną która bawi; jestem dobrem tancerzem, zręcznie gram w co tylko mnie każą, bawię swym dowcipem wszystkich... o tak, dodał z goryczą, ona mnie uważa za swego trefnisia! ona nie ma serca, to głaz! o słuszna będzie zemsta. Wysilony upadł na stołek, po chwili dobył z zanadrza jakoweś papiery, wziął z nich jeden i zaczął czytać. — O tak, Han żąda abym mu ułatwił zdobycie zamku abym w jego ręce oddał wszystko, a w nagrodę obiecuje mnie starościankę.

— To dobrze! dodał po chwili milczenia, gdyż nawet w sercu najzatwardzialszego zbrodniarza są chwile w których natura upomina się o swoje prawa w których człowiek się zastanawia, rozmyśla, rozbudza się, a nieraz i gardzi sobą! Papiery napowrót schował.

— Za chwilę nadejdą a ja im zdobycie ułatwię, za chwilę nie ona lecz ja! dumnie wzniosę me czoło do góry, a biada kto mnie urągać będzie! O nieszczęśliwe zaślepienie, o dumo! ileż to ludzi przywiodłaś do zguby? ileż to aniołów padło ofiarą dumy?

Wstał i chciał wyjść, lecz wzrok jego padł na napis nad drzwiami, jaki starosta wszędzie umieścić kazał.

„Poświęć prywatę dla dobra ogółu“

Przeczytawszy ten napis, zdrajca wstrząsł się, widno było iż walczył z dwoma uczciami; walczyło tu poczucie polaka do obowiązków i honoru, z podłą prywatą z nikczemnem postanowieniem.

Wahał się chwilkę, lecz zły duch zwyciężył.

Wyszedł na dziedziniec zamkowy gdzie już starosta armaty wytoczyć kazał i przekonawszy się iż wszyscy tamże byli zajęci, wszedł do piwnicy zamkowej gdzie rzędem stały beczułki z prochem, odetknął czopki i ponalewał wody.

Uśmiechnął się zdrajca zadowolony z swego postępku i szedł wziąść udział w dalszej wyprawie.

Starosta polecił mu obronę głównej bramy.

* * *

Wre walka straszliwa, zewsząd słychać jęki rannych, wrzawa okropna, dym osłaniał tę straszną scenę; zaś starosta z obnażoną karabelą w ręku przebiegał szeregi walczące swych domowników i zachęcał ich do dalszej walki.

Jadwiga opatruje rannych; mężna niewiasta, znać że Sarmatka! nie lęka się poświstu kul i huku dział, podeszła ku głównej bramie, tam jej czynności najwięcej potrzeba.

— Madaliński, rzekł z rozpaczą starosta podchodząc ku niemu, nieszczęście, biada nam! Bóg nas

ukarał; między nami jest ktoś — co niewart aby go ziemia nosiła! podły, nikczemny zdrajca! zamoczył proch. — W żelazie jedyna nasza nadzieja.

Madaliński zbladł; wzburzyło się na ten zarzut uczucie szlacheckie, chciał złe naprawić, lecz już zapóźno.

— Ona tak piękna! poszepnął.

Tą razą zły duch zwyciężył.

Rozległ się łoskot straszliwy, wywalona brama upadła, a Tatarzy hurmem zaczęli się cisnąć w dziedziniec zamkowy.

— Ałłah hu! wrzasły hordy — śmierć giaurom i zniszczenie!

Jadwiga cofnęła się za kąt muru, nadbiegł tamże faworyt starosty.

— Panie Madaliński; ratuj, ratuj! wołała błagalnie ku niemu wznosząc ręce.

— Nic ci się nie stanie, pójdź za mną — odrzekł tenże ponuro.

Wziął ją za rękę i włożył żółty turban na głowę *).

— Co to znaczy? zapytała Jadwiga.

To nic, mruknął Madaliński i wmieszał się między Tatarów którzy z uszanowaniem się mu rozstępywali.

---

*) Tatarzy zwykli swym sprzymierzeńcom turban dawać.

Starosta z dworzaninami cofnął się z dziedzińca do zamku. — Zdrada! zdrada! — ten nagły wykrzyk powtarzany od szeregu do szeregu, zmieszał szyki Tatarskie.

Na drodze wiodącej do zamku ukazało się wojsko polskie pod przewództwem Olbrachta Przeciszewskiego.

— Panowie bracia — rzekł tenże obracając się do towarzyszących mu rycerzy, komu Bóg i Ojczyzna miła — za mną!

— Naprzód! przetrzemy rogi dumnemu Tatarzynowi! krzyknęło wojsko.

* * *

Uległ Tatarzyn! zwyciężony pierzchnął w nieładzie, noc nadchodząca przeszkodziła dalszemu ściganiu, znużeni wojownicy otarli pot z czoła a krew z żelaza; starosta dziękował Bogu za nadesłaną pomoc.

— Lecz gdzie Jadwiga? Madaliński? wykrzyknął.

— Wychowałeś gadzinę na swem łonie, szepnął ktoś w pobliżu stojący, widzieliśmy go między Tatarami, uprowadził też z sobą i twoją córkę.

— Skarz go Boże! — mruknął starosta i załamał ręce w rozpaczy.

— Nie ma ni chwili do stracenia, pójdźmy w pogoń za bisurmaninem a może Bóg poszczęści.

Zebrał dworzan, a i wojsko polskie towarzyszyło mu.

O półtory mili od Buska nad Bugiem, zebrali się rozbici Tatarzy; w całym obozie wielki gwar, poruszenie, zapomniano nawet zwykłych środków ostrożności, a to: rozstawić czaty.

Przed jednem namiotem około wielkiego ogniska rozsiedli się starsi przywódzcy hord Tatarskich, jako też i imani.

Chmura na czole każdego, wszystkich brwi groźnie ściągnięte, na uboczu stał znany nam Madaliński pod strażą.

— I jakież wasze zdanie ojcowie? zapytał stary Tatar Imanów.

— Śmierć zdrajcy! wyrzekli Imani on to albowiem obiecywał nam pomoc a zdradził haniebnie! I cóż z tego że proch giaurom zamoczył? ich ramiona są silne a stal twarda! I czyż to przyczyniło się nam do chwilowego zwycięztwa że nam ułatwił zdobycie bramy? ha! to był podstęp tylko, któż jeśli nie on zapewnie sprowadził wojsko które nas do ucieczki zmusiło? I on jeszcze żyje i śmie żądać nagrody? śmierć mu!

— A biała dziewczyna?

— Będzie ozdobą pokoi naszego Hana, odrzekli Imani.

— Biada nam! giaury idą! — rozległ się wykrzyk w całem obozie.

Cała rada powstała spiesznie z siedzenia.

W istocie — Jan Kamieniecki nadciągał z swem hufcem.

Zawiązała się walka straszliwa, walka o śmierć lub życie.

Starosta parł Tatarów ku rzece.

— Ha! wykrzyknął nagle — to ona! ujrzał albowiem jak jakiś olbrzymiego wzrostu Tatar wziąwszy Jadwigę przed siebie na konia, puścił się ku rzece. Dogonił go; lecz Tatar zręcznie zwróciwszy się i odbijając cios swem krótkiem pałaszem wytrącił karabelę z rąk jego i już wzniósł ramię dla zadania śmiertelnego razu — gdy zjawił się niespodziewany wybawca, był nim Madaliński.

W ogromnym popłochu, każden o swem tylko myślał bezpieczeństwie, o nim zapomniano; przyskoczył on ujrzawszy niebezpieczeństwo starosty, a podjąwszy z ziemi zgubioną strzałę, ugodził nią Tatara w plecy tak silnie, iż tenże zachwiał się i upadł na ziemię.

Pochwycił padającą i oddał ją ojcu.

— Panie Madaliński, rzekł starosta, winniśmy ci życie; dziękuję! i dawne urazy puściłem w niepamięć; przebaczam. Polak nie umie przeklinać swych wrogów! i podał mu rękę.

— Panie, rzekł rozczulony faworyt, zdrajca nie jest wart dotknąć ręki godnego człowieka, zły duch zaślepił mnie, opętał, śmierć tylko mnie pozostaje.

I nim jeszcze starosta pomyślał go wstrzymać, już się rzucił w wodę która w tem miejscu była wielce głęboka — utonął.

. . . . . .

— Boże przebacz mu, bądź miłościw jego duszy rzekł z westchnieniem starosta łzy ocierając.

. . . . . .

Działo się to dnia 23 lipca roku 1507. przeszło 2000 Tatarów poległo na placu, reszta nazad do kraju wróciła; a tak, plan księcia Wasyla udaremnionym został.

Moje wspomnienia.

Chcecie gawędę, chcecie opowiedzenia wypadków mego życia? pytam się was po co? czy dla zaspokojenia ciekawości, czy dla zabawy tylko? — przecież tyle rzeczy na świecie jest i ciekawszych i zabawniejszych. — Lecz że siwizna już przyprusza moją głowę, a dla starego gawęda to rzecz i miła i serdeczna, więc wam otworzę moje serce, pamięcią przywołam chwile mego dzieciństwa i późniejszej młodości, abyście znając je, brali dla siebie naukę: czego strzedz się a co naśladować należy. — Nie żałujcie więc chwilki czasu na gawędę szpakowatej głowy, która i wiele widziała i wiele słyszała, a kierując młodością, budujcie gmach swojej przyszłości nie na piasku o którym Chrystus Pan w Ewangielii Ś-tej wspomina, ale na opoce, to jest na pracy, poczciwości i oszczędności, aby, gdy przyjdą burze i wichry życia, boć o ciągłą pomyślność tak jak o pogodę trudno, jest na świecie, gmach waszego

szczęścia nie upadł i nie przywalił gruzami swojej ruiny. A teraz posłuchajcie:

Byłem synem bardzo biednych rodziców, ojca zupełnie nie znałem, bom się urodził już w parę miesięcy po jego śmierci. Wiem tylko, że był szewcem w małem miasteczku Klimontowie w ziemi Sandomierskiej i za cały majątek zostawił nam warsztat swój rzemieślniczy, to jest: kilkanaście kopyt, szydeł, noży, szczecinę, dratwę i inne podobne drobiazgi.

Jak tam matka sobie po śmierci radziła, tego nie wiem; ale to pamiętam: że kiedy już byłem chłopięciem biegającem i skaczącem po rynku, u nas na pokomornem było zawsze i chłodno i głodno. Matka zawsze za domem u jakiej roboty, a ja jak mały źrebak cały dzień boży, hulaj dusza! po zajazdach, po domostwach igrałem i biegałem z podobnemi sobie berbeciami, między któremi rej wodziłem.

Do psót bowiem taki byłem sprytny, że się przedemną nic w spokojności nie ostało: ani gniazdo ptasie, choćby na najwyższem drzewie, ani groch lub rzepa w polu, ani owoc w sadzie i jak tylko ugryźć się dały choćby zielone jak trawa, zawsze miałem niemi ponapychane kieszenie.

Łajano mnie wprawdzie, krzyczano odgrażano się, skarżono się przed matką; ale ja na to nic nie zważałem. Matka się napłakała, ja ucałowałem jej ręce, nogi, przyrzekłem poprawę i wreszcie przez

parę godzin byłem jak trusia: ale niedługo natura pociągnęła wilka do lasu i bryzg! na miasteczko po nowe psoty i po nowe na siebie łajanie.

Gdybymto był poprzestał na gruszce, gnieździe lub rzepie, byłoby jeszcze pół biedy; ale gdzie tam: ja i ludziom i zwierzętom nie dałem spokojności. Gospodyniom rzucałem z płotów lub ze sznurów bieliznę na ziemię — tłukłem garnki kamieniami, łapałem kury lub kaczki i dalej w domu w skrytości przed wszystkimi rosół gotować.

Mieszczanom zakurzałem oczy piaskiem lub obryzgiwałem ich błotem: bo biegając zawsze kłusem po piasku szurgałem nogami, jakbym ich dźwignąć nie mógł do góry, a przez błoto lub kałużę, w które zawsze w sam środek wbiegałem, pędziłem jak strzała udając konia galopującego i rżąc i potrząsając głową, biłem z góry nogami.

Na żydów ukryty za węgłem jakiego domu rzucałem kamykami, błotem zeschniętem, lub w zimie śnieciuszkami, a jak szedł jaki majmorajne, wtedy z sieni jakiego domu zawołałem za nim nagle: „Reb — Reb!“ — i jak się obejrzał, to ja mu dalej ucho wieprze ze starej cholewy pokazywać i przytem regularnie język po sam pas wywiesiłem. Przekupkom szczególniej w targi i jarmarki, w przebiegu niby pogwizdując chwytałem ze straganu wszystko co się dało — chłopom z wozu słomę lub siano dla siebie

na posłanie. Kobietom ściągałem z głowy chustki, a choć kto i spostrzegł mego figla, to nim się namyślił, nim krok ruszył, ja już byłem gdzieś tam na końcu miasta.

Trzodzie ucinałem ogony albo ją szczułem psami, które znałem w całem mieście i równie przez nich byłem znany, a jak który co przeskrobał, tom mu ogon kładł w rozszczypany patyk i z piskiem i ze skowykiem puszczałem na miasto. Oj! zbereźnik był ze mnie ogromny, to też mało mnie kto lubił, każdy narzekał i nie było prawie jednego takiego człowieka, cobym mu nie zapiekł jakim figlem po uszy.

Jedna tylko matka, choć nieraz płakała i narzekała na mnie, często fuknęła a czasem i stuknęła ale równie przytuliła mnie z miłością, ucałowała, uściskała, mówiąc: oj! nie znają ludzie mego Mateuszka, nie znają: bo żeby go znali, toby go i kochali.

Ale Bogiem a prawdą nie mieli mnie za co i kochać, dlatego też każdy bił na mnie wszystko złe mnie przypisując, a miejscowy nauczyciel szkółki z siwemi brwiami, z nosem czerwonem jak ćwikła, zawsze mawiał do matki: pani majstrowa! niech cię Bóg strzeże; ale jeżeli twój Mateuszek nie skończy na szubienicy, to będzie wielka łaska Pana Boga. Na te słowa matczysko tylko wzdychała i obcierając oczy, prawie zawsze mówiła:

— Ej! mój panie Garlicki! żebyś pan dobrze znał mego Mateuszka, tobyś...

— Właśnie że go znam dobrze — przerwał nauczyciel z gniewem — i dla tego powiadam: że go czeka szubienica.

Matka zwyczajnie jak matka, coby za swym jedynakiem w ogień wskoczyła, broniła mnie jak mogła; co zwykle nauczyciela gniewało i wychodząc krzyczał: tak — tak powiadam: szubienica, szubienica, jeżeli nie co gorszego.

Ja zwykle kiedy po jakim figlu widziałem wchodzącego nauczyciela ze skargą do matki, stawałem ukryty za węgłem domostwa i jak tylko dostrzegłem go wychodzącego z sieni, wybiegłem nagle niby o niczem nie widząc i ze śmiechem pędziłem tuż koło samego nosa. Wtedy nauczyciel zatrzymywał się z groźbą, podnosił laskę i wołał za mną:

— Ty szubieniczniku, poczekaj — jak cię raz złapię, to ci dam taką frycówkę, że ruski miesiąc popamiętasz! poczekaj szubieniczniku!

A że to nie raz i nie dziesięć tak się zdarzało więc głos poszedł po całem mieście, i mnie już wszyscy nawet takie jak ja dzieciaki nie Mateuszkiem nazywali ale szubienicznikiem.

I tak chrzczony przez wszystkich na szubienicznika, rosłem, rozwijałem się i jeżeli nikt mnie nie kochał i ja równie nikogo, tylko jedną matkę,

dla której szczęścia ostatnią krwi kroplę oddałbym z siebie.

Ale złą była taka zbyteczna dobroć matki: bo kogo ludzie kochają, tego i Bóg kocha i miłość ludzka to skarb za żadne pieniądze nie nabyty. Ale czyż ja mogłem wtedy podobnie rozumować — a niestety nie wiedziałem, że wkrótce uderzy we mnie grom, co mi da uczuć całą srogość braku miłości ludzkiej. Bo gdy nie myśląc o jutrze tylko o bieganiu i figlowaniu i gdzie na jakim połanku lepsza rzepa albo gruszka w ogrodzie; na miasto nasze napadła cholera, a tak zjadliwa, że ludzie tak jak muchy padali i ja dzieciak dziesięcioletni zostałem sierotą... gdyż Bóg zabrał mi między innymi i matkę do swojej chwały. Rozpacz moja nie miała granic: bo czułem że jedyne serce, które biło dla mnie miłością na ziemi, zastygło już na wieki i że świat, choć tak ludny i szeroki, dla mnie będzie pusty i ciasny, bo nie znajdę w nim nikogo, coby mnie do serca przytulił i ogrzał pocałunkiem miłości, pobłażania i tem uczuciem świętem, które wiecznie ożywia piersi matki dla dziecka.

Z całej puścizny rodzicielskiej został mi tylko mały krzyżyk na czarnej tasiemce, który matka zawieszając mi na szyi, wyrzekła słabym głosem: Masz na pamiątkę po matce, Boga ukrzyżowanego... kochaj go... a Bóg cię nie opuści.

I słowa te przylgnęły do mojej duszy. Przez cały bieg mego życia ciągle je słyszę przy sobie i widzę rękę matki, jak drżącą dłonią błogosławi mnie na drogę długiego żywota.

I długo potem płakałem; ale z żalem moim i ze łzami kryłem się przed ludźmi: bo lękałem się aby ich nie wyszydzono i nie roześmiano się z biednego dzieciaka, jak i ja nieraz w głupocie mojej śmiałem się z biedy ludzkiej, której często sam byłem powodem.

Zostałem więc sam, bez żadnej opieki: a że wszyscy byli potrwożeni: bo nikt nie był pewny godziny swego życia, każdy frasując się sobą i bliskimi sobie, których zawsze większa połowa zalegała w łóżkach, mało dawał baczenia na dzieciaka co tylu zmartwień i przykrości był powodem dla wszystkich.

Wymizerniałem więc, wychudłem, głód dokuczał potężnie. Do chorych nie było po co iść, bo tam więcej było płaczu i skwierku niż chleba; zdrowi zaś, lękając się zarażenia, jeźli dali chleba kawałek, to natychmiast drzwi przed nosem zamknęli i coraz więcej czułem się prawdziwym sierotą.

Brudny więc i obdarty wałęsałem się po mieście, z ukosa poglądając po ludziach; bo zawsze myślałem, że mnie kto złapie i obije za dawne figle; ale najwięcej unikałem nauczyciela i jak z daleka kogo zo-

baczyłem z czerwonym nosem, to tylko kurzyło się za mną, com tak uciekał.

A że wtedy strasznie byłem głupi, choć i dziś człowiek nie żaden mądrala, ani razu nie pomyślałem, co to dalej ze mną będzie, że kiedyś przecie urosnę i że dzień każdy posuwa mnie w lata, które się zawsze starością kończą. Zdawało mi się bowiem że ciągle będę małym Mateuszkiem, że tak zawsze z rozczochraną głową, brudny, odarty biegać będę po mieście, strzegąc się starszych, aby mnie nie uchwycono i nie obito za dawne figle.

Słowem zdawało mi się, że miasteczko nasze jest całym światem, ludzie w nim jedynymi ludźmi na ziemi a choć mi mówiono czasem o Warszawie i innych dużych miastach, to sądziłem, że to tam gdzieś daleko jakby na słońcu lub księżycu i nawet nie myślałem o tem.

Wprawdzie po śmierci matki głód mi częściej dokuczał, często napadała jakaś nudota, jakby smutek bolesny, to wtenczas siadałem gdzie na uboczu i patrząc w krzyżyk a w myśli przypominając ostatnie chwile matki, jej drżące słowa, jej rękę po nad głową moją z błogosławieństwem wyciągniętą płakałem tak szczerze i z takiem łkaniem, że aż zanosiłem się od płaczu.

Po takiem każdem wypłakaniu się jakoś zaraz lżej mi się zrobiło na sercu i choć się nie stawałem

weselszy, ale spokojnie znosiłem dzienne troski i jakaś wstępowała we mnie otucha, że to się przecież kiedyś zmieni, że Bóg którego w krzyżu z ukrzyżowanym Chrystusem czułem na swej piersi, którego opiece zostałem oddany przez umierającą matkę, ulituje się nad mojem sieroctwem i wyrwie z okropnego położenia, które mi się coraz przykrzejszem i boleśniejszem stawało.

Tym sposobem nauczyłem się modlić i ufać w Opatrzność Boską, bo po wypłakaniu się gdy z czerwonemi oczyma smutny lecz spokojny wałęsałem się po ulicach, Bóg, jak ptakowi ziarno, zsyłał mi miłosierdzie ludzkie w śniadaniu ciepłem, obiedzie lub kawałku chleba, przez co tak przywykłem do tych samotnych łzawych z samym sobą pogadanek, że jak dnia którego zająłem się jakiemi fraszkami i nie odwiedziłem mego kącika serdecznej z Bogiem i Matką rozmowy, czułem jakby wyrzut sumienia, jakby czczość w duszy i czemprędzej biegłem gdzie na ustronie, żeby spojrzyć na krzyżyk, westchnąć popłakać i podumać z samym sobą.

Pomału jednak w tych samotnych rozmyślaniach mimowoli przychodziła myśl: co się dalej ze mną stanie? Widziałem, że każdy miał jakieś zatrudnienie, ja tylko jeden żadnego i jestem jak ten ptak, co swobodnie przebiega z gałęzi na gałąź.

Ale myślałem sobie: ptak sam szuka dla sie-

bie pożywienia, goni za muszkami, rozgrzebuje barłóg na rynku po furach na targ zgromadzonych lub śmiecie pod domami i nikt mu nic nie daje, nie myśli o nim; a ja żyję miłosierdziem ludzkiem, a jak dawniej, po większej części napaścią na cudzą własność.

Myśli takie, coraz częściej gromadzące się do głowy, niepokoiły mnie, wstydem okrywały czoło, gdy litość ludzka opatrywała mnie dziennem pokarmem; bo sądziłem siebie gorszym od ptaka, który nie oglądając się na cudzą pomoc, sam w swoich siłach, w dziobku i w skrzydłach znajduje środki wyżywienia i raz, gdy mnie złajano i nazwano próżniakiem i po dawnemu szubienicznikiem, w taki wpadłem gniew na samego siebie, na cały świat i na ludzi, że drąc włos na czuprynie, wybiegłem za miasto z postanowieniem umarcia z głodu a nie wrócienia się do miasta, w którem tak zelżono i nieczule odepchnięto sierotę.

I siadłszy pod płotem zdala od drogi, zacząłem serdecznie płakać, łamać ręce, tarzać się po ziemi i uderzywszy się w piersi, jakbym je chciał rozbić i wydrzeć smutek, co mi kamieniem leżał na sercu, poczułem ból od przyciśnięcia krzyżyka, tak że aż lekko krzyknąłem. Po chwili trzymałem krzyżek w ręku i choć łzy zasłaniały mi oczy, z czułością począłem wpatrywać się w wizerunek Chrystusa Pana

w jego przebite ręce i nogi gwoździami, w koronę cierniową, z pod której sączyły się krople krwi, w tę boleść, która malowała się w twarzy i w całej postawie Zbawiciela. I pomimowoli rzekłem:

O! mój Boże! jakże wiele cierpiałeś? Jacyżto źli ludzie byli, co ci takie rany pozadawali.

Słowa te zwróciły uwagę na moje położenie tak różne od cierpień, które Zbawiciel świata odkupienia ludzkości poniósł na krzyżu i wspomniawszy sobie Matkę, jej oddanie mnie w opiekę Bogu uspokoiłem się znacznie tak, że zapomniałem zupełnie o świeżem zmartwieniu, które mnie z miasta wygnało.

I myśl moja zaczęła przebiegać chwile minionej swobody, różne figle, dobroć Matki, jej dbałość o codzienne moje potrzeby, a łagodząc boleść stawała się coraz niewyraźniejszą, coraz dziwaczniejszą przez łączenie z sobą różnych przedmiotów, w których nieznacznie przymknąłem oczy i usnąłem.

Jak długo spałem, tego nie pamiętam, wiem tylko, że we śnie widziałem jakiegoś starca wywijającego kijem, zupełnie podobnego do nauczyciela, który stał z daleka i spojrzawszy na mnie rzekł:

— Mnie matka twoja uprosiła o opiekę nad tobą, słuchaj mnie więc zawsze a będzie ci dobrze na świecie.

Że się przeląkłem bardzo łatwo odgadniecie;

bo w całem mieście nikogo się nie bałem, nawet burmistrza i policyantów, jak tego człowieka, chociaż mi nigdy nic złego nie zrobił, a ja mu wiecznie dokuczałem. Ale bałem się jego groźnej miny, jego laski zawsze na mnie skierowanej i tego, że uczył dzieci i trzymał ich po kilka godzin w szkole a ja już tak nawykłem do próżniactwa, zbijania bąków i wałęsania się, że lękałem się nauki jak ognia. Chociaż więc we śnie widoku tego ogromnie się zląkłem, zadrżałem jak liść na drzewie i cały w zimnych stanąłem potach. Zacząłem się szamotać, chciałem niby uciekać; ale i kroku postąpić nie mogłem i kiedy się tak męczę i morduję, poczułem, że mnie coś szarpie za nogę.

Ocknąłem się więc, podniosłem głowę z ciężkim westchnieniem; ale jak spojrzałem i usłyszałem tak dobrze znajomy sobie głos: ty próżniaku, ty szubieniczniku, gdzie ty latasz? Już cię dwie godzin szukam po wszystkich dziurach, a niemogę znaleść! o mało na prawdę nie zemdlałem.

Był to bowiem sam nauczyciel, ów największy przedmiot mojej bojaźni; a chociaż z rozespania niemogłem jeszcze dobrze patrzeć, ale odrazu poznałem go po czerwonem nosie, siwych brwiach, minie groźnej i lasce z mosiężną gałką.

Sądząc więc, że mi teraz dopiero sprawi frycówkę za wszystkie figle dawne, z którą mi się zawsze

odgrażał, że dlatego umyślnie mnie tak długo szukał i że wreszcie przyszła chwila nadstawienia skóry, zakryłem twarz rękoma i płacząc zaklinałem go na wszystkie świętości, żeby mi przebaczył i nie bił.

— Ty! głupcze, ty! mały szubieniczniku — fuknął nauczyciel — cicho bądź, nie płacz; bo chociaż za wszystkie twoje psie figle, wartoby ci było skórę oporządzić, ale ja nie po to szukam cię po całem mieście. Nie bój się więc tylko wstawaj i chodź do mnie.

I poglądając na mnie, mówił jakby do siebie, kiedy ja się gramoliłem i okurzałem z piasku: Boże drogi! obdarte to, brudne niemyte, nieczesane, boso, na wpół prawie nago, oj biedny sieroto! oj biedne dziecko! gdyby matka twoja to widziała, jejby serce z żalu pękło i zwracając się do mnie, zapytał głośno: A jadłeś ty co dzisiaj?

W miejscu odpowiedzi, na wspomnienie matki łzy mi się w oczach zakręciły i załkałem głośno, tak, że słowa nie mogłem przemówić.

Wtenczas nauczyciel przytulił mnie do swej poczciwej piersi, zaczął głaskać po twarzy i mówił:

— No cicho, cicho, ty mały szubieniczniku! od dziś dnia wszystko się z tobą odmieni: bo jedni państwo z pod Warszawy, dowiedziawszy się o twojem sieroctwie, chcą cię wziąść z sobą. Tylko moje

dziecko, trzeba się umyć, inaczej przebrać, wyczesać bo tak wyglądasz, jak dziki człowiek.

Miał słuszność nauczyciel: od śmierci matki, a było wtedy temu coś ze cztery tygodni, ja jeszcze nie myłem się, nie przebierałem, bo nie miałem w co, tylko się lepiej obdarłem.

Na słowa więc nauczyciela ogromnie się zawstydziłem i spuszczając oczy, odrzekłem.

— Umyć, to się umyję w strudze przy moście; ale ubrania, proszę pana, to nie mam żadnego; bo to wszystko co na mnie...

— Hm! to źle, mruknął nauczyciel; ale się temu poradzi, a teraz chodź za mną.

I idąc naprzód, a ja za nim ścieżką po za miastem, bo na uboczu miał swoje ze szkołą domostwo mówił ciągle.

— Ci państwo chcą cię wziąść z sobą do Warszawy do terminu, więc zostaniesz rzemieślnikiem..

— Jakto? przerwałem z radością, zapominając o śnie moim, głodzie i biedzie — to ja, proszę pana będę takim jak pan Sebestyan i Kaczycki? a był to szewc i kowal wielce w mieście poważani.

— A tak, takim, odrzekł nauczyciel, tylko...

— I proszę pana, przerwałem znowu, będę tak wszystkich tabaką na rynku częstował nawet pana burmistrza jak pan Sebestyan?

— Tak, tak, oglądając się z uśmiechem, odrzekł nauczyciel, czem ośmielony mówiłem dalej.

I proszę pana będę tak samo fajkę palił przed kuźnią jak pan Kaczycki, kiedy miechy będą sapały — fau — fau — a czeladnicy i chłopaki młotami — traf — paf — paf — paf — traf — paf — paf!? I przy tych słowach wydąłem usta jak miech kowalski i ruszyłem rękoma jak gdybym walił młotem w kowadło.

— Ty! mały szubieniczniku, zwracając się nagle ku mnie, zawołał nauczyciel — to ci się nie robota ale próżniaczwo naprzód podoba?

I uchwycił mnie lekko palcami za włosy, a ja już z nałogu śmignąłem w bok — odbiegłem szparko kilka kroków, wstrzymałem się i uśmiechając się złośliwie, chciałem mu dawnem zwyczajem język pokazać.

Ale w tej chwili zmiarkowałem się, jakoś frasobliwie podrapałem się w głowę i język prawie na wylocie przytrzymałem między zębami. Nauczyciel jednak poznał z mojej miny, co się we mnie działo: bo zwracając się ku mnie, rzekł trzęsąc głową.

— Tak, tak, wyśmiewaj się ze starego a teraz mi język pokaż, to już zupełnym będziesz szubienicznikiem. Przecież to dla mnie nie nowina.

Mnie w tej chwili tak się żal zrobiło poczciwego nauczyciela, tyle było dobroci w tonie jego

mowy, że z żalu o mało się nie rozpłakałem. Rozrzewniony więc dobiegłem do starca i wziąwszy go za rękę w milczeniu zacząłem ją serdecznie całować.

— Oj ty niepoprawny chłopcze! kładąc drugą na mojej głowie mówił nauczyciel, i ty mi za moją pamięć nad tobą, chciałeś język jak łopatę wywiesić? Powiedz prawdę, chciałeś to zrobić?

— Chciałem, proszę pana, zaledwie wybąkałem ze wstydu spuszczając oczy.

— Oj ty! ty! nicponiu, ale kocham cię za to, żeś prawdę powiedział, tak zawsze postępuj a wyjdziesz kiedyś, jak cię te psie figle opuszczą, na porządnego człowieka. Bo ludzie, widząc zawsze u ciebie prawdę na ustach, uszanują cię i ukochają, a kogo ludzie szanują, tego i Bóg kocha i nigdy go nieopuszcza. Z opieką zaś Boską, moje dziecko, nigdy ci źle nie będzie na świecie i choć nie będziesz bogaty, ale za to szczęśliwy, a to więcej znaczy niż marny pieniądz. Teraz chodźmy, bo i tak czasu dużo zbałamuciliśmy. A pamiętaj, mówił dalej, idąc ścieżką a ja za nim, pamiętaj być posłusznym, kochać swoich opiekunów zapomnieć raz na zawsze o psich figlach, modlić się kochać i bać się Boga, słuchać starszych. pracować, uczyć się, być wdzięcznym dla swoich dobrodziejów, a zostaniesz człowiekiem szczęśliwym i kochanym przez wszystkich.

Przy tych słowach, zwracając się nagle do mnie, zapytał mocnym głosem:

— Jakże, szubieniczniku, będziesz takim?

Z przyzwyczajenia sądząc, że mnie chce złapać za czuprynę: bo zwykle przy takiej nazwie podobne zniewagi od ludzi mnie spotykały, chociaż nauczyciel w myśli tego nie miał, bo nawet ręki niepodniósł w górę, tylko ją oparł na lasce, ja jednak, nagle usuwając głowę, cofnąłem się w tył parę kroków. Ale wnet zmiarkowałem się, zaczerwieniłem jak burak: a nauczyciel trzęsąc głową, odezwał się:

— Widzisz, widzisz, szubieniczniku, jak się to mnie boisz? Widzisz, jak to czujesz, że postępowaniem swem nie zasługujesz na miłość ludzką? Oj źle, Mateuszku, źle, trzeba się koniecznie z tego poprawić; kto złym jest dla ludzi, to dobrego od nich nie może się spodziewać, tak jak ty, co ci się zawsze zdaje, że się garną do twojej skóry. No, no! nie smuć się, mówił dalej, widząc, że stoję strasznie zawstydzony, wzdycham ciężko i trę kułakami oczy. ja wiem, że się poprawisz, bo ty nie jesteś tak złym, jak się ludziom zdaje, i widzę, że matczysko twoje miało słuszność.

Te słowa przypominające mi matkę, jej jedyne z ludzi do mnie przywiązanie, tak mnie rozrzewniły, że się w głos rozpłakałem. Wówczas nauczyciel znowu mnie przytulił do piersi i gładząc mówił:

— No, no, nie płacz: tam matka twoja w górze prosi Boga o opiekę nad tobą.

— Prawda, proszę pana, odrzekłem łkając: bo mi się nawet śniło, że pana obrała za opiekuna.

— Śniło ci się?

— A tak, proszę pana. I opowiedziałem cały sen a nawet powód mego zmartwienia i jak wpatrywaniem się w ukrzyżowanego Chrystusa Pana, cokolwiek uspokoiłem się i potem usnąłem.

Nauczyciel pilnie słuchał mego opowiadania, wypytywał się to o to, to o owo, a zawsze z dobrocią, czem mnie tak ośmielił, że wygadałem mu wszystkie moje myśli a nawet jak uciekałem do mego kącika żeby podumać, popłakać i popatrzyć na krzyżyk przez umierającą matkę na szyję mi włożony. Pierwsza to była w życiu mojem rozmowa z obcym, w której szczerze i otwarcie wygadałem wszystko, a pierwsza od śmierci matki, gdzie doznałem prawdziwego współczucia, w której każde moje słowo cierpliwie było wysłuchane i przyjęte z miłością i pobłażaniem.

Kiedy skończyłem opowiadanie, nauczyciel pomyślał troszeczkę i rzekł:

— Mój szubieni... ale się poprawił na Mateuszka, a my tylko spojrzeliśmy po sobie i mówił dalej, mój Mateuszku! kto z Bogiem to i Bóg z nim, a jak ludzie mówią prości: jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie. Za-

wsze módl się, pracuj i ufaj Opatrzności Boskiej, a nigdy ci źle nie będzie na świecie.

Widzisz, żeś często spoglądał na krzyżyk Matki z ukrzyżowanym Chrystusem Panem, że przez to myśl twoja, mimo nawet wiedzy, biegła do stóp i podnóżka Pana nieba i ziemi, Bóg spojrzał na sierotę, natchnął mię pamięcią o tobie, a serce poczciwej pani litością, że się postanowiła zająć przyszłym twoim losem.

Pamiętaj więc zawsze myśleć i pamiętać o Bogu, a Bóg będzie myślał i pamiętał o tobie. A teraz chodź, chłopcze, bo i tak ta pani długo czeka na nas.

— To ja z panią pojadę? zapytałem ciekawie, truchtem postępując za nauczycielem.

— Z panią i do tego młodą i przystojną, ale, do djaska! zatrzymując się przerwał sam sobie nauczyciel, poglądając na mnie z zafrasowaną miną, jak ja ciebie takiego cygana obłachmanionego przedstawię takiej pani? A toć ty wyglądasz jak strach na wróble, gdzie tam, bo nie tylko wróbel, ale nawet wilk by od ciebie uciekał. O! Boże mój! Boże! co tu zrobić? a to ona zlęknie się ciebie i gotowa nie wziąść z sobą.

I nauczyciel kiwał głową, namyślając się widać jak temu zaradzić: ja, milcząc spuściłem oczy, bawiłem się palcami i wzdychając spoglądałem miłosiernie ku niemu.

Po chwili odezwał się nauczyciel jakby do siebie:

— Nic niepomoże, trzeba go koniecznie przebrać inaczej, boć lepiej, niech będzie śmieszny, niż odrażający i zwracając się ku mnie, mówił dalej: dziś, moje dziecko, jako malec bez opieki, nic nie jesteś winien swemu cygańskiemu ubraniu, ale jak urośniesz pamiętaj zawsze starać się o ubranie, chociaż niebogate, ale czyste i porządne. Niech twoje włosy zawsze będą uczesane ręce i twarz umyte, paznokcie obcięte a odzienie nie poplamione i nie podarte. Starzy bowiem polacy mawiali: *jak cię widzą, tak cię piszą* i mieli słuszność: bo czystość dodaje zdrowia ciału, a kto zdrowy i porządny na ciele, takim będzie i na duszy. Słowa te razem z błogosławieństwem matki polecającem cię pamięci Boga ukrzyżowanego, na wieki zapisz w pamięci, a przekonasz się z czasem: że stary nauczyciel miał racyą.

No, nie smuć się, zaradzi się to temu jakoś, a teraz chodźmy, chodźmy.

Kiedyśmy przyszli do pomieszkania nauczyciela, zobaczyłem karetę na podwórzu i lokaja z furmanem w liberyi pakujących rzeczy. Rzuciłem tylko okiem na to, bo mnie zaraz bokiem wprowadził do kuchni i zaledwie obejrzyć się zdołałem w około siebie, zrzucono ze mnie łachmany, obmyto, wyczesano i przybrano w suknie poczciwego nauczyciela.

W prawdzie w przebraniu tem strasznie cudacko wyglądałem, bo cholewy od butów dochodziły do samych kolan, spodnie szerokie jak worki bufiasto prawie do pół kolana spadały, surdut letni aż do samych pięt dochodził, stan zaś był ledwo że nie w zgięciu kolan, kamizelka do biodra cały brzuch okrywała, a kołnierz od koszuli zakrywał ramiona: mimo jednak tego, kiedy mnie nakarmiono i przejrzałem się w lustrze, to aż z radości sam się do siebie uśmiechnąłem: bo zupełnie wyglądałem jak szewc Sebestyan, kiedy przechadzał się po rynku i znajomych tabaką częstował, tylko z tą różnicą, że on miał przeszło lat czterdzieści, a ja dziewiąty czy dziesiąty.

Dusząc się od śmiechu, na co nauczyciel ogromnie powstawał i z przestrogą, abym mówiąc do pani, co mnie miała wziąść z sobą, nazywał ją jaśnie panią, wprowadzony zostałem na drugą stronę mieszkania do pokoju.

Zastałem ją siedzącą przy dużym stole i pilnie przerzucającą różne kartki i papierki.

Była jeszcze młoda w grubej żałobie, a smutek w całej przebijał się twarzy; ale jak spojrzała na mnie malca, ubranego w suknie starego człowieka, na moją poważną i zalęknioną minę, takim parsknęła śmiechem, że aż się ujęła za boki i przysunąwszy się do mnie, zaledwie wymówiła:

— Ślicznyś..... ślicznyś mój chłopczyku; ale dla czegoż tak cię cudacznie ubrano?

— Bo wyglądał jak cygan, proszę pani hrabiny, marszcząc brwi odrzekł nauczyciel i jakżeż miałem go brudnego i obdartego przedstawić.

— Ależ to śmieszna, ha, ha, ha! śmiejąc się i obracając mnie w kółko mówiła hrabina, gdzie tu stan, kamizelka, a buty prawie większe od niego. A jakże się nazywasz mój malutki?

Ja tak byłem zmieszany, bo pierwszy raz i tak byłem ubrany i stałem przed tak wielką panią, że nie myśląc a przyzwyczajony do nadanego mi nazwiska, odrzekłem zaraz:

— Szubienicznik, proszę jaśnie pani.

— Szubienicznik? powtórzyła hrabina z zadziwieniem, cóż za dziwne nazwisko!

Nauczyciel cały poczerwieniał, a jak rzuciłem na niego okiem, to z taką na mnie złością spoglądał, tak mu latały siwe brwi nad oczami, że ja będąc pewny, iż niezawodnie zawinie się koło mojej skóry, cały przejęty bojaźnią, poskoczyłem do hrabiny i czepiając się jej z tyłu za suknię, z płaczem i największym przestrachem, piszcząc, jakby mnie kto ze skóry obdzierał, prosiłem aby broniła.

— Moja złota pani, moja droga pani, nie daj mnie bić, nie daj!

Gdyby nauczyciel spokojnie się zachował, był-

bym naturalnie wnet się pomiarkował; ale on, lękając się, abym poufałością nie obraził takiej pani, a rękoma nie poplamił lub nie podarł na niej sukni, chciał mnie koniecznie złapać za kołnierz lub za głowę i dlatego rozpoczęła się w około niej gonitwa. I kiedy nauczyciel mruczał, hrabina śmiała się, ja znowu piszczałem jak opętany, sztukałem jak w rajtszuli, ogromnemi na nogach butami i tak zamaszyście w kółko latałem, że o mało co jej nie przewróciłem.

Śmiesznie to wszystko musiało wyglądać; bo uważałem, że panna służąca parsknęła śmiechem i wybiegła do sieni, za nią zaraz ruszył lokaj a sama hrabina kręciła się między nami jak fruczka i trzęsąc rękoma, śmiała się tak, że nic wyraźnie nie mogła powiedzieć.

Dopiero jak zniecierpliwiony nauczyciel wyciągnął nagle rękę i przyspieszył kroku, tak że tylko co mnie nie złapał, a ja przyczajony szarpnąłem nagle za suknię i znowu tylko, tylko co nie przewróciłem hrabiny, wtenczas ta trochę przelękniona krzyknęła, nauczyciel zaprzestał gonienia, a ja z po za sukni wychyliłem głowę i wykrzywiając się złośliwie, miałem wielką chętkę pokazać mu język.

— Ale, mój panie Garlicki! gdyśmy się uspokoili, rzekła hrabina, powiedz mi, co to wszystko znaczy? Widzę, że ten malec czegoś boi się, ty go gonisz

on ucieka; ale dlaczego i po co? nic tego nie rozumiem.

— I ja to samo, proszę pani hrabiny, odrzekł nauczyciel, bo goniłem go tylko w obronie pani hrabiny, a dla czego ten berbeć uciekał, dalipan nic nie rozumiem.

— Ale, zapewne, odezwałem się śmielej, już wyglądając z po za sukni hrabiny.

— Albo to prawda? paneś mnie gonił... bo chciałeś mi pan frycówkę sprawić.

— Ja? tobie frycówkę z największem zadziwieniem zapytał nauczyciel, czy ten malec pijany, czy co?

— Ale pijany, niby ja nie wiem, co to znaczy, kiedy pan nauczyciel brwiami rusza i nosem jak indor, kiedy się zbiera do gulgotania. Hrabina znowu się zaśmiała i kiedy zobaczyła, że nauczyciel z gniewu aż pobladł, po chwili odezwała się:

— Mój panie Garlicki! już się nie gniewaj na niego; bo to dziecko.

— Nie gniewam się, proszę pani hrabiny drżącym głosem odpowiedział nauczyciel; ale muszę powiedzieć prawdę, jak jest, co wprzódy zamilczałem, bo lękałem się stracić dobrych chęci pani hrabiny dla niego. Otóż powiem teraz otwarcie, że to łotr, metr do figlów i do wszystkiego złego, jakby w nim nie jeden, ale całe piekło dyabłów siedziało. Dla tego wszyscy nazywają go tu szubienicznikiem; ale ja tego nie mówiłem pani hrabinie, bo ktoby takiego chciał

wziąść na opiekę. Jak więc usłyszałem, że sam wydał swoje nazwisko od psich figlów mu nadane, tak rozgniewałem się i zawstydziłem, że się kłamstwo moje wyda; ale o biciu ani pomyślałem...

— Albo to prawda? przerwałem, albo to pan nauczyciel nie spojrzał tak na mnie, jak to nieraz na mieście, kiedy mnie pan laską wytrząsając w ręku, gonił przez cały rynek!

— A dla czegoż to cię gonił? zapytała łagodnie hrabina, a nauczyciel zaraz się odezwał:

— Bo, proszę pani... ale mu nie dała dalej mówić, tylko nachylając się ku mnie i głaszcząc po głowie rzekła:

— Nie, on sam niech powie, tylko pamiętaj powiedzieć prawdę, bo ja niedobrego, niepoczciwego chłopaczka nie mogę wziąść z sobą, tylko dobrego, grzecznego. Szubienicznik dobry tylko dla szubienicy, ale nie dla mnie.

— Powiedz więc, dla czego cię gonił pan nauczyciel?

Ja stałem jak na śpilkach, nauczyciel przestępował z nogi na nogę i tak łamał ręce, że aż mu palce w stawach trzaskały, a kiedy spojrzawszy na niego, postrzegłem takie zmartwienie w twarzy, że zdawało się, iż się co chwila rozpłacze, jakiś żal powstał we mnie i nie śmiało, na wpół z płaczem odrzekłem:

— A bo mnie się zdawało, proszę jaśnie pani, że mnie pan nauczyciel chce bić.

— A za cóż to?

Nauczyciel tylko westchnął ale tak głośno, jakby kto jęknął z boleści, a ja, przypomniawszy sobie jego naukę, żeby zawsze prawdę mówić, troszkę pomilczawszy, odrzekłem:

— A bo mu zawsze dokuczałem, i pokazywałem język.

— Ej! zwyczajnie jak dziecko, proszę jaśnie pani hrabiny, zaraz odezwał się nauczyciel z ukłonem aż do samej ziemi i niby z uśmiechem na twarzy, ale głosem drżącym, urywanym, jakby od tłumionego w sobie płaczu.

— Nie tłumacz go, panie Garlicki, poważnie odezwała się hrabina, widzę teraz, że słusznie go nazwano szubienicznikiem: bo kto nie szanuje starszych i zawsze im dokucza, wywiesza języki, to niezawodnie kiedyś na postronku skończy...

— Ej! dziecko, zwyczajnie głupie, proszę pani hrabiny, cichutko i słodziutko odezwał się nauczyciel.

— Dziecko, to prawda, ale widać, że ma złe serce, a ja takiego chłopczyka nie mogę wziąść z sobą. I rzekłszy to, przystąpiła do stołu i zaczęła przerzucać między papierkami. Ja zostałem w miejscu, nie śmiejąc ruszyć się i ciągle trąc palcami oczy, a nauczyciel przystąpił do mnie i pieszcząc się, jakby z najuko-

chańszem swoim dzieckiem, bo mnie i głaskał i gładził po twarzy i przyciskał czule do siebie, mówił:

— Ej! proszę pani hrabiny, to kochane, to poczciwe dziecko, ja tylko z figlów tak go goniłem z laską... z figlów... niech mi wierzy pani hrabina... ja go zawsze tak lubiłem, tak kochałem; bo to poczciwości chłopak... moje drogie dziecko, mój synu kochany!...

I poczciwy nauczyciel podniósł mnie w górę i tak całował, jakby co najpoczciwszego.

Pieszczoty takie, których wyjąwszy matki, od nikogo w życiu nie doznawałem, nazwanie mnie kochanym synem, tak mi żywo przypomniały bolesną stratę i obecne moje sieroctwo, że rzewnemi zalałem się łzami i obejmując za szyję nauczyciela, począłem go serdecznie całować.

— O! widzi pani hrabina, zaraz odezwał się nauczyciel, jakie to poczciwe dziecko, jak on mnie kocha, jak przeprasza, oj! ty, ty!

— Już nigdy panu nie będę dokuczał, mówiłem łkając, ani nie będę języka wywieszał, mój serdeczny, mój kochany panie.

— No, uspokój się, mój chłopczyku, smutnie odezwała się hrabina, nie płacz, nie płacz. To on sierotką jest, panie Garlicki? I przysunąwszy mnie do siebie, zaczęła mi twarz z płaczu ocierać.

— Sierota, proszę pani hrabiny, bez ojca i bez matki i bez żadnej nad sobą opieki.

— I nazywa się?

— Mateuszek, proszę pani hrabiny, żywo odrzekł nauczyciel, lękając się widać, abym go nie uprzedził i nie narobił znowu jakiego galamatiasu.

— A mój Mateuszku, kochałeś też matkę?

Nic na to nie odpowiedziałem, tylko się znowu serdecznie rozpłakałem.

— No, mój Mateuszku! przytulając mnie do siebie, odezwała się hrabina, dobrze, że płaczesz za matką: bo łzy twoje Pan Bóg w niebie pozbiera i kiedyś za nie pobłogosławi cię. A za to że kochasz matkę, żeś prawdę o sobie powiedział, żeś uszanował pana nauczyciela, starszego od siebie, żeś żałował szczerze i wstydził się języka, coś na niego wywieszał, wezmę cię z sobą i będę ci drugą matką. Tylko pamiętaj kochać mnie, nigdy nie kłamać, nie być złośliwym, szanować starszych i we wszystkiem być mi posłusznym. Jakże, przyrzekasz mi być takim?

— O! będzie takim zaręczam panią hrabinę.

— Mateuszku, padnij do nóg, ucałuj w same stopy, zawołał radośnie nauczyciel, gdy ja, wypełniając rozkaz, rzuciłem się do nóg hrabiny.

Tym sposobem los mój został rozstrzygnięty, zyskałem niespodziewanie opiekunkę: wkrótce zaje-

chała kareta i poczęto się zbierać do podróży. Jak przyszło do wsiadania, kiedy pomyślałem, że opuszczam miasto, w którem się urodziłem i wychowałem, gdzie byłem długo wesoły i swobodny, w którem wszystkich znałem, każdy kącik, drzewo, badyl, każdą ścieszkę, mostek i drożynę, w którem co krok stąpiwszy, przypominałem sobie coś z figlów mego dzieciństwa, albo dowód miłości i opieki mojej poczciwej i kochanej matki i że teraz z obcymi sobie ludźmi, Bóg wie gdzie pojadę, tak mi się za tem wszystkiem z żalu serce ścisnęło, że tuląc się w objęcia nauczyciela, który mnie żegnając całował w głowę, głośno łkając rozpłakałem się szepcząc niewyraźnie:

— Mnie smutno, proszę pana, mnie bardzo smutno. Wówczas nauczyciel wznosząc w górę oczy, a rękę trzymając na mojej głowie, odezwał sią poważnie:

— Moje dziecko! niech cię Bóg wszechmogący błogosławi na całą drogę twego żywota, pracuj i módl się, a Bóg ci dopomoże. Zawsze kochaj i szanuj tan kątek ziemi, w którem się urodziłeś i wychowałeś, w którym jedną z tobą mową ludzi Boga chwalą: bo to jest obowiązek serca i obowiązek poczciwego człowieka: a będziesz szczęśliwy i szanowny przez ludzi a kochany od Boga; bo przywiązanie do rodzinnego gniazda, jest największą cnotą, rodzicielką wszystkich innych przymiotów, a cnotliwych Bóg

kocha. Pamiętaj zawsze o moich radach i naukach, których ci dzisiaj dosyć nagadałem i czasem wspomnij sobie starego nauczyciela. który cię tak teraz kocha jak rodzonego syna i jak ojciec błogosławi.

I znacząc palcami na głowie mojej znak krzyża świętego, mówił dalej drżącym od wzruszenia głosem: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Ja cały tak byłem poruszony, że tylko tłumiłem w sobie głośno łkanie, a gdy w znaku krzyża świętego spływało na głowę moją błogosławieństwo uczułem jakby wewnątrz mnie coś się rozchodziło, jakby na wskróś przejmowało; ale coś tak błogiego, tak miłego, że w jednej chwili uspokoiłem się i tak się zrobiłem swobodny i lekki, jak to kiedyś bywało za życia mojej matki, jakbym był pewny, że mnie nic złego w życiu spotkać nie może. Spokojny już więc ucałowałem ręce i kolana nauczycielowi i jego żonie, ręką sięgnąłem do krzyżyka na piersiach, potem wsiadłem do środka karety na przodzie lokaj drzwiczki zatrzasnął, wskoczył na kozioł i pośród szczekania psów wyruszyliśmy z podwórza.

Jadąc przez miasto, widziałem, że mi się ciekawie przyglądano, nawet dwóch chłopców poznało: bo mnie jeden drugiemu wskazywał. Dawniej byłbym im niezawodnie zaczął palcami kęcić po obu stronach twarzy wywieszając język po sam pas prawie, ale teraz siedziałem jak trusia, nie wiedząc na-

wet co mam zrobić z oczami i tylko kiedy-niekiedy ukradkiem spoglądając na hrabinę.

Kiedy przejechaliśmy miasto i zobaczyłem pole, jak zagonami migało się w oczach, jak zdala czernił się las i z rozdołów i z po za pagórków wyglądały wierzchołki topoli i innych drzew niby żegnając się ze mną, jak kilka wron, siedząc w ścierniu smutnie krakało, jak to kiedyś wesoły i swobodny robiłem w te same pola wyprawy na rzepę i groch, i mnie równie smutnie się zrobiło, westchnąłem i mimo woli z karety wyjrzałem. Ale już miasto ukryło się za górą i tylko po nad nią unosiła się kopuła kościelna z błyszczącym krzyżem od promieni słońca, który na niebieskiem pogodnem tle nieba zdawał się jakby był w powietrzu zawieszony. Śliczny, cudowny to był widok i długo, bardzo długo wpatrywałem się w niego a gdy znowu sięgnąłem ręką do swego krzyżyka na piersiach, uczułem tę samą błogość w całem sobie, jak przy błogosławieństwie nauczyciela i łzy stanęły mi w oczach; ale już nie ze smutku i boleści, ale jakby z wdzięczności ku Bogu za widoczną Jego nad sierotą opiekę.

Gdy kareta zaczęła się spuszczać z góry, krzyż stawał się co raz mniejszy i malejąc mi w oczach, znikł nareście zupełnie, a mnie jak gdyby szepnęło coś do ucha: „kochaj i pamiętaj o tym krzyżu, a jeszcze go kiedyś zobaczysz.“

I jechaliśmy potem długo, mijaliśmy wsie i różne miasta, mnie to wszystko dosyć cieszyło: aż dopiero po dwóch noclegach i po kilku popasach dojechaliśmy do dóbr hrabiny i po brukowanej drodze, z trzaskiem, w pośród szczekania psów zajechaliśmy przed śliczny murowany z dużemi oknami pałac. Na ganku stał siwy jakiś starzec, na rzut pierwszy oka przypominający nauczyciela; ale gniewającego się i wytrząsającego laską.

Spojrzawszy na niego, uczułem mrówki po całem ciele, a on podając rękę hrabinie, z wielkiem uszanowaniem odezwał się:

— Dzięki Bogu, że jaśnie pani hrabina przecież do nas zjechała, pan Władysław zupełnie też zdrów i teraz zapewne biega po ogrodzie.

Hrabina, która w czasie podróży ciągle była smutna, a im bliżej domu, tym smutniejsza, przy wysiadaniu z karety, opierając się na podanej ręce tego starego, zakryła twarz ręką i poczęła głośno ze łkaniem płakać. Ja zaraz przypomniałem sobie matkę, kiedy w czasie jakiej biedy, a o to było nietrudno, łamiąc ręce, płakała na swoje wdowieństwo. Zwykle w takich razach obejmowałem matkę za kolana, całowałem, przyciskałem do siebie i patrząc jej w oczy, mówiłem:

— Patrz, mamo, jak mi wesoło z oczu patrzy, ja niegłodny, jabym cały tydzień mógł nie jeść. A żeby

mama wiedziała, jaka rzepa ku Nowockiemu lasowi, to jak kocie łby, a jakie gruszki na probostwie! Ja mamie przyniosę, a jak urosnę, to mamie kupię śliczną salopę. jak ma pani burmistrzowa, cztery krowy. dwóch wieprzy i zaraz jednego zabijemy.

I podobnie bzdurząc zwykle matkę rozśmieszałem i płacz kończył się śmiechem i serdecznem mnie ucałowaniem. Otóż teraz zobaczywszy płaczącą hrabinę i sądząc po matce mojej, która tylko wtedy smuciła się kiedy niebyło co jeść w domu albo za co sprawić coś niezbędnie potrzebnego, że i ją równe dotyka zmartwienie; widząc że usiadła w ganku na ławce i ciągle jak płacze tak płacze, a lokaje kręcą się wynosząc tłomoki i pudełka z karety, ten stary stoi z założonemi rękoma i tylko wzdycha a nie pociesza, przysunąłem się szybko ku hrabinie, klęknąłem i całując po kolanach, rzekłem na wpół płaczącym głosem:

— Nie płacz, jaśnie pani, nie płacz — ja rzepą, a tyle jej jest zaraz za wsią i gruszkami w sadzie, całe lato przeżyję — a różnego jedzenia co jest w karecie ani się dotknę, wszystko to będzie dla jaśnie pani, to jaśnie pani nie będzie miała głodu.

Kiedym mówił, widziałem, że ten stary krzywił się jakby po occie, lokaje skrycie uśmiechali się, a ja czując z tego żem znowu jakieś głupstwo powiedział, zaczerwieniłem się jak wiśnia i nagle umilkłem.

Hrabina odjęła od oczu chustkę, z cułością, przycisnęła mnie do siebie i całując w głowę rzekła:

— Poczciwe masz serce, mój Mateuszku i abyś takim został, zawsze cię będę kochała, a teraz chodź poznasz mego Władysia.

I biorąc mnie za rękę, zeszła z ganku po schodkach, a ja usłyszałem, jak ten stary spytał się lokaja:

— A zkądżeście nam tego dyabła weneckiego przywieźli?

Co odpowiedziano, nie słyszałem; ale mnie taki gniew wziął na starego: bo już wtedy wiedziałem, co to znaczy dyabeł wenecki, że obejrzawszy się i widząc, że za mną z wielką niechęcią spogląda, wykrzywiłem mu się jak nieszczęście. Stary zmarszczył czoło, pogroził mi ręką, lokaje rozśmiali się a ja między zębami na samym zakręcie pokazałem mu koniuszek języka.

Ogród był prześliczny, pełen kwiatów, drzew owocowych, mostów i altanek, sztachety żelazne, jak w Saskim ogrodzie, oddzielały go od podwórza, szeroka wysypana żwirem droga prowadziła przez sam środek, a od niej inne mniejsze rozchodziły się w różne strony.

Hrabina szła milcząc, i widać że ją jakieś smutne trapiły myśli, bo często wzdychała i chustkę podnosiła do oczu. Ja choć to uważałem, ale więcej

zajęty byłem niezwykłem dla mnie widokiem ogrodu, bo równie spaniałego urządzenia nigdy w życiu nie widziałem.

Kręcąc się w prawo i w lewo i łykając ślinkę na piękne gruszki i jabłka, co się żółciły między liściami, przy końcu jednej drogi zobaczyłem jakąś panią siedzącą na ławeczce i robiącą pończochę na drutach, a około niej małego chłopczyka w piątym roku z biczykiem w ręku, który jak zobaczył nas idących, z wielkim krzykiem: mama! mama! przybiegł do hrabiny. Śliczny to był chłopaczek: włoski jasne jak len najdelikatniejszy i kręcące się jak wiory stolarskie spadały mu aż na ramiona, czapeczka z ponsowego aksamitu okrywała głowę, a pasik czarny glansowany z dużą klamrą opinał bluzę.

Powitanie matki z dziecięciem było nader serdeczne, a co płaczu co całusów, co uściskań, że trudno było zrachować. Ja pokorniutko zatrzymałem się na boku i smutno mi się zrobiło: bo sobie pomyślałem, że i mnie tak kiedyś całowano i ściskano a teraz jestem biedny sierota bez ojca, bez matki, na łasce cudzych nieznanych mi ludzi.

Hrabina, widać domyśliła się co się w mojem sercu działo: gdyż rozmawiając to z synkiem, to z tą panią, czego ja jednak nie rozumiałem: bo nie po polsku z sobą mówili, spojrzała na mnie, jak

smutny i zamyślony stałem na boku i przywoławszy po imieniu, rzekła:

— Mój Mateuszku, będziesz tymczasem bawił się z paniczem — tylko pamiętaj być grzecznym i kochać go, a ja cię będę kochała. Później, mój Mateuszku, oddam cię w Warszawie do terminu i zostaniesz człowiekiem, mnie uważaj jako swoją matkę we wszystkiem miej do mnie zaufanie. I odwracając się w tem miejscu do tej drugiej pani, coś jej zaczęła mówić, ale nie po polsku — ta kręciła głową jakby z politowania i wysłuchawszy, poklepała po twarzy z czułością i źle wymawiając po polsku, rzekła:

— „Oj! biedne mali sierota!“ — a ja ze łzami w oczach ucałowawszy w nogi hrabinę, pocałowałem także i tę panią w rękę.

Jak się później dowiedziałem, ta pani to była dozorczynią małego Władysia, dworscy nazywali ją boną, a my z paniczem madamą.

Hrabina zaś dla tego tak płakała i chodziła w żałobie, że niedawno mąż jej umarł w Krakowie a ona pierwszy raz po jego śmierci przyjechała do domu.

Poczciwa też to, zacna była pani — dobra dla ludzi, cicha, pokorna, miłosierna dla biednych, a tak łagodna, że jej nie widziałem nigdy gniewającej się. Synek jej, istny obraz matki, jak ciałem tak i duszą zupełnie był do niej podobny, dla tego poko-

chałem go całem sercem i równie od niego byłem kochany, bo i chwili nie mógł się obejść bez mego towarzystwa.

Nie będę długo opisywał pobytu mego w domu hrabiny, byłem w nim bowiem zupełnie szczęśliwy a o szczęściu wiele mówić nie można.

Hrabina była dla mnie prawie drugą matką, o niczem nie myślałem: miałem co jeść i smacznie i obficie, ładne ubranie, świeżą bieliznę, nawet mnie ludzie dosyć lubili; bo w początku jako jeszcze nieśmiały, byłem dla każdego grzeczny, uprzejmy, nikomu nic złego nie robiłem, dosyć, że mi tylko ptasiego mleka brakowało.

Ale chleb ma rogi, co bodzie i jak się ośmieliłem, ufny w łaskę hrabiny i mego małego panicza później oprócz madamy, bo i ta mnie lubiła, o niczyją łaskę nie dbałem i po troszku dla każdego zrobiłem się hardy, nie usłuchany, wygadany: na jedno słowo dwa odpowiadałem a zawsze hardo i opryskliwie. Dla tego wszyscy, co mnie z początku dosyć lubili, nie długo zaczęli na mnie jak psy na kota patrzyć, ale najgorzej ów stary, co mnie nazwał dyabłem weneckim, a był kamerdynerem i w wielkiem poważaniu u samej pani, bo jeszcze służył u jej rodziców, a z dziadkiem razem bawili się jak ja z moim paniczem. Nigdy nie przeszedł żeby na mnie nie mruknął, o najmniejszą rzecz łajał,

czasem za ucho pociągnął, a ja, lękając się dokuczać mu jawnie, bo raz na jego zaskarzenie wyłajany zostałem przez hrabinę i musiałem go przeprosić, płatałem mu tysiące figlów potajemnie, ale tak zręcznie, że mnie nigdy nie złapał go na gorącym uczynku.

To mu niby niechcący wysypałem tabakę z tabakierki, to, umazawszy ręce w łoju i w sadzy, biegnąc, niby przypadkiem wpadłem na niego i naturalnie powalałem spodnie, które zawsze nosił jasne — to znowu, widząc go siedzącego plecami do okna i zajętego najczęściej czyszczeniem klatek, udawałem brzęczenie bąka, niby oknem wlatującego do pokoju i ledwo nie dusiłem się ze śmiechu, kiedy starowina wyjmował z kieszeni chustkę i mrucząc nie odrywając się od roboty, machał chustką po za siebie.

Dosyć, że napowrót zostałem takim samym zbereźnikiem jak dawniej i jeżeli hrabinę prawdziwie kochałem jak matkę i za pobłażliwie byłem przez nią utrzymywany, to dworskich wszystkich i kamerdynera bałem się jak ognia, bo wiedziałem, że gdyby mogli, to by mnie gdzie w kącie zbili na kwaśne jabłko.

Skargi wprawdzie często zanoszono na mnie; ale ja wtenczas już zaczynałem po troszku zmyślać, a że hrabina na wszelkie zażalenia powiadała każdemu, pamiętając pierwszą rozmowę moją u nauczyciela, że ja nigdy nie kłamię i że z pewnością zapy-

tany przyznam się choćby do największego figla, więc z zaufania tego zacząłem korzystać i jak z początku pobytu mego u hrabiny, zawsze szczerze i rzetelnie na wszystko odpowiadałem, tak potemu zapierałem się, kłamałem, przekręcałem, z kozła robiłem barana, słowem, zaczynałem być już na prawdę szubienicznikiem. Najczęściej więc po każdej takiej sprawie, skarżący i nic nie zrobił i został wyłajany, że powstaje na sierotę chyba z zazdrości, a ja, tryumfując wyśmiewałem się jeszcze z niego, wykrzywiałem i wołałem, pociągając palcem po palcu: „gzyk — gzyk, marchewka pietruszka — skarguszka“ — i gdy rozgniewany gonił mnie, to ja z płaczem uciekałem do hrabiny, skarżąc się, że mnie chce bić.

Naturalnie sprawa na nowo się rozpoczynała, a ja z niej z nowem i jeszcze większym wychodziłem tryumfem. Za takie postępowanie co dzień też mię bardziej nienawidzono, a widząc, że zażalenia nic nie pomogą: bo się zawsze z nich wykręcę, dano pokój skargom, ograniczając się na niemej nienawiści i cierpliwem czekaniu sposobności, żeby mi za wszystko kiedyś odpłacić z nasypką.

Ja nie zważałem na to, bo nawet nie pomyślałem że to się kiedyś odmieni i rozpuściłem się jak bicz dziadowski, co to psiaki szczekają na niego ze wszystkich stron, ale żaden nie przystąpi, bo się lęka, żeby nie wlazł na jego skórę.

I tak płynął czas, przeszła jesień, zima, ze śpiewem skowronków, zieloną trawką i rozpękającemi pączkami na drzewie, pokazała się i wiosna, wszystko odmłodniało, wypiękniało, że aż miło było spojrzyć po świecie, tylko ja brzydszy byłem na duszy i w nienawiści ludzkiej.

Ale wszystko ma swój koniec: dzban dopóty wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie i mnie się urwało, co łatwe było do przewidzenia, bo złe długo nigdy się nie może utaić. Otóż powiedziałem już, że najwięcej ze wszystkich nienawidziłem kamerdynera, raz dla tego, że miał największą nad wszystkiemi władzę i mnie mógł obić jak kota w worku: drugi raz, że gdy inni mnie unikali jak jakiej zjadliwej gadziny, on jeden zawsze jednakowo łajał, burczał i mruczał; po trzecie, że miał wielkie łaski u hrabiny, a już wtenczas zaczynałem być po trochu zazdrośnym.

Żeby więc jemu dokuczyć jakim figlem, mogę powiedzieć, że myślałem o tem dzień i noc, że biedny starzec i kroku nie ruszył, żeby nie był w obawie o siebie. Skarzył w prawdzie i on na mnie; ale cóż z tego, kiedy mnie nigdy na niczem nie złapał, a hrabina zawsze pytała:

— Czy widziałeś, że to on zrobił?

Naturalnie jako poczciwy człowiek przyznać się nigdy do tego niemógł, bo ja kryć się doskonale

umiałem, a kłamać jeszcze lepiej; ale zaklinał się na najświętsze rzeczy, że mnie kiedy złapie i wtenczas sobie za wszystkie zmartwienia wynagrodzi.

Ufając w szybkość nóg moich, że w każdym razie uciec zdołam i wyrwać się choćby już z rąk nawet, śmiałem się w duchu ze starego, a coś ze trzy tygodnie nie zrobiwszy mu żadnego figla ani psoty, przemyśliwałem nad nowem jakim konceptem.

I przypadek mi posłużył: chodząc zawsze jak kot kiedy się czai na zdobycz, tu zaglądając, tam podsłuchując, przez uchylone drzwi zobaczyłem, jak kamerdyner z ekonomem stał przy oknie, przyglądał się szczygłom, gilom i czeczotkom skaczącym po choinie i mówił:

— Widzisz pan, to są wszystko szczygły szóstaki — bo tylko szóstaki mają takie żywe kolory i tak ślicznie śpiewają. Gile znowu, to tak jak papugi polskie. Podgardla u nich, ale tylko u samców, to jak złoto i purpura. Czeczotki w prawdzie niepozorne, szare jak wróble; ale przypatrzno się pan jaka to w nich rozmaitość kolorów, jaki piękny deseń w piórkach.

— A jakie to rezolutne! jak to cały dzień rzęzoli i rzęzoli.

— A i po cóż ich pan zawsze zimuje? zapytał ekonom.

— Widzisz pan, mój panie ekonomie, nie mam

dzieci, żona mi dawno umarła, nie mam nawet pójść do nikogo i pogawędzić, to jak przyjdzie zima, przykrzy mi się strasznie samemu w pokoju. Bawię się więc z ptaszynami, one świegocą do mnie, ja do nich, obłaskawiam ich, przynęcam, wieczór przyrządzam im różne pręciki, chuśtawki i tak sam nie wiem jak mi wieczór schodzi. W lesie mam ogród to już wtedy o nic się nie zaturbuję i jak tylko na świecie dobrze się zrobi zielono, a one siedzą przy oknie i smutnie na świat spoglądają i świergocą, jakby mnie prosiły o otworzenie, to ich wtedy wszystkie wypuszczam i każdy taki dzień mam u siebie nawet co do godziny zapisany od lat dwudziestu w książce od nabożeństwa.

A żebyś pan wiedział, co to za radość dla mnie wtenczas, jak mnie cieszy szczęście tych małych robaczków, kiedy wesoło wyfurkają z pokoju i pobujawszy, posiadają na gałązkach i potem wycierając dziobki, przeciągają skrzydełka, kręcą się, skaczą i później dalej w pola; to powiadam panu że siedziałbym cały dzień do wieczora i śledziłbym: gdzie, w jaką stronę który z nich poleciał. Dziś bym już ich wypuścił, ale nie mam czasu, bo mam pilną robotę w ogrodzie, ale jutro rano zrobię im bankiet — przyjdź pan, bo to niedziela, to obadwa będziemy się przyglądać.

Wysłuchawszy, natychmiast postanowiłem ze-

psuć zabawę kamerdynerowi i w pół godziny, jak tylko zobaczyłem go w ogrodzie, cichaczem wsunąłem się do pokoju, otworzyłem okno i zacząłem ptaki wyganiać. Ale zaledwie ostatniego szczygła wystraszyłem, usłyszałem kogoś drzwi otwierającego. Nie oglądając się już za siebie, przyzwyczajony zważać na każdy szmer, na każde poruszenie, jak ptak oglądający się zawsze na wszystkie strony, w jednej chwili wyskoczyłem oknem.

Sądziłem, że mi się figiel udał, bo najmniejszego głosu nie usłyszałem za sobą; ale tą razą niedopisało mi szczęście: był to kamerdyner, a poznawszy mnie w wyskoku przez okno, nic nikomu nie mówiąc, poszedł do hrabiny i opowiedział jej wszystko.

Ja, jak niewinny jaki baranek, przestraszony cokolwiek, ale pokorniutki, biegłem do panicza i zacząłem mu ustawiać budki z kart.

W kwadrans może czasu, zawołany zostałem do hrabiny. Zadrżało mi cokolwiek serce, ale strojąc minę jak mogłem. i ufny w dawniejsze moje w podobnych wypadkach powodzenie, śmiało, bez zmieszania, stanąłem przed poczciwą panią. Hrabina, milcząc wzięła mnie za rękę, popatrzyła łagodnie w oczy i po chwili rzekła:

— Pocóżeś ptaszki staremu Janowi wypuścił?

Na tak niespodziewane zapytanie, przeszło mnie mrowie całego, potem zaczerwieniłem się jak burak;

ale nie tracąc miny, z największą pewnością i zadziwieniem, odpowiedziałem:

— Ja? ptaszki wypuściłem? ja nic nie wiem o żadnych ptaszkach — i z płaczem już mówiłem dalej — wszyscy tylko na mnie, wszyscy we mnie tylko wmawiają. O Boże, mój Boże! ja nikomu w drogę nie wejdę...

— Więc nie ty ptaszki Janowi wypuściłeś? — przerwała łagodnie hrabina.

— Nie ja, proszę pani hrabiny.

— Jak Władzia i jak mnie kochasz?

Na to zapytanie cokolwiek się zmieszałem; bo istotnie oboje ich bardzo kochałem: ale sądząc, że wypieraniem uniewinnię się jak zwykle, cichszym już głosem i cokolwiek nieśmiało odrzekłem:

— Jak panicza kocham i panią hrabinę.

— Kłamco! szkaradny kłamco! — odpychając mnie od siebie, z gniewem rzekła hrabina. Jan poczciwy, on nigdy nie kłamie, a on cię widział — pójdź precz z moich oczu!

Już dalej nie mogłem się wypierać, chciałem paść hrabinie do nóg, przeprosić ją; ale ta z oburzeniem wstała i nieoglądając się nawet na mnie, wyrzekłszy jeszcze raz: pójdź precz! — wyszła do drugiego pokoju.

Od tego czasu zaczęła się prawdziwa moja pokuta. Zabroniono mi zabawy z paniczem, hrabina,

choć mnie spotkała, nigdy nawet słowa do mnie nie przemówiła, dworscy dokuczali, co się tylko im chciało, a mnie zagnano do roboty z ogrodniczkami w ogrodzie. Oj! często, bardzo często potem płakałem; ale to wszystko było po niewczasie. Krzywdy wprawdzie nie miałem żadnej; bo mnie tak samo karmiono i odziewano jak dawniej, ale brakowało mi przyjaznego spojrzenia i miłości tych którzy mnie niegdyś serdecznie kochali. Panicz czasem tylko przybiegał do mnie do ogrodu, ale ukradkiem i to w tajemnicy przed matką: była też to cała moja pociecha, która wkrótce miała mnie także opuścić. Nie pamiętam bowiem, z jakiego powodu, gdzieś bardzo daleko, hrabina nagle i z małym Władysiem wyjechała z domu, nie obiecując powrotu aż za rok. Ja więc zostałem sam, pod opieką Jana na którego spojrzenie drżałem jak liść, a nienawidziłem jakby co najgorszego, chociaż to był bardzo poczciwy człowiek, tylko troszkę surowy i marudny.

Po wyjeździe hrabiny, zdawało mi się, że już mnie cały świat opuścił. Nielubiony przez wszystkich, często szturchnięty; niebyło prawie dnia, żebym się gorżkiemi nie zalewał łzami. I tak upływały tygodnie; ale nic się niezmieniłem i choć już figlów nie płatałem bo do tego nie miałem ochoty, coraz jednak dzikszy stawałem się nieprzyjemniejszy, ponury, krnąbrny, nieposłuszny, a uparty jak kozieł.

Naturalnie, takie postępowanie, zmuszało Jana do coraz ostrzejszego ze mną obchodzenia się, a wszystko to nie przypisując sobie, ale złości ludzkiej i czując, że co raz będzie gorzej, sam nie wiedząc co począć, w końcu postanowiłem uciec. Gdzie jednak i po co? sam nie wiedziałem. Do Klimontowa, do poczciwego nauczyciela strasznie było daleko, bo coś ze trzydzieści mil zresztą czułem, żebym się wstydził stanąć z nim oko w oko. Do Warszawy, było wprawdzie bliżej, cztery mile najwięcej, i znałem tę drogę doskonale; gdyż z hrabiną kilka razy jeździliśmy tam bawiąc za każdą razą przynajmniej po tygodniu, ale w takiem mieście, jak tu dać sobie radę?

Myślałem więc tak i owak a słysząc często mówiących, że mnie mają z rozkazu hrabiny oddać przed zimą w Warszawie do terminu, postanowiłem czekać i cierpieć, podług swojej głupiej głowy, niby niewinne prześladowanie. Od tej chwili, cała myśl moja, zajęta była przyszłym terminem, a uważając każde zatrudnienie, jakie mi przeznaczono, za niesprawiedliwość ludzką, wyłgiwałem się od pracy na różne sposoby jak tylko mogłem i po całych dniach zbijałem bąki, przełażąc się od kąta do kąta.

Stary Jan zniecierpliwiony moim uporem i lenistwem, gdy widział, że wszystkie łajania, przedstawienia rozumne, a nawet często gęsto i tęgie pręty po plecach były jak groch na ścianę, tak już wtedy

w złem ugrzązłem, widząc mnie ciągle unikającego pracy i pod każdym względem co raz gorszego, raz wyłajawszy porządnie, że małej drożyny w około kląbu nie wygracowałem, machnąwszy ręką i potrząsnąwszy głową, wyrzekł z niechęcią.

— Niech cię Bóg kocha leniwcze, bo ani ja ani ludzie kochać cię nie mogą, a kiedy nie chcesz mnie słuchać, rób sobie co ci się podoba, tylko nie wchodź mi w drogę i nienastręczaj mi się przed oczy. Pamiętaj jednak, że każdy co takim był jak ty w młodości, to później bardzo często płakał sam na siebie.

Od tego czasu zupełnym byłem panem dnia całego, a choć nic nie robiąc ogromnie mi się przykrzyło, tak, że nieraz z chęcią zabrałbym się do jakiej w ogrodzie roboty; ale nie śmiałem, bo się lękałem, żeby nie myśleli że im przyznałem, iż mieli słuszność w ciągłem na mnie łajaniu i strofowaniu.

Próżnowałem więc najokropniej, włóczyłem się po polach, krzakach, ogrodzie, a że złe zawsze do złego prowadzi, pomału, pomału zaczęły znowu powracać wszystkie dawne psoty i złości ludziom i zwierzętom płatane: bo i czemże miałem się zająć jeżeli nie psiemi figlami? Wszakżeż z założonemi rękoma, myśląc o niebieskich migdałach, to trudno siedzieć w jednem miejscu przez dzień cały. Narzekania więc, co się troszkę uspokoiły, zaczęły się na mnie znowu ze wszystkich stron podnosić. Jan się

gniewał, często nie tylko fuknął ale i stuknął, odgrażając się, że kiedy, jak już straci zupełnie cierpliwość, to na nic nie będzie zważał, nawet na moje sieroctwo i jak każe rozciągnąć to mi da ze sto rózg, że się ruszyć nie będę mógł z tydzień i sam ucieknę gdzie pieprz rośnie.

Na poparcie słów swoich i na przekonanie, że co powiedział tego dotrzyma, kazał zrobić ogromne rózgi i te mokły w beczce. w której stała woda do polewania.

Takie przyrzeczenie i przygotowanie rózgowe, regularnie jak zegarek co rano powtarzane, cokolwiek mnie przestraszyły: bo wiedziałem, że Jan nigdy nie groził napróżno i co dzień przechodząc około beczki, pytał się chłopca z kuchni:

— Jasiu! a pijawki na Mateuszka odmieniłeś?

— Odmieniłem, proszę pana, odpowiedział Jasiek, a mnie mrowie przechodziło po skórze.

Jakiś więc czas zrobiłem się uważniejszy, potulniejszy, skromny jak trusia; ale tylko po wierzchu, bo wewnątrz byłem jak wilk, co tylko szuka sposobności, żeby mu co na ząb wlazło i chociaż rózgi nie opuszczały swego stanowiska; pomału, przyzwyczaiłem się do nich i potroszku zacząłem wyciągać pazurki.

Dałem jednak pokój ludziom i zwierzętom, myśląc jedynie o złasowaniu czego na zjedzenie, a że

ogród dworski pełen był prześlicznych owoców, na niego głównie zwróciłem uwagę, bo mi wstęp do niego, jako próżniakowi został wzbroniony. Nic zaś nie robiąc po całych dniach, bo co chwila czekano listu od hrabiny z rozporządzeniem, co do mego przyszłego terminu, łatwo wymiarkowałem, kiedy w ogrodzie najmniej się uwija ludzi i wtedy robiłem wyprawy na śliwki, gruszki, jabłka i obłowiwszy się niemi doskonale, smyrgałem tylnym płotem koło owczarni w pola, żeby schrupać zdobycz.

I doskonale mi się wszystko powodziło, a choć domyślano się do czyjego to żołądka piękne przechodziły owoce; ale niedostrzeżono mnie nigdy, czem ośmielony nie tylko nie zaprzestałem wypraw, lecz zrobiłem się wybredniejszy: gorsze pomijałem, a chwytałem zawsze, co najpiękniejsze.

Ale wszystko ma swój koniec, raz bowiem usłyszawszy, jak Jan przykazywał wszystkim dworskim, żeby żaden z nich nie ważył się zerwać jabłka z młodej jabłonki szczepionej przez samego nieboszczyka hrabiego, która w tym roku pierwszy raz cztery śliczne jabłka wydała: bo je chce przechować dla samej hrabiny; ja tylko z łakomstwa łyknąłem ślinkę, a pragnąc przytem, idąc za swoją brzydką naturą, dokuczyć w tem Janowi: bądź co bądź, postanowiłem je zerwać.

Kiedy więc zaczęło się zmierzchać, sądząc, że

Jan swoim zwyczajem jest u siebie w pokoju, cichaczem, chyłkiem, po pod gałęziami przypadłem do jabłonki i dalej do jabłek! Kiedy już ostatnie zerwałem i pakowałem w kieszeń, cały zajęty pomyślnem udaniem się wyprawy, która tyle zmartwienia miała sprawić Janowi. nagle usłyszałem głos za sobą, tak mi dobrze znajomy i uczułem rękę chwytającą mnie za szyję:

— A ty łotrze, napastniku — mówił Jan, trzęsąc się od gniewu, niepoprawny hultaju, poczekaj, odpowiesz mi teraz za wszystkie czasy, poczekaj!.

I dalej łając, prowadził mnie przed sobą ku dworowi. Jak byłem przestraszony łatwo odgadnąć, bo wiedziałem co mnie czeka; a niemając nic do stracenia, począłem się szarpać, wydzierać, drapać Jana, kopać nogami. Szamocąc się starowina, potknął się i przewrócił, a ja jak zając przed psami, dalej w nogi, co tylko sił miałem. Biegnąc usłyszałem jeszcze za sobą; „Łapaj trzymaj! sto rózg, łotrze! sto rózg! — przyspieszyłem więc kroku i nieoglądając się, przesadziłem przez płot i wio! w pole. I długo tak biegłem, aż zadyszany dopadłem do krzaków i czując się na tem stanowisku bezpieczny, padłem na ziemię, wyciągnąłem się jak lis, zwracając głowę ku wsi, aby uważać: czy za mną nie wysłano pogoni.

Ale cicho było wszędzie jak makiem zasiał: od wsi dochodziło tylko czasem poszczekiwanie psa,

albo ryk bydła i gdzie niegdzie błysnęło w chałupie chłopskiej światło, a na niebie poczęły jaśnieć gwiazdy i co raz większa ciemność okrywała ziemię.

W pierwszej chwili kiedy się z biegu wysapałem, z radością przypominałem sobie wszystkie okoliczności ucieczki, a nawet rozśmiałem się jak mi stanął w myśli Jan leżący na ziemi i jak gracko wyrwałem mu się z ręki.

Ale kiedy zaczęło się co raz bardziej ściemniać, kiedy drzewa i krzaki straciły swoje kształty i wyglądały jakby jakieś gromadki małych i wielkich ludzi, odzianych w długie czarne płaszcze, kiedy wiatr zabrzęczał i poruszawszy gałęziami, zdawało się, że ci, niby ludzie idąc do mnie, ruszają się i w prawo i w lewo; taki mnie przejął strach, że przytuliłem się pod pień dębowy i prawie nie śmiałem odetchnąć.

Po chwili jednak uspokoiłem się, przekonałem się bowiem, że to nie są ludzie, ani żadne strachy; ale drzewa, krzaki, że się ich nie ma co bać. Ale gdy mi głód zaczął dokuczać, bo od obiadu nic jeszcze nie jadłem, gdy sobie pomyślałem, że we dworze zapewne teraz zasiadają do kolacyi, do kaszy albo klusek z mlekiem, które ja bardzo lubiłem, okropnie pośmutniałem i począłem się namyślać: co tu dalej z sobą robić.

Wrócić, było to samo, co nadstawić skóry na ogromne rózgi i siebie na drwiny i śmiech wszyst-

kich dworskich: powrócić więc nie mogłem — ale cóż z sobą dalej robić? — gdzie się obrócić i do kogo? Wtenczas poznałem okropne moje położenie a zwalając wszystko nie na siebie, tylko na ludzi i na ich dla mnie nieprzychylność, począłem głośno narzekać na nieszczęście, łamać ręce i z płaczem wołać: — „a niech was Bóg skarze!“

Ale i płacz nic nie pomógł, bo wypłakawszy się jak bóbr, zawsze czułem głód jeden, i nie wiedziałem co mam z sobą począć. — Wreście po chwili począłem troszkę żałować, że mnie nieszczęście jakieś do jabłonki zakazanej zaprowadziło, kiedy tyle innych piękniejszych było w ogrodzie: że gdyby nie to, nie miałbym takiej awantury z Janem, nie siedziałbym teraz w nocy i w lesie i co najważniejsza, jadłbym kluski z mlekiem i nie bałbym się zasłużonej kary. I w myśli, rozgniewałem się sam na siebie, a że zawsze byłem złośnik zawzięty i często mściwy, przekonawszy się, że sam jastem przyczyną wszystkiego, w tej zawziętości ścisnąłem pięście i zacząłem niemi walić siebie po udach, po piersiach, że tylko bębniło, i wydzierać włosy z głowy.

Widać, że na złych ludzi, kiedy słowa nie pomagają, najlepszym nauczycielem bywa kij: bo i ja wybiwszy się i naszturchawszy porządnie, jakoś opamiętałem się i spokojniej zacząłem rozmyślać. I mimo woli stanęły mi w myśli wszystkie dawniejsze figle

psoty i dokuczania, naprzód w Klimontowie, a potem u hrabiny dokazywanie, i zacząłem się rumienić i wstydzić sam przed sobą, a kiedy rozważyłem, że mimo tego jednak znalazłem ludzi, co nie odmówili opieki sierocie, a nawet nauczyciel i hrabina mnie ukochali i obsypali pieszczotą i wygodami, tak mi żal ścisnął serce, że szczerze rozpłakałem się. Lecz to nie długo trwało, obtarłem łzy rękawem i w głupocie swojej, znowu nie sobie, ale ludzi obwiniając pofolgowałem wrodzonej swej hardości i zacząłem myśleć, jak za to że dziś siedzę w lesie głodny i zalękniony o karę, zemścić się na Janie. Ale jak?

Otóż umrę, pomyślałem sobie z głodu i tu w lesie na samym brzegu od pola: bo jak mnie znajdą i dowie się o tem hrabina, to każdy zaraz powie, że dopiero Jan musiał być złym dla Mateuszka, dopiero musiał mu dokuczać, kiedy chłopak wolał z głodu umrzeć, niż wracać do domu.

I w głupiej zemście widziałem już jak ludzie mnie żałują, jak nachyleni nad mojem ciałem szepczą między sobą, z ukosa poglądają na Jana, łają go, a on blady, przerażony, łamie ręce, przeprasza hrabinę i prosi się, żeby go ze służby nie wyganiała. Ale hrabina patrząc na płaczącego panicza odsuwa Jana od siebie, każe mu natychmiast wynosić się, a on zanosi się od płaczu i w największej rozpaczy wychodzi z pałacu.

Ale temu trudno zaradzić było, więc znowu rozgniewałem się i zacząłem przemyśliwać nad innemi sposobami zemszczenia się. Tyle jednak wieczoru tego przemkło się myśli przez głowę i w płaczu i w gniewaniu się, że koncept jakoś nie szedł, a smutek dziwny, jakaś tęsknota tak mnie całego opanowały, że załamawszy ręce zwiesiłem głowę i z boleścią zamyśliłem się.

Naprzód sieroctwo moje i matka stanęły mi w myśli, jej dobroć, jej pobłażanie i opieka serdeczna, z którą tak niegdyś byłem szczęśliwym i swobodny: później pobyt u hrabiny i jej z Władysiem do mnie przywiązanie, które w niczem prawie miłości matki nie ustępowało, następnie stan mój dzisiejszy i wszystkie okoliczności, które spowodowały ucieczkę.

Rozmyślając tak, szczególniej mnie to dziwiło: dla czego w Klimontowie, będąc tak kochany od matki a u hrabiny od niej i od panicza; tak tam, jak tu, przez wszystkich prawie ludzi byłem nienawidzony? Bo ludzie są źli pomyślałam sobie i zazdrościli mi tego szczęścia jakiego doświadczałem.

Ale, myślałem sobie dalej, już to u hrabiny mieli mi czego zazdrościć: bo byłem prawie drugim paniczem i tylko mi brakowało ptasiego mleka; ale u matki, co z głodu nieraz się napiszczałem, a z zimna naszczekałem zębami, to znów nie było czego; a jednak ludzie nawet patrzeć na mnie nie lubili. Dla czego to?

Gdyby nie dyabelski upór i nie wielkie rozumowanie o sobie, byłbym zaraz zmiarkował przyczynę tej nienawiści; ale choć czasem przychodziło mi do głowy: ej Mateuszku, psociłeś ludziom, dokuczałeś, to cię i nienawidzili, zaraz myśl taką prawdziwą odsuwałem od siebie i przyczyny wszystkiego szukałem w ludziach.

Kto chce psa uderzyć to kija znajdzie: tak i ja pragnąc koniecznie siebie uniewinnić a potępić drugich, póty medytowałem, póty wykręcałem w myśli, póty ze sprawek swoich wielkich jak dwupiętrowa kamienica robiłem malutkich kanarków, póki najdowodniej nie przekonałem sam siebie; żem anioł dobroci, poczciwość chodząca, sam miód i cukier; a ludzie gorsi dyabłów, nie dobrzy jak piołun, i z twardem sercem jak żelazo. Mimo jednak takiego przekonania, stawiającego mnie wyżej nad wszystkich, nie cieszyło mnie ono bardzo; bo niedawało posiłku dla pustego brzucha, a tu i ciemno i chłodno i co raz dalej w noc.

— Oj! Boże, Boże, co tu robić? zapytałem sam siebie. I kiedy szukałem w myśli odpowiedzi i co raz bardziej upadałem na duchu, zdala od wsi doleciało mnie wesołe granie na skrzypcach i przy tem ochoczy śpiew jakiegoś parobczaka wiejskiego. Aż się cały wzdrygnąłem; bo przy głodzie, przy kłopo-

cie o siebie, nie spiewu i nie tańca mi się chciało, prędzejbym płakał i wyrzekał, niż się weselił.

Tymczasem granie raz było głośniejsze, to znowu cichło, czasem jak wiatr powiał, to zdawało mi się jak mruczenie wielu ludzi, albo dalekie szumienie wody, aż nareszcie zupełnie ucichło i wicher już sam świsnął mi koło ucha, zakręcił liściami po ziemi i poleciał hasać gdzieś tam po lesie. Mnie dreszcz przejął całego, mrowie przeszło po ciele, włosy na głowie powstały i znowu mi się zdawało, że drzewa i krzaki to są ludzie, że kiwając się idą ku mnie i szumiąc gałęziami coś z sobą rozmawiają. Oj! straszna to była chwila: bo ze strachu aż dygotałem i pomyślałem sobie:

— Oj! Boże, Boże, ludzie się tam cieszą, tańczą weselą, kiedy ja...

I w tym momencie stanęła mi matka w myśli, jak na śmiertelnem łożu błogosławiąc i zawieszając krzyżyk rzekła:

— Kochaj Boga, a Bóg cię nieopuści.

Kiedy to pomyślałem, dziwna jakaś otucha wstąpiła w moje serce, zupełnie jak wtenczas, kiedy wyjeżdżając z hrabiną z Klimontowa, przyglądałem się błyszczącemu nad kościołem krzyżowi. I zapłakałem rzewnie; ale płacz ten zupełnie był inny niż poprzedni, bo w tamtym więcej było gniewu i złości niż prawdziwego żalu, a teraz czułem, że płaczę

sercem i pokorą duszy i chociaż nie biłem się po piersiach, nie targałem włosów na głowie, nie złościłem się ani odrobiny, ale nachylony ku ziemi, roniłem łzy oczami, a w myśli miałem wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa Pana, Jego twarz bolejącą i krople krwi, co Mu z pod cierniowej korony po czole spływały. I szybko sięgnąłem ręką za koszulę i wydobyłem pamiątkę po matce, o której prawie zapomniałem i całując krzyżyk, zanosząc się od płaczu, mówiłem:

— O! Boże, mój Boże! ratuj mnie biednego sierotę.

I długo tak płakałem, długo modliłem się, wzywając pomocy Boga ukrzyżowanego, aż pomału znacznie uspokojony, nawet zupełnie spokojny, jakbym siedział w pałacu przy kluseczkach z mlekiem, oparłem się plecami o pień dębowy i zacząłem w myśli zastanawiać się nad sobą.

Bóg, widać, wysłuchał mojej modlitwy, bo zaraz mi zesłał przypomnienie snu: kiedy siedziałem za miastem, pod płotem w ogrodzie i widziałem w nim nauczyciela mówiącego, że jest opiekunem zesłanym przez matkę.

Potem przypomniałem sobie wszystkie jego rady, nauki mi dawane, jak mówił: żebym się starał o miłość ludzką, bo kogo Bóg kocha, tego i ludzie kochają; jak kazał zawsze mówić prawdę: bo tym sposobem zyskałem szacunek ludzi i błogosławień-

stwo Boga, a mając miłość i szacunek ludzi, przy poczciwej pracy, będę zawsze miał nad sobą opiekunem Boga i będę szczęśliwym.

Jak, słuchając tej rady, mimo moich niegodziwych figlów, o których przypadkiem się hrabina dowiedziała, że szczerą prawdę jej wyznałem i objawiłem żal serdeczny, jednak zabrała mnie z sobą i otoczyła najtroskliwszą opieką i miłością, jakiej większej prawie od matki niedoświadczałem.

Jak po temu u tej drugiej matki grzecznem i uprzejmem postępowaniem, chętnem zatrudnieniem się w przyznaczonej mi pracy, która mi nie zostawiała czasu do figlów i zbereżeństw, zyskałem miłość wszystkich, a potem złością nie tylko ją utraciłem, ale powróciłem do kłamstwa i kłamstwo zamknęło mi serce hrabiny, a ja nieposłuszeństwem, krnąbrnością, próżniactwem, nie mając nic lepszego robić, ciągle psociłem ludziom, zyskałem ich nienawiść i wreście musiałem uciekać!

To wszystko rozważając w myśli, takim mnie żalem przejęło, tak mi otworzyło oczy na prawdę, że nie ludzie ale ja sam byłem przyczyną mojej niedoli, a raczej złość moja, psie figle, kłamstwo i inne wady które się we mnie jak robactwo jakie zagnieździły. zacząłem wstydzić się sam przed sobą, wyrzucać wszystkie przeszłe hultajstwa i żałować szczerze niegodziwych moich postępków.

Ale było to już po niewczasie. a co najważniejsza, nie odmieniłem w niczem stanu rzeczy: bo czułem, że rózgi mnie nie miną i że głód co raz bardziej dokucza. Westchnąwszy więc szczerze, przycisnąłem krzyżyk do ust i w tej chwili stanął mi w myśli ów kącik w Klimentowie, do którego po śmierci matki zawsze uciekałem a napłakawszy się i napatrzywszy w wizerunek Chrystusa Pana, byłem potem spokojniejszy, jakiś raźniejszy, chociaż mnie nieraz różne dolegliwości gnębiły.

Przypomniawszy zaś słowa nauczyciela, że: kto z Bogiem, to Bóg z nim, czyli jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, ukląkłem pod drzewem, i choć było do koła ciemno, a tylko gwiazdy migały nademną i wiatr z jękiem i z szumem czasem przelatywał między drzewami, z oczami wzniesionemi ku niebu i z odkrytą głową począłem głośno odmawiać pacierz, prosiś Boga o opiekę nad sobą i gdy, bijąc się w piersi ze szczerem żalem wymawiałem: Boże! bądź miłościw grzesznej duszy mojej: bo wtenczas prawdziwie czułem, że wielkim byłem grzesznikiem, niegodnym łaski i dobroci Boskiej a w końcu dodałem: Boże wszechmogący! weź mnie w swoją opiekę, kochana matko! uproś Boga o miłosierdzie nademną biednym sierotą, uczułem, jakby ciężar jaki spadł mi z serca i jakby mi coś szepnęło do ucha: Nie bój się, mo-

dliłeś się szczerze i gorąco, Bóg cię wysłuchał i nie opuści.

Po modlitwie lekki swobodny, bo ufający w dobroć Boga, zacząłem się zastanawiać co dalej z sobą robić? Najprzód nasunęła mi się myśl powrotu i przepraszania Jana; ale jak wystawiłem sobie wstyd jaki mnie czeka przed wszystkimi, drwiny, żarty a potem obiecane rózgi, powiedziałem sobie, że wracać żadnym sposobem nie mogę.

Była to pycha i wstyd fałszywy, brak pokory i resztki niechęci do ludzi, którym tyle złego nabroiłem. Postanowiłem więc jako znający drogę iść do Warszawy i prosić jednego z panów, u których bywałem z hrabiną, aby się zlitował nademną i oddał mnie gdzie do terminu.

Ta myśl najlepiej mi się spodobała i cały zajęty jej wykonaniem, już zawczasu roiłem sobie świetne powodzenie, jakie mnie czeka, jak będę szczerze pracował, jak niebędę kłamał, jak postępowaniem dobrem i grzecznem zyskam miłość ludzką, jak potem zostanę majstrem podobnym do szewca albo kowala w Klimentowie, jak kiedyś powrócę do swego gniazda upadnę do nóg nauczycielowi; potem plątała się w głowie i matka i hrabina i Władyś, czasem Jan albo nauczyciel i nie wiedzęc kiedy i jak, usnąłem tak twardo, że się ocknąłem, aż dnieć zaczynało i już

skowronek na dobre wyśpiewywał, jakby piosnką chciał chwalić Pana nad Pany.

W pierwszej chwili zaraz po przebudzeniu, nie mogłem zrozumieć, co się ze mną dzieje; ale przyszedłszy do siebie, zobaczywszy pole przed sobą, a las zaraz przy sobie, wnet przypomniałem sobie całe wczorajsze zdarzenie i poleciwszy się jeszcze raz w modlitwie, którą na klęczkach odmówiłem, opiece Boskiej, szparko potem ruszyłem ku gościńcowi w zamiarze udania się do Warszawy.

I długo szedłem bo to kawał był potężny: dla zyskania posiłku, gdyż mi głód nieznośny zaczął dokuczać, chciałem zmyśloną bajeczką, że jestem wysłany za kupnem papieru stęplowego i przypadkiem wszystkie zgubiłem pieniądze, wyłudzić od ludzi śniadanie: ale ta myśl brzydka tylko mignęła mi się w głowie i zawstydziwszy się jej, postanowiłem prawdę każdemu powiedzieć.

Przechodząc więc koło jakiejś kolonii, zszedłem z gościńca i wszedłem do pierwszego bardzo porządnego domu. Zastałem gospodarzy zabierających się do śnadania, a na środku miskę z barszczem i z wieprzowiną i garnek świeżo ugotowanych ziemniaków. Jak poczułem tak miły zapach, nie jadłszy prawie nic od południa, zaczęły mi śliny iść do ust tak że mnie znudziło i osłabiony oparłem się o ścianę i zacząłem płakać.

Natychmiast przybliżyli się oboje gospodarstwo, ludzie już nie młodzi i sądząc, że nagle zasłabłem, doprowadzili mnie do łóżka i chcieli położyć, wypytując troskliwie co mię boli. Ledwie z płaczu mogąc mówić wybąkałem:

— Mnie się jeść chce: bo od południa wczoraj nic nie jadłem.

— Jeść ci się chce? zapytała gospodyni z litością biedne dziecko! chodź kochanku, masz barszcz, ziemniaki, mięso, jedz co ci się podoba.

Z jaką radością zasiadłem do miski i jak zawijałem smacznie, to każdy się może domyślić, a zapytany o powody mego głodu, zkąd jestem i dokąd idę, odrzekłem:

— Jestem sierotą, nie mam ani ojca ani matki i teraz idę do Warszawy do jednego znajomego pana prosić żeby mnie oddał do terminu.

— A dlaczegożeś tak ubrany jak jaki panicz? zapytał gospodarz, oglądając mój surducik, spodnie sukienne, buciki porządne i czapeczkę na głowie: widać że rodzice twoi musieli być zamożni.

Na zapytanie to ogromnie się zawstydziłem; ale postanowiłem nigdy już nie kłamać, choć z początku strasznie mi szło jąkato; ale opowiedziałem wszystko, co się mnie tyczyło i w końcu dodałem:

— Dlatego też po zerwaniu jabłek, lękając się kary uciekłem; bo tam na mnie mokły rózgi i ba-

łem się powrócić, a że zawsze miałem być oddany do terminu, więc poszedłem sam, nie czekając zawiezienia.

— A to źle, mój kochany, odezwał się na to gospodarz, tyś młody, to nie dasz sobie rady, lepiej więc było wrócić, przeprosić, a tam, widząc twój żal szczery, byliby ci przebaczyli.

— No zapewne, zapewne, dodała gospodyni, gdy ja ze wstydu nie śmiałem nawet oczu podnieść od ziemi: ale dzieciak lękliwy, to się bał kary.

— Jakby nie było kary, toby niebyło miary, odrzekł gospodarz. Widać, że choć wielki jesteś zbereźnik, ale poczciwe dziecko, boś prawdę powiedział jak Bóg przykazał. Tak zawsze rób, moje dziecko! prawdę tnij, ani pytaj: pracuj i módl się, a Bóg ci dopomoże. A widzisz, ja jeno z dziesięciu palcami, a jak się zabrałem do pracy z moją kobietą, tak dorobiłem się grosza, kupiłem koloniją, dziś niczego nie pragnący, a nawet nieraz kawałka chleba nie żałuję biednemu: ale zawsze prawdą szedłem na świecie i z tego między ludźmi tak poszła gadka, że gęba starego Wawrzka nie zna zmyślenia i choćbym teraz powiedział że noc, toby nie jeden podrapał się w głowę, przetarłby oczy i potem powiedział, jużcić, choć widzę że dzień, ale musi to być noc, kiedy Wawrzek tak powiedział, bo on nigdy nie łże, a mnie widać cosić złego w oczy się stało; gotówby nawet pójść

do doktora. Pamiętaj moje dziecko, zawsze być takim; a kiedy nie chcesz wracać, to odpocznij sobie, wyśpij się, a jutro raniutko ruszysz w drogę.

Takiej rzeczy nie dałem sobie dwa razy powtórzyć; bo istotnie byłem i śpiący i zmęczony, a po najedzeniu i rozegrzaniu żołądka taki mnie sen opanował, że zamykały mi się same oczy. Zaprowadzono mnie więc do alkierza, usłano łóżko, a ja jak się tylko przytknąłem do poduszki, tom tak usnął jak zabity. I długo spałem, a po przebudzeniu dowiedziawszy się od dzieci, że rodzice poszli na łąkę grabić potraw, poszedłem do nich i pomagałem im siano gromadzić w kopy.

Stary Wawrzek ogromnie się z tego cieszył, powiadając: że dojdę kiedyś do kawałka chleba, bo się nie lenię do roboty; a ja, napracowawszy się uczciwie, gdy powróciłem do domu zmęczony, z większą śmiałością zasiadłem do miski: bo czułem, że słusznie mi się posiłek należy, bo na niego jak umiałem, tak zapracowałem.

Stary Wawrzek w wybornym był humorze, ciągle mnie nazywał swoim najemnikiem, zachęcał do jedzenia i kubek w kubek te same dawał nauki co nauczyciel, tylko innemi słowami, zwyczajnie, po prostu.

Słuchałem i brałem to wszystko do serca i dziwiłem się, że choć o nich wprzódy wiedziałem, jednak

nie rządziłem się niemi dawniej. Wesoły więc nawet szczęśliwy, zacząłem razem z Wawrzkiem po kolacyi stroić figielki, śmiać się, chichotać, i gdy rzekłem, udając się na spanie, że już tak dawno nie byłem wesoły. odrzekł:

— A wiesz dla czego? oto dla tego: żeś dawno nie pracował, tylko na próżniactwie czas przepędzał i żeś prawdę wyznał jak na świętej spowiedzi. Praca moje dziecko, choć ciężka, ale daje zdrowie, byt, słodycz i rozkosz w odpoczynku, prawda zaś dozwala każdemu śmiało patrzeć w oczy i nie wstydzić się za nic. Pracuj więc i mów prawdę, a zawsze takim będziesz wesołym.

Na drugi dzień czułem jakbym się na świat narodził, a zmówiwszy pacierz, potem zjadłszy śniadanie, ucałowawszy ręce poczciwym ludziskom, pakując po wszystkich kieszeniach to bułki, chleb, placek, to kawał sera, to znów kawał wędzonej kiełbasy któremi mnie zaopatrzono, przy błogosławieństwie i oddaniu mnie w opiekę Boga wyruszyłem dalej w drogę. Już nie wstępując nigdzie, chyba tylko dla napicia się wody w jakiej strudze; bo jedzenie miałem koło siebie jak na dwóch, ucieszony w duszy, że za prawdę tak mnie Bóg zaraz wynagrodził, już wieczorem przyszedłem do Warszawy i dobrze znając wszystko, śmiało przeszedłem rogatki.

Jednak nie bywając inaczej w Warszawie jak

z hrabiną, nie wiedziałem jak się obrócić i gdzie się udać. Nie wiedziałem też nazwiska tego pana, ani hotelu, bo od niego trafiłbym wszędzie.

Znalazłem się więc w Warszawie na raz jeden jak w lesie; bo choć ludzie kręcili się jak mrowie nie mogłem się nawet spytać, bo niewiedziałem o co.

Łażę więc i łażę z ulicy na ulicę, na każdym rogu zaraz zakręcam, pewny, że wyjdę na tę, której szukam; zatrzymuję się przed każdym większym domem; ale wszystko na próżno. Choć przystąpię do kogo i pocałowawszy w rękę zacznę mówić z trwogą; Proszę pana... to każdy usunie rękę, spojrzy na mnie groźnie, jaki taki fuknie: pójdź precz smarkaczu, i nie obejrzawszy się nawet, idzie dalej w swoją drogę.

A tu co raz później i mnie się tak w głowie pokręciło, że już bym i do rogatek nie trafił. Gdy więc widzę, że chodzeniem tylko na próżno się męczę, że od ludzi także niczego się nie dowiem: bo tak są nie dobrzy, że nawet biednemu dzieciakowi porady odmawiają, zobaczywszy jakiś kościół, kucnąłem sobie w progu drzwi wychodowych i wtulony w kącik począłem nad mojem położeniem rozmyślać.

Najprzód wydobyłem krzyżyk, ucałowałem i serdecznie wezwałem pomocy Boskiej. A kiedy przekupiony modlitwą, zacząłem w myśli błąkać się po pałacu hrabiny i przypominać sobie wszystkie wy-

gody, których miałem po uszy, gdy teraz w kuczki siedząc na kamieniach, drżąc od zimna, żal ścisnął mi serce, wspomniałem sobie matkę, jej dobroć dla mnie i westchnąwszy rzekłem:

— Mój Boże! wtedy o nic się nie frasowałem, bo matka kochana o wszystkiem dla mnie myślała, a dziś ja biedny sierota, bez ojca, bez matki, nawet nie wiem gdzie głowę przytulić, oj, Boże, Boże! za cóż mnie tak bardzo karzesz? Zaledwie te słowa wymówiłem, uczułem jakby we mnie coś rzekło: a dla czegożeś nie wrócił przeprosić starego Jana? Dla czegoś nie słuchał rozsądnej rady poczciwego gospodarza, co ci to samo doradzał?

Rozmyślając nad tem, poznałem dopiero że źlem zrobił, że gdybym był usłuchał tego wewnętrznego głosu, lub potem porady kolonisty, nie błąkałbym się był po Warszawie, nie siedziałbym na kamieniach pod kościołem drżący i skulony, ale byłbym leżał w wygodnym łóżeczku, okryty ciepłą kołdrą na poduszce pierzanej i potem zostałbym odwieziony bryczką do terminu z dobrze wypakowanym tłomokiem.

Rozmyślając tak, przypomniałem sobie zalecenie nauczyciela, abym był posłuszny, słuchał zawsze starszych i był wdzięczny dla dobrodziejów i opiekunów, a ja o tem wszystkiem zapomniałem, bo byłem i nieposłuszny radzie starszego kolonisty i okazałem

się niewdzięczny dla Jana, którego mogłem także uważać za opiekuna: dla tego słusznie teraz cierpię za swój upór i niegodziwość. Rzekłem więc sam w sobie:

— Za złe moje postępowanie Bóg mnie widać opuścił, ale Boże, mój Boże! bijąc się w piersi, mówiłem dalej głośno przypomniawszy sobie, że ilem razy szczerze się pomodlił, to mnie Bóg zawsze wysłuchał:

Przebacz mi, rzekłem, mój Boże! już teraz zawsze będę dobrym, zawsze będę słuchał starszych, zawsze ich będę kochał i szanował, tylko zmiłuj się nademną, Boże! zmiłuj się nad biednym sierotą i weź mnie w opiekę.

Kiedy te słowa wymawiałem, z krzyżykiem w ręku, z przymkniętemi oczami a z myślą u podnóżka majestatu Boskiego, przy końcu ich uczułem rękę położoną na głowie i groźnie wymówione słowa: A ty berbeciu co tu robisz?

Otworzyłem oczy i z przestrachu zaniemiałem bo mi się koniecznie zdawało, że stoi przede mną stary Jan podparty na swojej lasce. Nowo przybyły, nie słysząc żadnej odpowiedzi, zapytał znowu groźnie; ale zaraz poznałem po głosie, że to nie był ten, którego się tak okropnie zląkłem.

— Cóż nie odpowiadasz mi malcze, czy już za

młodu wprawiasz się do próżniactwa i żebraniny? Co tu robisz?

— Proszę pana, odrzekłem z przestrachem i całując go w rękę, szukam jednego pana i jednego hotelu i nie mogę po nocy znaleść

— Jednego pana i jednego hotelu? odrzekł z niedowierzaniem, wykręcając laską w powietrzu, jakiego pana i jakiego hotelu?

— Nie wiem, proszę pana, bo zapomniałem.

— Zapomniałeś? to mały łotrze, łżesz i koniec, ty żebrzesz, zaraz mi powiedz prawdę?

— Nie łgę, proszę pana, odrzekłem co raz bardziej przelękniony, bo już przyrzekłem sobie: że nigdy nie będę kłamał.

— To i czegóż tu siedzisz i mruczysz jak żebrak pod nosem?

— Bo.. bo.. i zaciąłem się, czem ten pan rozgniewany chwycił mnie za ramię i krzyknął:

— Szubieniczniku mały, mów mi prawdę, bo cię oddam na ratusz jako próżniaka i włóczęgę.

— Bo się modliłem wyjąkałem z największym przestrachem.

— Modliłeś się? już łagodniej odezwał się ten pan, a i o cóż takiego?

— Ażeby mnie Bóg wziął w swoją opiekę, z płaczem odrzekłem, bo ja biedny sierota i nie wiem co mam z sobą zrobić.

— Hm, mruknął ten pan, to dobrze, że się modliłeś; ale któż cię chował do tego czasu?

— Hrabina, proszę pana, w Zagraju.

— A dla czegoż tam teraz nie jesteś?

Na to pytanie sam nie wiedziałem, jak mam odpowiedzieć, bo kłamać nie chciałem, a wyznać prawdę bałem się i wstydziłem. Przyłożyłem więc ręce do oczu i zacząłem płakać, a ten pan rzekł:

— O ho! musiałeś pewno coś zbroić, ty mały szubieniczniku, ale nie płacz i powiedz prawdę.

Uderzyć w stół to nożycy się odezwą, ja też słysząc już dwa razy nazwanie mnie dawnym przezwiskiem, byłem pewny, że mnie ten pan zna, dla tego odrzekłem już śmielej:

— Kiedy mnie pan nazywasz szubienicznikiem, to mnie widać pan znasz i wiesz wszystko.

— Jakto to ciebie szubienicznikiem nazywano?

Ja nic na to nie odrzekłem, tylko coś mruknąłem pod nosem.

— Toś hunewot musiał być, odezwał się ten pan kiedy ci nadano takie przezwisko.

— Powiedz więc tylko prawdę, dla czego teraz nie jesteś w Zagraju u hrabiny; przecież to dobra i poczciwa pani.

Tu po długim stękaniu, kwękaniu i jąkaniu się, opowiedziałem całą awanturę z Janem, a potem jak

mnie zaczął wypytywać, takem wszystko o sobie wyśpiewał, co tylko mogłem zapamiętać.

W czasie opowiadania ten pan czasem tylko mruknął czasem powiedział; „oj huncwocie, huncwocie, prawdziwy z ciebie szubienicznik“ a kiedym skończył pogłaskał mnie po twarzy i rzekł z dobrocią:

— Widzę żeś szczerą prawdę mi opowiedział dla tego pokochałem cię i nieopuszczę, takim zawsze bądź chłopcze, bój się Boga, módl się, a i Bóg cię nie opuści. Ot widzisz i dziś twoją modlitwę wysłuchał: bo mnie zesłał do ciebie. Widzisz jaki to Bóg miłosierny, bo jak tylko poznałeś złe i przyrzekłeś szczerą poprawę, zaraz okazał dobroć swą dla ciebie.

Teraz chodź ze mną, bo to już późno, a nie płacz, nie płacz, przy pomocy Boskiej wszystko będzie dobrze.

Tym sposobem nad spodziewanie moje zyskałem opiekuna i z tego raz na całe życie przekonałem się, że modlitwę szczerą i z serca płynącą Bóg zawsze łaskawie wysłucha, co w dalszem mojem życiu nie raz i nie dziesięć sprawdziłem. Poczciwy staruszek, a nazywał się pan Janina, zaprowadził mnie do domu, nakarmił, napoił i choć zawsze prędko i jak gdyby z gniewem mówił, oswoiłem się prędko z tem, a nawet od pierwszego zaraz dnia najserdeczniej pokochałem, gdy położywszy się spać, on

mi zaczął poprawiać poduszkę, odziewać kołdrą i otulać zupełnie tak, jak to niegdyś robiła matka.

Rozczuliło mnie to, pocałowałem go w rękę, a on przytulając głowę moją do piersi, rzekł łagodnie śpij z Bogiem, moje dziecko! a pacierz zmówiłeś?

Chociaż byłem bardzo śpiący i strasznie mi się nie chciało wychodzić z posłania, wyskoczłem jednak raźno; boć od Boga odebrawszy tyle dobrodziejstw, miałem za co dziękować i ukląkłszy zacząłem głośno odmawiać pacierz. Gdy skończyłem, pan Janina wziął mnie między kolana, okrył szlafrokiem i rzekł, skubiąc mnie delikatnie po twarzy.

— Widzisz, hultaju mały! modliłeś się w kąciku w Klimontowie po śmierci matki i zawsze po modlitwie byłeś spokojny i weselszy. Myślałeś o Bogu kiedy uciekłeś z miasta i Bóg ci zesłał nauczyciela i natchnął go myślą, że uprosił hrabinę i ta cię zabrała z sobą. Modliłeś się potem w lesie po ucieczce z Zagraja i Bóg wlał rozum do twojej głowy żeś poznał błędy i przyrzekłeś poprawę przed samym sobą. Przyszedłszy do Warszawy kiedyś zbłąkany nie wiedział, co masz robić z sobą, znowuś przypomniał sobie miłosierdzie Boga i jego serdeczną opiekę nad ludźmi i w modlitwie szukałeś pomocy i opieki Boga ukrzyżowanego i Bóg znowu cię wysłuchał i zesłał mnie w tamtę stronę, chociaż zupełnie w inną udać się miałem, abym cię ogrzał, przytulił i po-

myślał o twojej przyszłości. Tak więc, widzisz moje dziecko, że modlitwa szczera zawsze przez Boga łaskawie zostaje przyjętą, módl się więc rano i wieczór, dziękuj Bogu wszechmogącemu za zdrowie i opiekę nad sobą, a Bóg cię nigdy nie opuści i zawsze będziesz szczęśliwy. Ja westchnąłem tylko szczerze, bo na sobie najlepsze miałem przekonanie, jak Bóg jest dobry i miłosierny i jak człowiek powinien bać się i kochać Boga i pocałowawszy w rękę pana Janinę, chciałem czmychnąć na posłanie, ale ten mnie przytrzymał i mówił dalej:

— Czekaj, moje dziecko, jeszcze nie koniec, bo tu słyszałeś wszystko dobre, jakiem cię Bóg obdarzył gdy go szczerze o opiekę i miłosierdzie prosiłeś: teraz ci opowiem wszystko złe jakie cię spotykało, ilekroć zapomniałeś o Bogu; bo widzisz: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Usłyszawszy tak znajome sobie słowa w ostatniej rozmowie po kilka razy przez nauczyciela powtarzane, spojrzałem na pana Janinę, sądząc, że jego słyszę mówiącego i chociaż powierzchownością najzupełniej różnili się, bo nowy mój opiekun był i wyższy i barczystszy i trzymał się prościutko, gładząc często ogromne siwe wąsy lub muskając się po łysej głowie, jednak zdawało się zachodzić między nimi jakieś podobieństwo. Dla tego z największem ukontentowaniem spojrzałem w twarz pana Janiny,

przypominającą mi zacną postać nauczyciela i z pilnością słuchałem dalszej jego mowy.

— Tak moje dziecko, mówił dalej pan Janina, widząc że go z uwagą słucham, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, i widzisz: za życia matki wszyscy cię nie lubili i nazywali szubienicznikiem, prawda?

— Prawda, proszę pana.

— A powiedz mi, modliłeś się też wtedy, prosiłeś Boga o opiekę nad sobą. Chociaż matka przypilnowała cię i naganiała do pacierza, to tylko usta go mamrotały, a po myśli latały psie figle, zbereżeństwa, prawda? Ja nic na to nie odpowiedziałem tylko ze wstydem spuściłem oczy; bo istotnie tak było i pacierz zwykle z musu tylko odmawiałem, a nie z serca, nie z uczucia prawdziwej wdzięczności. Po chwili więc mówił dalej pan Janina:

— Później, kiedyś wyszedł za miasto i chciałeś z głodu umrzeć, kiedy u hrabiny pasłeś się jak wieprzak w karmniku, kiedy potem zostałeś na powrót szubienicznikiem, tak że aż musiałeś uciekać, kiedy, siedząc w lesie chciałeś znowu z głodu umrzeć, żeby tem zemścić się na Janie, to wtenczas ani o Bogu, ani o modlitwie nie pamiętałeś i Bóg cię odstąpił, zostałeś sam, zły, ponury, gniewający się na siebie, na ludzi, nie mówiący nigdy prawdy dla ukrycia swoich zbereżeństw i niegodziwości. A chociaż ci to wszystko długo uchodziło, to widzisz dla tego, moje

dziecko, że Bóg cierpliwy i czeka, że może się też poprawi człowiek.

Ale jak zobaczył, że co raz więcej łgniesz w złem, że zupełnie zapomniałeś o Bogu, tak się rozgniewał i doprowadził cię do takiej nędzy i nieszczęścia, że aż głodem chciałeś sobie odebrać życie, ten dar nieba, który jako od Boga dany, tylko do Boga należy.

Później, kiedyś się znowu nawrócił do Boga i odwołałeś się do jego miłosierdzia, Bóg zaraz okazał Swoją wszechmocność i potęgę: bo cię natchnął pokorą i postanowieniem mówienia prawdy a brzydzenia się kłamstwem, jako złem i grzechem największym.

I powiedziawszy całą prawdę o sobie, naprzód ukochał cię nauczyciel, któremu tyle nadokuczałeś się, potem pokochała cię hrabina, chociaż dowiedziała się, że jesteś szubienicznikiem, pokochał cię także kolonista, nakarmił i zaopatrzył na drogę, i w końcu pokochałem ja, bo poznałem, że musisz być poczciwe dziecko, kiedy się brzydzisz kłamstwem.

Zawsze więc mów prawdę, módl się i pamiętaj o Bogu, a jak nas kilku cię ukochało, tak cię ukocha Bóg i wszyscy ludzie, przy których miłości i opiece Boga, nigdy ci źle nie będzie na świecie.

Potem ucałowawszy mnie w głowę, kazał iść na spoczynek.

Tak byłem rozrzewniony wszystkiem tem, co słyszałem, tak czułem, zastanawiając się nad mojem przyszłem życiem, że w każdem słowie pana Janiny była prawda najrzetelniejsza: że długo potem nie mogłem usnąć; bo poznałem, ile złego było we mnie. jak często zapominałem o Bogu, jak zawsze prawie kłamałem i jak sam byłem winien, że nieraz biedy i zmartwienia doznałem.

Na drugi dzień, jak się przebudziłem, już pan Janina siedział przy stoliku i coś pisał, a lokaj w przedpokoju czyścił suknie. Ja zerwałem się z łóżka, potem się umyłem, uczesałem i zmówiwszy pacierz, pocałowałem w rękę pana Janinę i jak trusia usiadłem sobie w kąciku. Pan Janina spojrzał tylko na mnie i ucałowawszy w głowę, nie rzekł ani słowa, zajmując się pisaniem.

I długo tak siedziałem w milczeniu, a chociaż żołądek wołał o śniadanie, ale nie śmiałem prosić o nie, pomimo że na stole widziałem chleb i masło. Już mi się zaczęło smutno robić, bo to już było po dziewiątej, kiedy pan Janina, obracając się ku mnie rzekł:

— Cieszę się z tego, moje dziecko, żeś niezapomniał słów moich wczorajszych i zaraz po przebudzeniu oddałeś Bogu to, co się Bogu należało. Cieszę się także z tego, żeś się umył, uczesał i oczyścił suknie; bo jak cię widzą, tak cię piszą, czyli, że

każdy powie, widząc cię czysto i porządnie ubranego chociaż biedno i skromnie, że to musi być porządny jakiś chłopaczek, kiedy tak dbały jest o swoje ciało i suknie, a każdy powie, widząc jakiego chłopca obdartego, brudnego z rozczuchraną i pełną pierzy głową, że to jakiś łotr i szubienicznik, jak to było kiedyś z tobą, kiedy w łachmanach po Klimontowie biegałeś.

Bądź więc zawsze dbały o czystość i porządek, bo nikt nie widzi jakim jesteś w sercu i w duszy, i choćbyś był najlepszym, to odwróci od ciebie głowę, skoro odrażającą będziesz miał powierzchowność. Otoż z tego wszystkiego cieszę się, ale gniewam się o co innego.

I w tem miejscu, zatrzymawszy się chwilkę, gdy niewiedząc, dla czego zarumieniony oczy spuściłem, zapytał mnie pokręcając wąsa.

— Cóż, Mateuszku, chce ci się jeść?

— Chcę, proszę pana, odrzekłem nieśmiało.

— A cóżeś zrobił dzisiaj? czem zapracowałeś na śniadanie?

Mnie aż strach wziął na te słowa, bo siedziałem cały ranek z założonemi rękoma, jeszcze się więc bardziej zarumieniłem i wybąkałem coś nie zrozumiale, a pan Janina mówił dalej.

— Oj, chłopcze, pieczone gołąbki nie idą same

do gąbki, a kiedy człowiek chce jeść, to musi pracować, bo tylko praca chleb daje...

— Ja wiem proszę pana, odrzekłem, jąkając się: ale mi pan nie wyznaczył żadnej roboty.

— To nie mogłeś mnie o nią poprosić? Praca, moje dziecko, kto nie umie jeszcze jak ty pracować, to sama nie przyjdzie do człowieka, tylko trzeba jej szukać, starać się i prosić o nią, a jak się nauczysz pracować to wtenczas ludzie będą cię prosić, żebyś pracował dla nich i zapłacą ci za nią sowicie. A nie nauczysz się, moje dziecko, pracować, jeżeli od młodego wieku nie weźmiesz się z chęcią do pracy; bo później będzie już zapóźno: a kto za młodu próżnuje na starość często płakuje.

Pamiętaj także, że czekać z gębą i brzuchem aż w nią cudza a nie własna ręka włoży posiłek, to jest wstydem, hańbą i poniżeniem. Bo widzisz, wół u pługa, koń w wozie pracuje, a za to im człowiek daję karmę, nawet ptaszki muszą się dobrze napracować, latając po świecie za robaczkami lub szukając po ziemi: bo im sam posiłek nie przychodzi do dzióbka, a jeden tylko człowiek miałżeby żyć cudzą pracą i sam leżyć do góry brzuchem? nadto moje dziecko, praca daje człowiekowi zdrowie, wesołość i wewnętrzne zadowolenie, przy niej wszystko człowiekowi miłe, wszystko smakuje i ze wszystkiego się cieszy. Najlepiej się o tem przekonałeś u kolonisty,

gdyś mu pomógł grabić siano, to potem wesoło, swobodnie zasiadłeś do miski, śmiałeś się, weseliłeś, chociaż ciężkie miałeś zmartwienie i potem tak smacznie spałeś. Pamiętaj więc zawsze miłować pracę; bo próżniactwo.... jakże miło ci było dziś rano, kiedy siedziałeś pod piecem nic nie robiąc?

— Oj! proszę pana strasznie mi się nudziło.

— A widzisz! próżniactwo daje nudy, których nigdy nie zna pracowity człowiek, a nudy sprowadzają złe myśli do głowy, różne zbereżeństwa i potem tak się z każdym dzieje, jak się zrobiło z tobą, kiedy u hrabiny nic nie chciałeś robić, tylko wałęsałeś się od kąta do kąta, żeś z nudów myślał tylko o psich figlach, a potem cię wszyscy znienawidzili, że aż musiałeś jak łotr ostatni uciekać w świat między ludzi.

Pamiętaj więc kochać pracę, zawsze pracować, a wtedy każdy ci z chęcią przyjdzie z pomocą: bo Bóg sam w nauce ewangielicznej powiedział: „pracuj, człowieku! a ja ci dopomogę“. Przy takiej Boskiej obietnicy, wypełniając ten rozkaz, człowiek się może nie bać niczego; bo czyż Bóg tak dobry, tak mądry, tak sprawiedliwy, zwodziłby swoje stworzenie? A przy pomocy Boskiej może się człowiek czego lękać?

Jak urośniesz, moje dziecko. to się sam przekonasz, że ludzie pracowici, zawsze są szczęśliwi, szanowani i kochani przez wszystkich, a próżniacy

zawsze wychodzą na łotrów, niegodziwców i nieszczęśliwych z własnej winy.

Módl się więc i pracuj i mów zawsze prawdę, a wyjdziesz na człowieka szanowanego i szczęśliwego. Zapomniawszy więc o Bogu, próżnując i kłamiąc, to pamiętaj że jak cię nazywano szubienicznikiem, tak skończysz na szubienicy, pamiętaj! A teraz, moje dziecko, zjedz śniadanie, a później się weźmiesz do obtarcia kurzu z tych tu różnych rupieci. tylko wolno, ostrożnie żebyś mi ich nie potłukł.

Potem obetrzesz mi z kurzu ot te książki w tych dwóch szafach, do obiadu przyniesiesz wody, podłogę wytrzesz suknem, poobcierasz szyby z wilgoci, popodlewasz kwiatki. No, marsz chłopcze! a wszystko żwawo, gracko, z ochotą; bo leniuchem i niezdarą brzydzę się jak dyabłem.

Od tego czasu rozgospodarowałem się u pana Janiny, jak w swoim własnym domu i chociaż nie wiem dla czego bałem go się tak jak niegdyś nauczyciela; ale przy tem kochałem i szanowałem jak moją matkę poczciwą i byłem ze wszystkiem do niego śmiały. Wszystko co kazał wypełniałem z największą ochotą, szybko i dokładnie; jednej nawet chwilki nie zbałamuciłem na próżno i jeżeli nie robiłem co, to pisałem, albo czytałem i taki byłem jakiś wesół i swobodny, że zupełnie zapomniałem o wszystkich swoich biedach i tarapatach.

Nowy ten stan bardzo mi przypadł do smaku; bo nic mi nie brakowało i już sobie w myśli postanowiłem, że na zawsze zostanę u pana Janiny, potem wyjdę na lokaja; bo ten co był u niego, był już bardzo stary i z ogromnemi także jak miotły wąsami i że nie pójdę wcale do terminu.

Stosownie do tej myśli zacząłem i postępować, a widząc, jak lokaj usługiwał, naśladowałem wszystkie jego maniery, jak więc przyszedł pan Janina i zadzwonił, to ja szparko drzwi otworzyłem, laskę i kapelusz odebrałem z jego ręki i potem wyprostowany nie daleko drzwi czakałem na pytanie, odpowiadając zawsze żwawo i co słowo mówiąc: „proszę łaski pana.“

Kiedy pierwszy raz wystąpiłem jako lokaj przed panem Janiną, spojrzał tylko na mnie jakby z zadziwieniem, potem uśmiechnął się, ale nie rzekł ani słowa. Ja myśląc, że mu się podoba podwoiłem moje usiłowania, obcierając talerze przy obiedzie, nosiłem za lokajem ogórki, sos lub co innego, zważałem na najmniejsze skinienie pana Janiny: dosyć, że doskonale mi się służba powodziła, a najlepiej zjadanie resztek. Chociaż swego obiadu nigdy nie mogłem spożyć, ale że widziałem lokaja starego, że to robił, sądząc więc, że to jest koniecznem w służbie lokajskiej, bo i u hrabiny lokaje to samo robili, więc chcąc udawać już zupełnego lokaja, wylizywałem ta-

lerze, jakbym zawsze był głodny. I tak zbiegło coś ze dwa tygodnie, a pan Janina widząc, że wszędzie w pokojach jest czysto, porządnie i każda rzecz zrobiona jak kazał, poglądał tylko po mnie, czasem coś mruknął i raz w głos rozśmiał się jak zobaczył, że ja naśladując jednego lokaja, co przysłany był do nas z listem, zaczesałem sobie włosy na skroniach w tył za ucho, a na środku nad czołem postawiłem ogromnego czuba.

Tego samego dnia, jako już skończony lokaj, jeszcze żwawszy byłem w wypełnianiu obowiązków z głową do góry podniesioną i z kołnierzykami przy samych ustach, szastałem się po pokojach, odmieniałem talerze i raz z jednem wszedłszy do przedpokoju, dalej go obrabiać po swojemu.

Na nieszczęście drzwi się odemknęły właśnie wtenczas, kiedy ja językiem wywijałem po nim na wszystkie strony. Pan naturalnie zobaczył, bo siedział w prost drzwi przedpokojowych; cichutko więc zaszedł mi z tyłu i zobaczywszy, że ślicznie wypucowany talerz stawiam na stole zapytał:

— No cóż, Mateuszku, smaczne?

Ja się tak zmieszałem, że o mało talerza nie wypuściłem z ręki, zarumieniwszy się więc z uszami spuściłem oczy i nic nie odrzekłem, a pan mówił dalej:

— Fe! brzydko być takim łakomcem, kto łakomy

to i obżarty i więcej myśli o swojem kałdunie niż o duszy czyli o tem, żeby był poczciwy, pracowity, kochający Boga i kochający ludzi. Masz przecie i tak co jeść, a Bóg nie stworzył cię jedynie na to, żebyś jadł i spał: ale żebyś się uczył modlitwy, pracy, bojaźni Bożej i zyskania życzliwości ludzkiej. Powiedzże mi, czy podoba ci się lokajska służba?

— A podoba się, proszę łaski pana, odrzekłem nie śmiało, i ja bym u pana rad lokajem zostać na zawsze.

— A cóż się zrobi z terminem? zapytał groźnie pan Janina i widząc, że nie odpowiadam, stuknął nogą i mówił dalej: zaraz mi gadaj, co się zrobi z terminem?

— A nic, proszę pana, z największym przestrachem odrzekłem. Ale zaledwie ostatnie wymówiłem słowo, pan Janina jak się nie zerwie, jak nie zacznie kręcąc wąsa, latać w około pokoju i wykrzykiwać:

— Próżniaki! wszystko próżniaki, taki to świat, i zatrzymując się przede mną, drżącym i przestraszonym, mówił dalej: słuchaj mały szubienicniku! chcesz być lokajem, bo podoba ci się zlizywanie talerzy czyli łakomstwo i próżniactwo, a czy ty wiesz, że kto łakomy i próżniak, to zawsze wychodzi na ostatniego ladaco.

Próżniactwo bowiem i łakomstwo, to zaród wszystkich zbrodni i każdy, co zgnił w kryminale,

albo co skończył na szubienicy, to niezawodnie za młodu był łakomym i próżniakiem.

Lokajska służba, mój chłopcze, to dobra tylko dla takich, co się za młodu zaniedbawszy, nie mają później żadnego talentu w ręku. Mają więc żebrać, to lepiej że obsługują innych, choć tym sposobem na kawałek chleba pracują.

Ale młody człowiek, pełen zdrowia i siły, powinien zawczasu myśleć o zabezpieczeniu sobie losu na starość, a przysposobieniem się na lokaja tego nie zrobisz, bo chleb twój, zależeć będzie od łaski pana a nie od ciebie i od twojej pracy.

Każdy zaś człowiek powinien głównie o to się starać, aby stał się potrzebnym dla ludzi, czyli, żeby umiał pracować pożytecznie, bo wtedy nie on ludzi, ale ludzie jego szukać będą.

Taką pracą pożyteczną jest właśnie każde rzemiosło, bo daje talent w rękę, którego ani ogień nie zniszczy, ani woda nie zabierze, ani złodziej nie ukradnie i aby tylko rzemieślnik był pracowity, poczciwy, to cały świat stoi dla niego otworem i wszędzie, gdzie się tylko obróci, to mu zawsze będzie dobrze, bo taki właśnie umie pracować pożytecznie dla ludzi: więc praca jego, wszędzie będzie pożądaną.

Rzemieślnik, moje dziecko! to dopiero prawdziwy pan, bo posiada sposób do życia, który zawsze przy nim pozostanie; gdy pan, choćby milionowy, może

stracić niepowodzeniem całe mienie i wyjść na żebraka. Rzemieślnik zaś aby tylko pracował, nigdy nie zazna co bieda i w najgorszym razie przynajmniej wyżyć potrafi.

Ale, moje dziecko, kiedy ci się lokajska służba podoba, możesz zostać przy mnie; ale pamiętaj: że to chleb niepewny. Jakże więc zostaniesz lokajem?

— O wolę być rzemieślnikiem, odrzekłem, składając ręce, ja chcę być poczciwym rzemieślnikiem, i proszę pana jeszcze dziś oddać mnie do terminu.

— Dobrze, mój chłopcze, odrzekł pan Janina, pokręcając wąsa, ale pamiętaj, że każdy termin, to jest rzecz trudna, od której jednak zależy cała przyszłość człowieka: bo jak sobie kto pościele, tak się wyspi. Pamiętaj więc w terminie najprzód być posłusznym majstrowi, dbać o jego dobro, jak o swoje własne, kochać go jak ojca, być przytem porządnym, pilnym i skromnym, a staniesz się dobrym czeladnikiem, a potem dobrym pomału majstrem.

Nim jednak obierzesz sobie jakie rzemiosło, pamiętaj dobrze się namyślić i temu dać wybór, które ci się najlepiej podoba, to jest: do którego masz najwięcej pociągu.

Pamiętaj także: że każde rzemiosło, czy takie czy owakie, jest piękne i szlachetne: bo każde robi człowieka pracowitym i pracą zarobkującym, a praca, jako od Boga pochodząca, aby tylko poczciwa, jest

każda bez wyjątku dobrą i szlachetną. Powiedz że mi więc: do jakiego chcesz, żebym cię oddał terminu?

Ja wtenczas najlepiej znałem szewstwo i kowalstwo i pamiętałem doskonale szewca Sebestyana, jak z bractwem spiewywał różaniec w kościele i potem w butach po kolana, w surducie przepasanym pasem i w wysokiej granatowej czapce przechadzał się z powagą po rynku.

U kowala zaś widziałem, jak bili ciężkiemi młotami i chociaż podobało mi się jego palenie fajki przed kuźnią, ale sądząc że jestem za młody do młota po małym namyśle rzekłem: że chcę być szewcem.

— Dobrze, moje dziecko! odrzekł pan Janina, podoba mi się to rzemiosło: bo ludzie obejść się mogą bez wielu innych rzeczy, ale nigdy bez butów; pracy ci więc nie zabraknie. Podoba mi się i to w szewctwie, że mają dobre pociągle, bo sądząc po dawnych twoich figlach, nie raz smarowania niemi będziesz potrzebował.

Wreszcie podoba mi się także i to, żeś nie od razu odpowiedział: tylko żeś się wprzódy namyślił, bo człowiek choćby chciał kiedy zrobić jakie głupstwo, to jak pomyśli, pewno go nie popełni. Pamiętaj zawsze być takim i wprzód myśleć a potem dopiero robić.

A teraz w Imię Boże ruszaj w świat między ludzi szukać dla siebie chleba, a tylko być takim,

jak cię uczył nauczyciel i ja i zawsze pamiętać, że Bóg patrzy na nasze sprawy, to z czasem, wyjdziesz na porządnago człowieka.

Tym sposobem dostałem się w termin, do jednego z majstrów Warszawskich i zaraz na drugi dzień, pożegnawszy z prawdziwem rozczuleniem poczciwego pana Janinę, przeniosłem się na nowe moje mieszkanie.

Polska szlachetność.

Szkic z naszej przeszłości.

Dzień był pogodny, a nawet skwarny, zwyczajnie jak w Lipcu, tym na naszej ziemi tak ważnym miesiącu, bo w nim to pszczoły nasze zbierają najwięcej skarbów słodkich, z których się wyrabiają doskonałe nasze miody i lipce tak zwane, od kwiatu lipowego dostarczającego w tym miesiącu właśnie najdoskonalszy dla pszczół naszych pożytek.

Dwóch jezdców jechało po ogromnej płaszczyźnie, na której prócz nich żadnej żywej nie widać było duszy. A gdzie okiem zajrzyć, same widać piaski i na drodze i na równinie. Gdyby nie rzadkie kępki zielone i rozrzucone tu i owdzie po żółtej piaskowej przestrzeni lasy i gaje o smutnej zieloności, możnaby sądzić, że to jedna z tych puszcz wielkich, którędy jak po morzu przechodzą bez śladu liczne Arabów karawany. Ale to nie puszcza. Rzecz bowiem naszego

obrazku dzieje się na Mazowszu naszem w okolicy Czerska. A to nasze Mazowsze piaszczyste jak wiadomo; i przecież ludzi poczciwi mieszkają na niem i choć mało tam ziemi urodzajnej, i nieraz chłopek tyle tylko zbierze, że o głodzie do końca roku ledwie dożyć może, kocha przecie swój kraj rodzinny więcej może, niżeli wieśniak na bogatej czarnej ziemi mieszkający. Mazur nie porzuciłby za nic swoich ojczystych piachów, jak zwykł piaski nazywać. Zdaje się że człowiek przywiązuje się do ziemi więcej, w miarę jak go ta ziemia więcej kosztuje trudów i znoju. Widzimy to po góralach, którzy pojąć nie mogą, jak żyć można na płaszczyźnie, mimo tych niw urodzajnych, z falującemi się po nich jak po morzu kłosami; oni za swemi dzikiemi górami i twardemi skałami tęsknią, nikną i przedwczesną umierają śmiercią.

Po takiej to piaszczystej drodze jechali nasi jezdcy; i gdyby za ich czasów był już żył Krasicki biskup warmiński, byliby z uśmiechem przypominali sobie ów spis jego podróży, w którym opisując jeżeli się nie mylimy okolice Ryczywołu i Kozieniec, powiada żartobliwie: Za laskiem piasek, za piaskiem lasek, a za laskiem znowu piasek.

Lecz naszym jezdcom ani się śniło o wielkim poecie naszym; sceny bowiem obrazku naszego odbywają się na samym początku wieku ośmnastego,

i na początku panowania Augusta II., który nam zaczął smutnej pamięci saskie czasy zaczęte od wojen i pożogi, a skończone długiem letargiem, co naszych praojców hartowną energię, w miękkie rozkołysał niedbalstwo.

Nasi tedy jezdcy, jak mówiliśmy, jechali po samotnej drodze i samotnej równinie. Zbliżało się już do południa, cisza więc była w naturze, bo nawet ptaszki pouciekali w gęstwiny przed skwarem słońca i robotnicy poschodzili z pól, by odpocząć po pracy w cieniu drzewa i pokrzepić siły snem i południowem jadłem. I między jadącemi panowało milczenie zupełne; kopyta nawet końskie w miękkiem odezwać się nie mogły piasku; jezdcy zdawali się być znużeni czy zamyśleni; czasem tylko ozwał się brzęk szabelki, gdy naglejszem konia ruchem podniesiona uderzyła o ostrogę.

Korzystając z tej chwili milczenia, opiszemy jezdców powierzchowność, tem dla nas ważniejszą, że z góry zaraz powiadamy, jako to są głównie obrazku naszego bohaterowie.

Obaj byli w kwiecie wieku jeszcze i obaj dorodni w całem tego słowa znaczeniu, ale mimo to wielka w obu powierzchowności, wyrazach twarzy i rodzaju piękności panowała sprzeczność. Jeden ten po lewicy był blondyn, a ten po prawicy brunet. Blondyn starszy nieco, bo mógł już mieć lat trzy-

dzieści, choć miernego wzrostu, ale dobrze zbudowany, pełen zdawał się być siły, co świadczyła postawa jego barczysta, silne ramiona, piersi szerokie i wypukłe, a ręce żylaste, zdolne nawet najcięższym machnąć orężem, gdyby lekkiem piórkiem. Na szyi jak zwykle u ludzi podobnej postawy grubej i krótkiej, spoczywała głowa potężna swoją wielkością, znaczącą twarzą szeroką i wyrazistą. Mimo jasnych włosów i oczów tak niebiesko-błękitnych, żeby ich najpiękniejsza dziewica pozazdrościć mogła, twarz młodzieńca odznaczała się szczególną męzkością i siłą. Spojrzawszy na tę twarz o zdrowych i rumianych policzkach z silnym i pewnym wyrazem który od wzniosłego czoła zacząwszy aż do ust nieco wydętych ogromnemi wąsami okrytych, zaokrąglał się profilem prawdziwie sarmackim, jaki już tylko na starych portretach zdybać można, poznałbyś od razu że tam w środku ożywia młodzieńca, dusza prawdziwie stalowa, hartowna, co to jasno widzi rzeczy, i bez tych wątpliwości, które wiek późniejszy i zamorska wyrobiła edukacya, wie doskonale, że między niebem, gdzie jest Bóg, a ziemią gdzie jego ojczyzna, jest jego oręż szlachecki gotów zawsze do obrony najdroższych sobie Bogu i ojczyzny. A gdy uśmiechnął, to zda się wybiegało mu z ust poczciwe serce; a gdy łysnął okiem błękitnem, to przezierał przez nie ten nasz zdrowy szlachecki rozsądek, który po dziś dzień, je-

żeli się gdzie trafi jeszcze, nie zawstydzi się przed najmądrzejszemi, co to panie, pożal się Boże, przeładowali się aż do niestrawności księgami wszystkich wieków i wszystkich języków.

Drugi jeździec młodszy nieco, bo miarkując po ledwie zarastającej brodzie ciemnej i wąsikach miękkich jak najmiększy jedwab, ledwie miał lat dwadzieścia pięć, wydawał się poniekąd wyrazem twarzy swojej, starszym od jasno-włosego towarzysza. Wyższy o głowę prawie, kibić miał tak wysmukłą i giętką, jak ją można czasem dostrzedz u młodych niewiast, ale mimo to w całej postawie, w ruchach młodzieńczych znać było siłę i energię niepospolitą prawdziwie męzką, która odzywała się w każdem pomknięciu nogi lub ręki, gdy nią niecierpliwie konia uderzył, lub za cugle pociągnął. Jeżeli na twarzy blondyna widać siłę i spokój, na twarzy towarzysza najdobitniej wystaje zapał i niespokój, najczęściej idące w parze. Twarz jego była ściągła i śniada nawet nieco; rysy wszystkie odrysowane regularnie odznaczały się szczególną, niezwykłą zachwycającą prawie pięknością. Jeżeli blondyna twarz była typem piękności sławiańskiej, o twarzy bruneta możnaby powiedzieć, że była typem piękności w ogólnem tego słowa znaczeniu, piękności idealnej prawie. W wyrazie tej twarzy o czole, nosie i całym profilu greckim prawie, było coś południowego, co mu głównie strze-

lało z oczów ciemnych ciągłemi prawie iskrami błyskawic sypiących zda się na wszystkie boki. Zdawało się, że czegoś szuka bez ustanku. Był to ów niepokój dusz namiętnych, których zapał, jeżeli zabraknie ważnych i dostatecznych powodów, rozciąga się na około chwytając się najmniej ważnych i najdrobniejszych przedmiotów. W naszym wieku taki zapał bezcelny, nie jest rzeczą rzadką, jest on nawet skutkiem dzisiejszego życia, dzisiejszych wymagań i dzisiejszego wychowania. Ale w owych czasach był on rzadkością, dowodzącą zda się w ciemnowłosym młodzieńcu, którego opisujemy, usposobienie poetyczne, które dobywa się gwałtem na wierzch, póki nie zgaśnie przyduszone rzeczywistością w nieświadomej własnego ognia duszy. Że podobne usposobienie miał nasz młodzieniec, dowodził ten cały wyraz twarzy zmieniającej się co chwila. Czasem uśmiech dobroduszny, wesoły, dziecinny prawie rozweselał mu twarz, gdy nagłe wyraz ten zaostrzał się zadumaniem, posępniał niecierpliwością w każdej żyle zda się drgającą. Podobnych usposobień przyszłości nikt nie odgadnie, bo niemi obdarzeni ludzie, są jak owi ludzie nawiedzeni duchem, który czy jest złym czy dobrym, szatanem czy aniołem, zależy od pierwszych silniejszych życia zdarzeń, lub wrażeń jednej stanowczej chwili. Przyszłość jasnowłosego młodzieńca, cała mu w twarzy wypisana, pewna, niezmienna, po równym

tocząca się gościńcu. Przyszłość czarnobrewego niepewna jak skutek burzy, jak kapryśny rysunek morskich fal wiatrem poruszonych.

Ta sama sprzeczność co w postawie i twarzy objawiała się nawet w ubraniu obu młodzieńców. Ubior ich obu był wytworniejszy od sukni w podróży używanych; snać podróż ich niedaleka. Ubrani byli stosownie do onego czasu w krótsze od późniejszych saskich półkontusze, a półczamary i takież żupaniki, bo jeszcze długoletni spokój i gnuśność rospasanego na wsze rozkosze i wygódki życia nie przedłużyło szat polskich jak je noszono aż do naszych czasów. W krótszych ubiorach, jakie noszono w czasie spokoju, w domu czy w gościnie, choć nie było zbroi, tarczy ni hełmu, było coś jeszcze rycerskiego, co przy długich i fałdzistych kontuszach, późniejszych plączących się pomiędzy nogi, znikło zupełnie. Ubiory więc naszych bohaterów były krótkie. ale większa onych staranność zdawała się nietylko dowodzić jak mówiliśmy, że podróż ich była niedaleka, ale że nawet gdzieś w gościnę jechali. Ubiór starszego wytworny drogiemi materyami nie odznaczał się żywością barw: granatowa czamara aksamitna o jedwabnym szemerowaniu pokrywała biały tu i owdzie srebrem przerabiany żupanik spięty zwykłem pasem wyciskanym ze skóry, z klamrą srebrną na której wyrzezany był herb rodowy; przy szyi

była szpinka z jednego wielkiego turkusa, który w doskonałej był harmonii z błękitnemi młodzieńca oczami; przy boku wisiała lekka karabela w jaszczur gdyby w perłową macicę oprawna; a na głowie była czapeczka rogata biała z ciemnym barankiem i niewielką kitką w podobnąż co na szpince turkusy oprawna.

Ciemnowłosy młodzieniec miał żupan paliowy, złotemi gwiazdami tak mocno świecący, że zdawał się być lamowym prawie; żupan ten spięty był pasem złotem przeszywanym o klamrze złotej, której herb wysadzany był rozmaitej barwy drogiemi kamieniami; takaż była szpinka świecąca tęczy, i takiż był guz przy ogromnej kicie białej, osadzonej przy jasno-seledynowej czapce sobolem obszytej. Kontusz był także jasno-seledynowy z ogromnemi guzami wiszącemi, a wiszącemi jakby gwiazdy jakie: karabela cała złotemi blaszkami i drogiemi kamieniami nasadzona. Nawet i w koniach i w prowadzeniu onych ta sama odbijała się różnica. Bułanek starszego młodzieńca, pięknej polskiej rasy, spokojną pana ręką wiedziony, szedł spokojnie równym czy krokiem czy biegiem; gdy tymczasem karosz młodszego z ogonem do góry, co chwila zżymał się, parskał, susy dawał, szczupakiem sadził w powietrze. W całej postawie młodzieńców i koni, była uosobiona ta sprzeczność jaką nieraz zdybać można w ludziach młodziutkich równego

prawie wieku i podobnego wychowania, gdy się po raz pierwszy z domowego ustronia puszczają na szeroki życia ludzkiego gościniec.

Jeżeli o tej sprzeczności szerzej rozpisaliśmy się, raczą przebaczyć czytelnicy nasi, bo ta sprzeczność w charakterze naszych bohaterów, jest główną podstawą zdarzeń, które opisać mamy.

Nie wdając się w dalsze opisy, powiem tedy że młodzieniec z jasnymi włosami nazywał się Piotr Wroński, który o milę może od miejsca, w którem zaczyna się nasz obrazek, miał dwie pięknych i dobrze zagospodarowanych wiosek, odziedziczonych po dawno już zmarłym ojcu i w których sam jeden mieszkał, a sławnym był na całą okolicę gospodarzem.

Młodzieniec z ciemnemi włosami zwał się Jan Manuszewski i był bliskim pana Piotra sąsiadem. Zamożniejszy od niego daleko, bo oprócz trzech wiosek, któremi sąsiadował z panem Piotrem, miał w Krakowskiem województwie ogromną wieś nad samą Wisłą. Niedawno dopiero po długiej niebytności zjechał do tej majętności, którą posiadał na Mazurach i odnowił dawne stosunki przyjaźne z Wrońskim, zawiązane jeszcze w dzieciństwie. Równie jak i pan Piotr był on już dawno sierotą, jedynakiem po zmarłych rodzicach i zupełnie panem swej woli.

Mówiliśmy tedy, że droga była piaszczysta, upał wielki i obaj długi czas w zupełnem jechali milczeniu.

Pan Piotr naprawdę zdawał się być zamyślony a pan Jan zniecierpliwiony powolną podróżą obzierał się na około, jakby czego szukał po tej okolicy dobrze sobie znajomej, ale dawno niewidzianej.

— Ależ to nudna okolica! ozwał się wreszcie, raczej do siebie samego, niżeli do zamyślonego towarzysza.

— Nudna? odrzekł pan Piotr z wyrazem zdziwienia. Nasze poczciwe piaski rodzinne! dodał rzucając serdeczne spojrzenie na mały gaik brzozowy, do którego wjeżdżali i który wyglądał prawdziwą kępą zieloną na piaszczystem morzu.

I rozmowa się urwała. Znudziło wreście pana Jana to milczenie.

— I ty się kochasz? zapytał nagle, patrząc ciekawie na towarzysza.

— Kocham znowu! odpowiedział pan Piotr najnaiwniej zadziwiony. Zkądże to znowu przyszło ci na myśl...

— Przecież jedziemy mój Piotrze do tej... mówił Magnuszewski z swawolnym uśmiechem.

— Z którą myślę się żenić, poznawszy zacność jej domu, zalety ojca i... przerwał Wroński.

— Samej panny!...

— Zapewne!...

— Ładnej, jak mi sam mówiłeś.

— A już to ładna!.... oczy powiadam ci takie szafirowe...

— Jak fiołki!... a widzisz że ją kochasz! I czyliż można myśleć o ożenieniu bez miłości.

— Idzie tu głównie, odrzekł poważnie pan Piotr o zgodności charakterów, boć człowiek nie kochanki szuka, ale dozgonnej przyjaciółki, wspólniczki doczesnego życia, matki przyszłych dzieci, dziedziców szlacheckiego klejnotu i majątku...

Magnuszewski na tę poważną przemowę parsknął od śmiechu.

— Czegóż się śmiejesz?

— Bo sam przed sobą chcesz zataić, że kochasz tę pannę Hannę, o której tyle mi nagadałeś, że aż mnie ciekawość wzięła poznać ją. I czujesz że będziesz z nią szczęśliwy?...

— A zapewne... spodziewam się.. ona taka dobra.

— Bo ją kochasz!

Pan Piotr zarumienił się z lekka, bo słowa przyjaciela nowe mu zupełnie do głowy napędzały myśli.

— Od tygodnia jak przyjechałem, ciągle mi o niej mówisz.

— Bo naturalnie myślę o niej.

— A widzisz że ją kochasz!... I tęsknisz, gdy długo nie widzisz...

— Co tęsknię?...

— Oczywiście, bo kochsz...

Pan Piotr zarumienił się co raz więcej.

— Czemuż się już raz nie oświadczysz?

— Ja przecie nie mogę tak od razu; ledwie ośm czy dziewięć miesięcy bywam w domu... i przyznam ci mój Jasiu, że jakoś boję się, nieśmiem...

— Boś zakochany po uszy.

— Doprawdy? — zapytał Wroński z taką rzetelną naiwnością, że pan Jan aż się przegiął na koniu od szczerego śmiechu.

Pan Piotr zamyślił się chwilkę i po raz pierwszy wyznał sam przed sobą, że na prawdę zakochany w pannie Hannie. Dotąd mu ani to na myśl nie przyszło. Oczywiście pan Piotr był dzieckiem swojego wieku i jego wyobrażeń: gdzie tam kiedy takiemu poczciwemu szlachcicowi śniło się o jakiejś miłości. Żenił się, bo mu się panna podobała i z rodu i z majątku i z koligacyi, ba czasem i z urody, bo chciał mieć żonę, gospodynię i matkę.

— Co ty wiesz o miłości? spytał po chwili pan Piotr z niedowierzającym wyrazem, chcąc mimowolnie czegoś więcej dowiedzieć się i przekonać o prawdzie tych po raz pierwszy w głowie jego powstałych myśli.

— Ja o miłości! zawołał pan Jan i spiął konia ostrogą, a ściągnął munsztukiem, aż mu karosz dęba stanął, a oczy zaiskrzyły się młodzieńcowi ogniem

wewnętrznej namiętności. Gdybyś jak ja pomieszkał lat kilka w Padwie, w tej ślicznej Italii, pod tem słońcem gorącem, co cię z góry pali, i popatrzył w te ciemne i płomieniste Włoszek oczy, co cię silniejszym jeszcze palą ogniem, posłuchał ich pieśni, których i rytm i słowa i dziwnie jakaś piękna harmonia, rozkoszną przejmują cię dreszczą, i raz tylko jeden ścisnął te ich dłonie gorące, tajemny i pożerczy ogień ziejące — to byś pewnie nie pytał mnie o to.

Pan Piotr omal co gęby z zadziwienia nie otworzył, słysząc podobne wyrazy namiętne po raz pierwszy w życiu. Ani słowem się nie odezwał, bo choć się do tego przyznać nie chciał, miło mu jakoś było słuchać tej rozmowy.

— A ta przyroda włoska, z niebem wiecznie pogodnem, mówił dalej Magnuszewszki, i oczy jego błyszczące rozpromieniały twarz, która w tej chwili cudnie piękną się wydawała. Te przypomnienia kilku lat we Włoszech przepędzonych, to poezya wewnętrzna, która zamieszkała w łonie młodzieńca i wyrywa się na wierzch gwałtownie, słowami pełnemi namiętności.

Takim był rzeczywiście pan Jan Magnuszewski, i o ile poznać można z opisu w manuskrypcie, z którego czerpaliśmy treść naszego obrazku. I powiedzmy to nawiasem, ten Magnuszewski był przodkiem na-

szego wielkiego a tak wcześnie zmarłego poety Dominika Magnuszewskiego. Ta iskra poetyczna, co się w onym wieku, w onych okolicznościach i tem całem życiem ówczesnem nie mogła wyrobić się i objawić przez tajemniczy jakiś związek krwi, przeskoczywszy kilka pokoleń, ozwała się dzielna, iskrząca w prawnuku, w ostatnim potomku Padewskiego ucznia.

— Te ogrody wonne, gaje pomarańczowe, ciągnął dalej pan Jan, ta zieloność, te wody jak kryształ przejrzyste, ta woń i ten szmer życia, co cię zawsze otaczają!.. Piotrze! tam się inaczej, tam pełno, żyje. Słuchaj, ja kocham moją ojczyznę i równie tobie, któryś z niej nie wyjeżdżał, gotów jestem walczyć, ba i umrzeć za nią, i nie chciałbym kości moje na innej złożyć ziemi; a przecież gdy sobie przypomnę tych parę lat w Italii przepędzonych, mimowolnie wzdycham, tęsknię niby za czemś.. ot marzę.. o czem?.. czy ja sam wiem... o tem niebie może, co nad nami.

— I kochałeś? zapytał pan Piotr pół głosem, bo poczciwy szlachcic wstydził się własnej ciekawości.

— Czy kochałem? odpowiedział Magnuszewki w pół rozmarzony. Czy ja wiem!.. ale czuję, że jestem zdolny kochać, jak to włoscy umieją wyśpiewać poeci. A jak pokocham!. jak pokocham!.. biada temu, co mi w drodze stanie. Ale czyż znajdę w naszej ojczyznie tę, którąby warto pokochać taką miłością jakiej ja zdolny jestem. Lecz dosyć o tem!... ty

mnie wyśmiejesz i słusznie!.. ot chwilowe napady!.. z których się zapewne wyleczę tu... dodał oglądając się z westchnieniem na smutną i piaszczystą płaszczyznę. Pospieszajmy!...

I puścili się obaj przyjaciele cwałem naprzód. Pan Piotr daremnie był przez pana Jana posądzony o to, że się śmieje z niego. Gdzie tam? słowa przyjaciela inne zupełnie na nim zrobiły wrażenie. Pan Piotr przejrzał jasno i poznał, że Hannę silną kocha miłością. Namiętnie spinał konia ostrogami, chcąc co prędzej dojechać, by ją zobaczyć; po raz pierwszy strach go jakiś przejął, by ją nie stracił. Uczuł, że w takim razie byłby prawdziwie nieszczęśliwy. Tak to póki jest się młodym, najzimniejszemu usposobieniu staje się zaraźliwym prawdziwe uczucie, gdy się nagle czynem czy płomienistemi objawi słowami.

Jeszcze niewielki lasek przebyli, a za nim co raz zieleńsza płaszczyzna, a z dala sterczy świecący w blasku słonecznym krzyż wiejskiego kościółka.

— To tam! rzekł Wroński, wytężając rękę i wesoły wyraz wystąpił mu na twarzy i w oczach.

— I cóż! odpowiedział Magnuszewski, któremu w tej chwili przykro i smutno się jakoś zrobiło, choć sam nie wiedział dla czego.

Są takie chwile w życiu, chwile przeczucia,

w których duch niewidzialny przyszłości naszej, dotyka nas czarnem swem szkrzydłem.

Uprzedźmy goniących bohaterów naszych i wejdźmy pierwsi do domu dokąd dążą, aby się poznać z jego mieszkańcami.

Była to wioska jak najczęściej na Mazowszu nie zbyt wielka, ale z dodatkiem wielu mniejszych czy większych futorków, rozrzuconych tu i owdzie, gdzie tylko zieleniał się kawał ziemi urodzajniejszy, gdzie tylko wystawała kępka krzaczystego gaju. Dziedzicem wioski i futorków, był pan Ignacy Boski, który uchodził w okolicy za zamożnego szlachcica, a osobliwie za człowieka statystę, ogromnie oczytanego. Był to rzeczywiście dawny palestrant, który sługiwał mecenasem wielkim panom, dogadzając ich pieniackim fantazyom, a nawet podbudzając je nieraz, aby jak to mówią w mętnej wodzie ryby łapać. Jakoż cały nie zły mająteczek uciułał sobie przy tych wszystkich trybunalskich wyprawach, a że sławny był swego czasu pomiędzy prawnemi krętaczami i sam się przekonał, jako te najczęściej prowadzą do majątku, ba nawet i do znaczenia, miał sam o sobie ogromne wyobrażenie, które pomału zaczęli dzielić i drudzy, jak to zawsze bywa w świecie. I jakże dzielić nie mieli, kiedy pan Ignacy o wszystkiem decydował jak prawdziwa wyrocznia,

rozprawiał tonem pewnym, głosem stanowczym, każdy zarzut nazywał absurdum, zarzucającego zaś głupcem oczywistym, a co najwięcej, mowę swoją szpikował jak najrzęsiściej łaciną, której nietylko że sąsiedzi nie rozumieli, ale podobno i rzymianie ś. p. gdyby z grobu powstawali, zrozumiećby nie bardzo potrafili.

Pan Ignacy był tedy ogromnie dumny, uparty przy zdaniu swojem jako kozioł prawdziwy, a w całej powierzchowności swojej nadęty niepospolicie. Zabawnie to dosyć wyglądało przy całej jego śmiesznonapuszonej postaci. Był to bowiem malutki człowieczek, prawdziwy Łokietek, omal że nie karzeł, a przytem nadzwyczaj chudy, złożony z samych prawie kości powleczonych skórą żółtą, prawdziwym pergaminem, jakby ze starych aktów pożyczonym. Ledwie pojąć było można, jak w tej małej figurce może się pomieścić tyle silnego głosu, którym przyzwyczajony do wygłaszania przed kratkami sądowemi niemiłosiernie piszczał, czy to gderając bez ustanku na domowników, czy przed obcymi wywodząc wszystkie sprawy jakie zapamiętał i wszystkie koneksye, jakie przez całe życie miewał z największemi w rzeczypospolitej dygnitarzami. A dodajmy do tego, że pan Ignacy zwykł był najczęściej takowe koneksye przezywać z gęsta parentelami, przez co słuchającym dawał niby do poznania, że jest spokrewniony z naj-

pierwszemi domami; a powtarzał to tak często, że na końcu sam uwierzył, stosunki klientelli mieszając z stosunkami rodzinnemi. Co do twarzy, nie wiele o niej było do powiedzenia prócz chyba nosa spiczastego który przy opowiadaniach lubiał palcem ostrzyć, prócz warg dumą wydętych, oczków nie wielkich i świdrowatych, a mianowicie głowy starannie ogolonej z małym na środku kosmykiem szpakowatym, któremu w objętości omal się nie równały dwoje brwiów długich i obwisłych i wąsiki przed nosem starannie a krótko na kształt szczoteczki ostrzyżone. W stroju zaś był pan Ignacy nadzwyczaj staranny i jakkolwiek był potężnie skąpy, o czem i sąsiedzi i osobliwie domownicy doskonale wiedzieli i nie mało mieli do rozpowiadania, garderobę miał jak na stan swój wykwintną prawie i nadzwyczaj doborną w rozmaite garnitury i stosowne do nich pasy; a pasy lubiał jak najszersze i najdłuższe, to też łatwo pojąć, jak pocieszne wyglądać musiał, gdy swą figurkę chudą takim pasem kilka kroć go obchodzącym obwinął.

Gust ten do wytwornego ubioru zachował aż do najpóźniejszego wieku, już bowiem sześćdziesiątkę minął, w chwili gdy go poznajemy i to głównie dla tego, że był kawalerem jeszcze, a strój staranny uważał za obowiązek kawalerski.

Wejdźmy teraz do dworu, który na małem podniesieniu wznosił się po nad stawkiem w około

wierzbami otoczony. Dwór ten był przerobiony widocznie ze starego jakiegoś zameczku, siedliska niegdyś zamożnej rodziny, podupadłej przez wojny, a może i przez zabiegi pieniackie pana Ignacego, który dosyć tanim kosztem przyszedł do tej majętności. Stary zameczek długo zaniedbany, zaczął się walić w gruzy, dach opadł, mury zaciekały. Najwięcej ucierpiał sam środek, to też gdy pan Boski wziął się do reperacyi, i przy znanym już skąpstwie, tanim to chciał zrobić kosztem, środek czyli sam korpus gmachu oczyściwszy z dwupiątrowych gruzów, pokrył dachem, pozostawiwszy dwa skrzydła mniej zniszczone o całe piętro wyższe, jako tako zreperowane, co nadzwyczaj pocieszną powierzchowność całemu dworowi dawało wyglądającemu zdaleka, jakby cegielnia między dwoma ogromnemi kominami. Sprawiedliwość wszakże oddać trzeba było panu Ignacemu, że stare to domostwo, które sam rezydencyą nazywał, było nadzwyczaj porządnie i czysto utrzymywane. Porządek był prawdziwie kawalerski, wygdyrany, wynudzony, wymuskany, drobiazgowo punktualny. Biada domownikowi, któryby śmiał choć jeden stołek czy ławkę z miejsca na miejsce przesunąć. Batogi były zaraz w robocie, bo w tej mierze nieubłaganym był pan cześnik. Zapomnieliśmy bowiem jeszcze dodać, że pan Ignacy Boski był cześnikiem; jakim? przez kogo i kiedy był mu ten tytuł nadany, tego nigdzie znaleść nie mogłem, ani bowiem dzieje, ani kroniki nic o tem nie wspo-

minają, mimo że sam Boski to cześnikostwo wysoko cenił i głosił i nie mało z tego tytułu był dumnym.

Lecz wejdźmy jaż raz do wnętrza domu przystrojonego w odwieczne Wazów jeszcze pamiętające sprzęty, które pan Boski z niepospolitą pielęgnował troskliwością. Nie dzisiejsze bo też to wówczas bywały sprzęty, tak filigranowe, jak filigranowe dzisiejsze pokolenie, o tak cieniutkich nóżkach że ledwie pojąć można, jak się stołek i człowiek na tak nie tęgiej utrzymać może podstawie. Były to ciężkie, ale za to mocne sprzęty, które nieraz od dziada na wnuki przechodziły; a miały też w sobie wartość istotną, nie wydętą i wyrzynaną i fornirowaną, ale wartość, co pochodziła z gatunku drzewa i z nieprzeżytej trwałości owych skór złotem wyciskanych, ciężkich aksamitnych i innych węzgłowiów i drogocennych makat, będących zarazem obrazami historycznemi na których wszakże nie pełzły barwy, jak na dzisiejszych naszych wyrobach, gdzie się krzyżują jakieś fantastyczne esy i floresy, jakieś kapryśne arabeski, nie mające zaprawdę wiele sensu.

Ulubionym cześnika pokojem, była podłużna salka w jednym ze skrzydeł rezydencyi, którą nazywał biblioteką, dlatego że było pare półek starych ksiąg i pergaminowych zwitków. Były same prawnicze księgi z czasów mecenasowskich pozostałe, i rozmaite dokumenta, które byłemu mecenasowi z

każdego niemal procesu pozostały. Choć już nie czytał, bo i nie wiele już widział zużytemi oczyma i wszystkie księgi i dokumenta umiał na pamięć, rad był choć wąchać starych zbutwiałych przyjacieli, co mu najświetniejsze przypominali czasy młodości i trybunalskiego życia. Okna salki wychodziły wprost na ogromną ulicę lipową, co się ciągnęła wzdłuż szpalerowego ogrodu i która była w lecie najdoskonalszem schronieniem, bo chłodnem jakby kościelne sklepienie. Gdzie się podziały te nasze poczciwe ulice lipowe, pod których cieniem przechodziły pokolenia po pokoleniach, zostawując tam zda się każde coś z swych myśli i uczuć, które wnukom szmerem liści rozpowiadały o dziadów sławnej i krzepkiej przeszłości? Zastąpiliśmy je angielszczyzną kusą i karłowatą, klombami co niby mają być gaje i ścieżkami co niby mają być drogi; powycinaliśmy stare lipy nasze, które po szlacheckich domach naszych były niejako godłem staropolskiej gościnności szlacheckiej, niejako świadkami dawnych obyczajów naszych były. Wycięliśmy w pień! i słusznie; na co nam świadków!... chybaby nam maluczkim wstydzić się przyszło olbrzymiej przeszłości, którąby nam ci świadkowie rozpowiadali.

Czesnik miał przy oknie ogromne krzesło poręczowe, a tak wysokie, że gdy w nie usiadł, znikał zupełnie prawie i wyglądał jak dziecko, któremu nogi

niedostają jeszcze do ziemi. Ale z tego krzesła mógł patrzeć na ogród, a lipe owe, jakkolwiek prozaiczna dusza mieszkała w eksmecenasie, cieszyły go niepospolicie. Nie raz po obiedzie, gdy usiadł w krzesło przy oknie otwartem. i lekkiem wietrzykiem poruszone zaszumiały lipy, a woń kwiatu lipowego upajająca rozeszła się po sali, rozmarzony cześnik zadrzymał błogo i zamarzył co mógł najprzyjemniejszego, bo sławną jaką mową swoją w sprawie jakiej przed trybunałem, co mu przyniosła wziętość i pieniądze do kalety.

I dzisiaj gdy go poznajemy, drzemał sobie stary cześnik; głowa opadła mu na krzesło ciemną w chińskie wyzłacania skórą wybite, a nos naprzód wydany, zdawał się wciągać cudowną woń ogrodową; ogolona głowa, na której znać jeszcze było kilka kropelek potu, jakie zawdzięczał skwarnemu dniowi, smacznie zjedzonemu obiadowi i gderliwemu przez cały ranek po wszystkich kątach łażeniu, osychała i stygła pod wpływem miłego chłódku, który wiał od zacienionej ulicy. Pan Boski drzemał już czas jaki, a sny jego były błogie zapewne, bo na ustach jego wystąpił uśmiech lekki, który rzadkiem był tej twarzy gościem. Gdy nagle otwarły się drzwi dosyć głośno i wpadł przez nie mężczyzna jakiś wysoki, barczysty i siwy jak gołąb, ale z twarzą czerstwą i ruminą i wąsem szpakowatem, do dwóch i to wiel-

kich mioteł podobniuteńkim. Ubrany był po letniemu, w dreliszkowy niewilki kubraczek, z pod którego płucienkowy dłuższy wyłaził żupanik. A na głowie miał ogromny kapelusz słomiany domowego wyrobu, który wszakże wchodząc do sali zdjął z pospiechem.

Żachnął się cześnik nagle obudzony, oczy zaspane spojrzły niepewnie naprzód, a na czoło, twarz i usta wystąpiła chmura niechęci, zwiastująca długą i niebezpieczną burzę.

— Cóż waść wpadasz, jak mente captus jaki? wypiszczał rozgniewany cześnik.

— Byłem na wieży pana starosty! i...

Jedno ze skrzydeł rezydencyi wyższe od drugiego nosiło nazwę wieży starosty. Przyczyny tej nazwy nikt nie wiedział, czyli raczej nie wiedział, którą wybrać z pomiędzy niezliczonej liczby gadek i bajek, jakie rozpowiadano o okropnościach, jakie w tej wieży za króla Popiela podobno jeszcze wyprawiał starosta jakiś. To pewna, że ta wieża najgorszą w okolicy miała reputacyę; bo nawet i domownicy i sąsiedzi rozpowiadali sobie na ucho, że dotąd dziwne słychać tam głosy i widać postacie około północy, dziwne wyprawiające hecy. Cześnik choć jako promotor pieniactwa i samego djabła bać się nie był powinien, bo pieniactwo to już djabeł nad wszystkie djabły, miał wielkie poszanowanie dla tej wieży, w której noga jego nigdy nie powstała. Po prostu bał

się strachów; snać nie zupełnie tam mu czysto być musiało na sumieniu; to też zawsze niemile przyjmywał każde wspomnienie o wieży starosty.

I tym razem nieznacznie przeżegnał się krzyżem świętym. Bo choć to dzień jeszcze, ale ostrożność nie zawadzi.

— I dla tego wbiegłeś z hałesem i zbudziłeś mnie waść! krzyknął cześnik co raz gniewniej.

— Przepraszam...

— Co mi tam z przeprosim; post festa.. Że też waść wiecznie łazisz po tych dziurach. Schody liche jeszcze waść kark skręcisz...

— Byłem w zbrojowni.

W wieży starosty była na górze samej wielka izba bez okien, zapełniona cała rozmaitemi staremi to zbrojami, to orężami, po większej części wyszłemi już z użytku, które tam rzucano jako sprzęt mniej już potrzebny.

— A wiem, że waść tam gmyrasz po tych starych zardzewiałych żelaziwach i nieraz brzękiem straszysz ludzi.

— Są tam oręże i puklerze i hełmy dobre jeszcze a jakie oręże!...

I szeroka twarz mówiącego promieniła się jeszcze, siwe oczki zaiskrzyły się, usta wydęły jakby co smacznego skosztować miały, a wąsy najeżyły się jakby szerść u rozjuszonego dzika.

— Jeszczeby waści chciało wojować! tfu! głupi ludzie!... Stultum genus!... a przecież masz znak doskonały.

I palcem wskazał na czoło miłośnika starych orężów. Snać mu się jeden z tych przyjaciół niepospolicie dał we znaki, bo miał krysę nie lada; zaczynała się gdzieś za czołem wysokiem aż pod czupryną i głębokiem ciągnęła rowkiem pomiędzy okiem i nosem przez szeroki policzek, aż znikła wreszcie w lesie wąsów.

— To z pod Chocimia, gdyśmy z ś. p. królem gdy był jeszcze hetmanem... zaczął i z uśmiechem który mu całą twarz dziwnie pięknym rozpromienił wyrazem, pociągnął prostą i żylastą ręką po bliźnie. Snać mu ta blizna najmilszą w życiu była pamiątką. I tak to dawniej bywało; po bliznach rachowano pamiątki dziejowe, wypisane na twarzach i piersiach bitnej szlachty naszej. A blizny te były drogie i warte pamięci, bo nie w jakichsić pojedynkach (prawda że teraz i w pojedynkach miasto krwi, wino rzęsiście przelewają) lub innych nocnych zdobyte rozgardyjaszach, ale na polu sławy, w obronie tej wszystkim nad życie i spokój droższej ojczyzny.

— Słyszałem! słyszałem! przerwał cześnik z niesmakiem, te wszystkie głupie wojackie awantury z których waść wyszedłeś pokiereszowy i goły jak turecki święty.

— Ale szczęśliwy, bo miałem zaszczyt być rotmistrzem pod najsławniejszym wojownikiem, którego chwała w niebie zapisana.

— A wiem! scutom Sobiescianom! a na ziemi dzieci rozbiegły się po całym swiecie, bez korony i bez sławy...

— Ale zawsze Sobiescy! ozwał się rotmistrz z pewną dumą...

— Przestań! przestań! bo mi znowu uszy nakrzyczysz temi głupstwami.. Vana verba!

— Ale...

— Milcz już raz! krzyknął cześnik i wylazłszy z biedą z krzesła ogromnego, poskoczył gniewnie do rotmistrza, przy którym jak karlik przy olbrzymie wyglądał. To aż waść tu przylazł?... i przerwał mi sen...

— Przepraszam pana brata! odpowiedział rotmistrz cofając się parę kroków, z widoczną nieśmiałością i pokorą.

Byli to rzeczywiście rodzeni bracia; i jakkolwiek dziwną to mogło się wydawać rzeczą, pan Stanisław Boski były rotmistrz dzielnych Sobieskiego zastępów, atleta budową, a niegdyś zuch nad zuchy, i sławny z swojej siły i śmiałości, dziś ulegał z pewną nawet bojaźliwością malutkiemu, chodziutkiemu bratu swemu, wysuszonemu palestrantowi jakiemuś, któregoby szczutkiem o ziemię mógł powalić. Jest

to dziwne zaiste, ale trafia się nieraz, że siła fizyczna ulega sile moralnej. Tę pomiędzy bracią reprezentował pan cześnik i pan rotmistrz; jakkolwiek tęgi do korda i zgrabny w rycerskich sprawach sam przyznawał niższość swoją przed bratem, w którym podziwiał i szanował wielki rozum, uosobniony w jego wyobrażeniu posiadaniem sporej majętności cum attinentiis, zdobytej przewagą tegoż rozumu. Rotmistrz wróciwszy z wojaczki goluteńkim prawie, po kilku latach rozmaitej włóczęgi pomiędzy obcemi, gdzie mu się rozmaicie jak to bywa powodziło, bo to panie i pod wozem i na wozie, postradał wiele w tych ciągłych walkach z trudnościami życia z owej dawnej energii, to też gdy w końcu koniecznością przymuszony dostał się w dom pana brata, stał mu się zupełnie uległym. Ktoby ich nie znał, a nagle przypatrzył się obopólnemu ich pożyciu, nieuwierzyłby że to są bracia; tak jeden ulegał, a drugi tej uległości nadużywał.

Poczciwy rotmistrz, a że był poczciwym, to dosyć było popatrzyć na tę jego twarz otwartą, z temi jasnemi oczami, przez które każdy mógł zajrzeć aż do głębi prawego serca, jakie biło w łonie starego wojaka; poczciwy tedy rotmistrz miał rozmaite nawyczki swoje, jakie nabył przez ciąg życia swego; przybywszy do brata wszystkiego się wyrzec musiał, bo z uległością pana Stanisława rosły despotyczne

chętki pana Ignacego, który chciał mieć brata zupełnie podległym wszelkim fantazyom swoim, a jako stary kawaler miał ich podostatkiem. Z początku chciał rotmistrz walczyć nieco, porzucić nawet dość despotycznego brata, ale jakiż opór nie zwalczy żelazne konieczności jarzmo. Stary już, bo był starszym od pana Ignacego, styrany wojaczką, a więcej jeszcze położeniem swojem i mnogiemi zapasami z tem codziennem życiem, cóż miał robić; ot pomodlił się, westchnął nieraz do pana i stworzyciela, do przenajświętszej Panny, której wizerunek na blasze nosił na piersiach swoich i pozostał w braterskim domu na łasce. Oj! to na łasce!.. smutne słowo, smutnem dawniej bywało, jak i dzisiaj, gdy je komu do siebie zastosować wypadnie z kolei.

Najtrudniej przyszło rotmistrzowi odzwyczaić się od gadulstwa, do którego miał wielki pochop, już to zwykle jako człowiek stary, już to jako bywały wojak. który ma tyle do rozpowiadania, a do gawędki przyzwyczaił się przy obozowem ognisku. Lecz rady nie było. bo jeżeli pan Stanisław chciał opowiadać, jak to bywało pod Wiedniem, albo pod Parkanami, pan Ignacy, może to już taki był narów familijny, lubiał szeroko a długo rozwodzić się nad dziejami trybunałów, przy których figurował, klientów i spraw, jakie przebył bądź jako mecenas broniący, bądź jako gromiący przeciwnik.

I dla tego to rotmistrz tak lubił wydrapać się na wieżę pana starosty, bo tam biedak przynajmniej, wlazłszy między stare zbroice, jakby między starych znajomych druchów i towarzyszy których się przeżyło, tam sobie dopiero pozwalał. Chodząc pomiędzy zbroje dotykając ich, przypatrując się temu lub owemu orężowi, wracał stary rotmistrz do swojej przeszłości tak cudownie pięknej i tam się rozgadał aż miło, nie tylko myślami i marzeniem, ale i słowami. Bo gadulstwo to jakby słabość jaka, co musi gwałtem wysypką wybiedz na skórę; gadule nie daj się wygadać, to gotowe go połknięte zadusić słowa. Chodząc więc od zbroi do zbroi, rozpowiadał głośno pan Stanisław, co kiedykolwiek sam i jego wojenni przebyli towarzysze; przed niemi jak przed przyjaciółmi skarżył się na te wszystkie jakie znosić musi, drobne zaprawdę ale dotkliwe przykrości. I jakoś mu lżej było na sercu, gdy się tam na górze wygadał. słowami wewnętrzny wyrzucił niepokój a oczami przez okna w daleką patrzące okolicę wszystką swą tęsknicę za burzliwą przeszłością. Bo choć dobrze już stary ale tyle w sobie czuł sił fizycznych, że chętnieby dziś jeszcze dosiadł konia, odział się w ciężką zbroję i wyruszył tam het na szerokie pole, poharcować z niewiernym Turkiem lub Tatarem.

— Hej! hej!... kończył zwykle swoje podumanki i pogadanki, zwrócony do niemych słuchaczy swoich.

Gdzie to te czasy, kiedy człowiek gonił na ostre z wrogiem i świat niemal cały przewędrował z wielkim naszym królem Janem. Oj! żyło się, żyło!... a dziś pożal się Boże!... tfu!...

Splunął, westchnął i wracał na dół, pokorniuteńki dla brata.

I teraz gdy pan brat gniewnie przyskoczył do niego, wnet pierzchnęły dumne obrazy, jakie przyniósł z sobą z góry, a pozostała codzienna pokora.

— Przepraszam pana brata, ale patrząc z góry przez okno...

— Za gawronami, co się po powietrzu uwijają. Ot próżniactwo mosanie!...

— Zobaczyłem kurz na drodze...

— Res magni momenti!.. to pewnie Franek trzodę pędził.

— Mnie się zdaje, że to goście!

— A toż po co? zawołał pan cześnik, który niekoniecznie lubił gości, choć gdy już przyjechali mimo skąpstwa swego, obyczajowi powszechnemu gościnności w niczem nie uchybiał. Waść jesteś zawsze ptakiem mali ominis.

— Ja myślę, że to pan stolnikiewicz Wroński.

— I cieszysz się?

— A przecież pan brat wie! zawołał rotmistrz z naiwnem podziwieniem, że on tu jeździ nie bez pewnych myśli.

— Którym waść sprzyjasz! equalis equalis gaudet; jeden i drugi hołysz...

— Stolnikiewicz przecież ma wioskę i sam pan brat dawał się nakłaniać..

— Ot bredzisz!.. Si tacuisses sapiens mansisses!.

Rotmistrz, choć go język świerzbiał, kiwnął tylko głową i nic nie odpowiedział na braterską sentencję. W tej chwili otworzyły się drzwi pomału i nieśmiało wejrzała przez nie główka tak śliczna jak umalowanego aniołka jakiego. Na widok tej twarzyczki zajaśniała twarz rotmistrza błogim takiej radości i takiego uczucia uśmiechem, że aż zdał się odmłodnieć i wypięknieć. Ba nawet i na pergaminowej pana cześnika twarzy odbił się wyraz przyjaźniejszy, a jego małe świdrowate i ostro patrzące oczy jakoś się udobruchały słodszem niż zwykle spojrzeniem.

Za twarzyczką wsunęła się i postać dziewicza, wysmukła pełna wiosennego uroku. Spojrzała na obu mężczyzn, śmielej na rotmistrza, bojaźliwie na cześnika, zarumieniła się jak najrumieńsza wisznia i stanęła w milczeniu.

— Chodź bliżej! przemówił stary wojak głosem tak czułym że aż za serce chwytał.

— Co nam przynosisz! przemówił cześnik głosem także zmienionym, bo z piskliwego przechodził w śpiewający dyszkant.

Dziewczyna jeszcze więcej zarumieniła się, oczy

to wzniosła to znowu ku ziemi spuściła, a na usteczka małe do pączka róży podobne wystąpił tak luby choć lekki uśmieszek, że nie można było bez uczucia patrzyć na to śliczne stworzenie boskie.

Było to prawdziwy dziewcze polskie, z podwójnym ba potrójnym na twarzy urokiem, bo i wdzięków i niewinności i naiwnej prostoty. Białe to było jak mleko, a krasne rumieńcem zdrowia na licu, jak pierwsza zorza na niebie; a nosek delikatnie zakrojony, tak jakoś odważnie i figlarnie a z lekka w górę się podnosił a na oczki prawdziwe fijołki wiosenne, tak cudownie spadały ciemne i długie rzęsy, a nad białem jak śnieg czołem wznosiło się takie bogactwo ciemnych i lśniących włosów, że trzeba było nie mieć oczów, by nie podziwiać tej żywej piękności, nie mieć serca, by w niem coś nie zadrżało na ten uroczy widok.

To też obaj staruszkowie co raz czulej spoglądają na śliczną dziewczynę, która jest rzeczywiście tem jednem, ale silnem ogniwem, co łączy ich obydwu, mimo całej położenia i usposobień sprzeczności.

To była Hanna jedynaczka pana rotmistrza, o której słyszeliśmy już z ust pana Piotra Wrońskiego, dla niej to stary rotmistrz zaparł się rogatej duszy wojackiej, a przybrał pokorę na siebie. W późniejszym już ożeniwszy się wieku, stracił kilkoro dzieci

i drogą żonę. Ta mu jedna pozostała całym skarbem całą pociechą, wszystkiem w życiu, bo na nią patrząc i przeszłość puszczał w niepamięć i teraźniejszość obojętnie puszczał i wszelkie w niej układał plany i nadzieje. Dla niej to starszy brat ulegał młodszemu, żołnierz prawnikowi, bo młodszy bezdzietny kawaler miał majątek, a rotmistrz dla córki dałby sobie ostatnią kroplę krwi wypuścić, byle dla niej wyczarować z tej kropelki jaką przyjemność. On nawet chętnie uznawał wyższość brata; wszakże ten brat ma majątek, którym chce obdarzyć synowicę; mimo gdyrliwości cześnika, której pan Stanisław był najczęściej ofiarą, rotmistrz czuł w sercu rodzaj wdzięczności dla brata, za to, że umiał dorobić się majątku nie ożenił się i nie ma dzieci.

— Poczciwy Ignaś! co ma, to dla mojej córki! odzywało mu się serce przy każdej nowej brata gdyraninie.

Dla niej nareszcie i pan Ignacy nieraz wstrzymywał się od wybuchów swego żółciowego humoru i za żadne skarby świata nie byłby się rozstał z bratem, choć go nieraz hołyszem i darmojadem nazywał. Pomału ani wiedział, jakim sposobem tak mu dzieweczka wśliznęła w serce, że cześnik nie byłby dnia jednego wytrzymał, gdyby mu w nim zabrakło szczebiocącego synowicy głosu. Przykry dla wszystkich, dla niej jednej był słodszy niż zwykle i w duszy

się cieszył, że ma majątek, którym może drogą synowicę po swojemu uszczęśliwić.

Głupiec! myślał nieraz o bracie, zkąd on do takiej przyszedł córki.

A przecież za tę właśnie córkę kochał go w duszy i szanował choć trochę, bo bał się, by mu kiedy z dziewczyną razem z domu nie umknął.

— Co powiesz Haniu serce?...

— Co powiesz Hanko? powtórzyli pytanie ojciec i stryj.

Dziewczynka znowu podniosła oczy i wyrzekła wreszcie nie bez silnego zarumienienia:

— Gości przyjechali!

Cześnik nic nie odpowiedział, ale skrzywił się.

— Stolnikiewicz pewnie! przemówił za to rotmistrz wesoło.

Obaj kochali piękną dziewczynkę, obaj wiedzieli, choć się stolnikiewicz nie oświadczył, że jeździ w celu starania się o rękę panny rotmistrzówny dla której byłby ze wszech miar stosownym konkurentem. Ale wielka była różnica w obydwóch uczuciach. Ojca uczucie mniej było egoistyczne; cieszył się nawet, choć się musiał rozłączyć z córką, miarkując że pan Piotr zdoła być dobrym i kochającym mężem. Przywiązanie stryja było zupełnie egoistyczne; nie cierpiał stolnikiewicza, bał się bowiem, że mu lube dziewcze z domu zabierze.

A Hanna?.. jakież jej w tem uczucia wnet się dowiemy.

— Nie tylko pan stolnikiewicz! odrzekła po chwili, schylając ku ziemi zawstydzoną główkę. Jeszcze ktoś drugi!...

— Czy młody? zapytał cześnik z złośliwą radością; bo młody mógł by odsadzić stolnikiewicza, a więc zyskałoby się choć na czasie.

— Nie wiem! odrzekła dziewczynka, i spłonęła karmazynem. Bo choć od dziecka kłamstwem się brzydziła, tym razem minęła się z prawdą; przez okienko widziała dobrze przyjezdnych; ale jakże tu przyznać przed ojcem i stryjem, że ten drugi nieznajomy wydał się jej nietylko młodszym, ale i piękniejszym od stolnikiewicza.

Stryjaszek jeszcze się złośliwiej uśmiechnął, a ojciec nie mógł już dłużej wytrzymać. Mimo całego respektu dla pana brata, przyskoczył do Hani, i przycisnąwszy ją serdecznie do łona, ucałował białe dziewczyny czoło.

I wszyscy razem poszli do bawialnej izby, aby przyjąć przybyłych gości.

Naprzód weszli panowie sami. Pan Piotr Wroński przedstawił obu gospodarzom sąsiada swego i przyjaciela pana Jana Magnuszewskiego.

— A znałem moci dodzieju! ozwał się pan Ignacy, ś. p. pana Franciszka Magnuszewskiego, który wraz ze

mną atentował sprawę pana wojewody Malborskiego.

— To był stryj mój, odpowiedział pan Jan.

— I był bezdzietny, si non fallor.

— Nigdy się nie żenił.

— To się nam moci dodzieju trafia często przy trybunale multissimos casus matrimoniales poznać można, odpowiedział pan exmecenas z uśmiechem, który miał niby być żartobliwy.

— Stryjaszek dobrodziej, o ile pamiecią zasięgać mogę, był wcale majętny, i posesionatus w ziemi krakowskiej.

— Tak jest rzeczywiście; ja wziąłem po nim sukcesję...

W tej chwili weszła Hanna. Pan Piotr poczerwieniał i ledwie ze skóry niewyskoczył na widok ślicznej dziewczyny, lecz musiał poprzestać na ceremonijalnym ukłonie.

I pan Jan spojrzał na dziewczynę raz i drugi, z coraz większem zadziwieniem. Sam przed sobą przyznać musiał, że nawet na tej pięknej a klasycznej ziemi włoskiej nic piękniejszego nie widział. Coraz też więcej patrzał na nią, a oczy jego ciemne puszczały iskry, które dziewczynę młodą i niedoświadczoną prawdziwie jakby żarem posypały. Patrzała z pod oka na obu młodzieńców, jakby ich porównać chciała. I sama pojąć nie może, dla czego się jej pan Piotr mniej przystojnym wydaje, jak pierwej.

Zaczerwieniona po uszy, z oczkami niby spuszczonemi, siedzi biedaczka jak trusia, bo się panience odzywać nie godzi; a choćby się godziło, to pytanie dopiero, czy by się zdołała zdobyć na słówko jakie. Ale niemniej przeto serce bije w łonie, a myśli jak ptaszęta latają po głowie; i serce coraz gwałtowniej puka, a w główce coraz jakoś gwarniej niesłychane jakieś tłumią się myśli.

Dziwna rzecz, bywało dawniej, jak przyjedzie pan Piotr, jakoś spokojnie było i w główce i w serduszku. Hanna lubiła nawet pana Piotra, i choć to w owych czasach głowy i serca dziewicze nie były przemądrzałe, i zarażone romansami, o których się żadnej ani śniło, miarkowała ona przecie, że pan Piotr jakoś inaczej patrzy na nią i nieraz naturalnie pomyślała sobie trochę z westchnieniem, a trochę bez westchnienia.

— Ha jeżeli już taka będzie wola Boga, ojca i stryjaszka; posłuszną być należy.

— A z resztą, dodawało cichym głosem serduszko, przystojny chłopak z pana Piotra, i przyzwoity, i dobroć patrzy mu z oczów tak jasnych, jak to niebo na górze pogodne.

Dla czegoż dzisiaj wszystko zupełnie się jej inaczej wydało. Bo dzień dniowi nie równy, myśli się zmieniają, a cóż zmienniejszego jak serce kobiece: niech się schowa dzień kwietniowy.

— Co za oczy! o mój Boże! drzało dzieweczce w głowie, a bolało aż w sercu.

Ależ bo pan Piotr antiquo more, jako prawdziwie skromny młodzieniec, nie wiele mówi, a co powie, to Hanna już się nieraz nasłyszała, ba na pamięć umie, i mogła by mu powtórzyć.

Pan Jan to co innego. Jak z oczów spojrzenia, tak ze ślicznych ustek rumianych, z pod tych czarnych wąsików tak ładnych i delikatnych a nie tak przecie sumiastych, jak one dwie miotły na twarzy pana Piotra, sypią się słowa nowe, dotąd przez dziewczynę nie słyszane, a tak jakoś wyraziste, że każde zda się trafiać i do główki i do serduszka. Rozpowiada o podróżach swoich, o pobycie za granicą takie rzeczy ciekawe; a opisy jego tak są żywe i gorące, jakby przesiąkły onem słońcem skwarnem południowych stref. Jakże tu nie słuchać całemi uszami, kiedy dziewicza przyzwoitość nie pozwala całemi patrzyć oczami.

Ciekawość, to podobno od wieków najniebezpieczniejszy dla niewiast szkopuł, a i ów wąż w raju, to był podróżny podobno przybysz, który miał wiele do rozpowiedzenia o rzeczach, co się za rajem dzieją. Żeby nie ta ciekawość, Ewa nie byłaby ukąsiła w mądre jabłko; my bylibyśmy nieco głupsi, ale za to szczęśliwsi może, bo w raju, za którym darmo wzdychamy, darmo go po całym szukamy świecie.

Rozmowa rzeczywiście była ożywiona. Z początku rozmawiano o rzeczach potocznych; trocha o gospodarce, o pogodzie, o rozmaitych stosunkach rodzinnych, o których pan Ignacy lubił rozprawiać, bo jako dawny pieniaka, znał pół kraju najmniej, wiedział o wszelkich związkach, kto kogo rodzi, jakiemi zaszczyca się koligacyami i jakiemi pieczętuje herbami. Lecz gdy się ta materya wyczerpała, pan Jan Magnuszewski pomału rozmowę sprowadził na swoje podróże, o których umiał rozmawiać.

— Expedyte moci dodzieju, znasz waść Włochy! powiedział pan Ignacy kilka razy. A mądry to kraj, bo to Rzym moci dodzieju, to kolebka wszekiego prawodastwa. Panie! nie ma nad Pandekta i Justiniana codex; to rozum; a co to za pole do prawdziwej wymowy trybunalskiej, jak to się o tem moci dodzieju praktykowało.

— Rzymianie pono nie tylko się prawowali, ozwał się rotmistrz nieśmiało, ale i do szabli tędzy bywali.

— U waści tylko szabla! przerwał z niesmakiem; dobrać to rzecz ta szabla, ale to rany rozdaje...

— Ale to polska i szlachecka rzecz! zawołał Magnuszewski pięknym i śpiewnym głosem.

Pan Piotr to samo pomyślał, ale gdzieżby się zdobył na tyle odwagi, by myśl swą wymówić. Nie mógł wszakże wytrzymać, aby choć nie potwierdzić zdania kolegi.

— Rzeczywiście szabla to rzecz nasza! rzekł z zapałem.

Szkoda było gęby. Myśl się ta podobała dziewczynie, bo szabla znajdzie zawsze odgłos w sercu polskiej niewiasty, ale podobała się tylko w oryginalnem wydaniu. Drugie wydanie jeżeli je nawet zasłyszała, wydało się jej mdłą kopią.

Tak to rzeczy idą na tym świecie, i tak poszły obu kawalerom. Nie zawsze zwycięża prawdziwa zasługa; nieco od szczęścia zależy, a wiele więcej od zuchwałej śmiałości.

Późno już było, konie przyczepione u słupa, co stał na dziedzińcu, rżeli czas niemały niecierpliwie, gdy odjechali nasi kawalerowie.

— To mi człowiek moci dodzieju! bywały widać a rozprawia jak z księgi, powiedział pan Ignacy.

— Nadto miele mi gębą!... ozwał się pan Stanisław; a więcej tam otrębów niż mąki.

— Zapewne najlepiej mrukiem siedzieć, jak ten waścin stolnikiewicz, który gęby podobno nie otworzył.

— Nieśmiały jak na młodzieńca przystało, ale co to za złote serce! panie bracie!

— Że waść zawsze pleciesz, jak Piekarski na mękach; co tam serce złote; ale u pana Magnuszewskiego złoto w szkatule, a i starościc przecie.

— Tytularny! mruknął nieśmiało pan rotmistrz nie rad że mu przesadził stolnikiewicza, który był

jego faworytem. Ojcowskiem sercem choć nie arcymądrą i doświadczoną głową przeczuł serce poczciwe choć proste i poezyą nie przesiąkłe pana Piotra Wrońskiego, i pojął, że z takim mężem córka jego może być prawdziwie szczęśliwą.

A Hanna!... ta po wyjeździe kawalerów, poszła do swojej dziewiczej izdebki, której okna wychodziły na ogród a w nim na kwaterę kwiatami przez starego rotmistrza zasadzoną. Usiadła w oknie, ale nie patrzała na te kwiatuszki, co tak cudnie i barwnie pod wieczór wyglądają rosą śkniące; ona patrzała w niebo, po którego błękicie przesuwały się lekkie obłoczki ubarwione promieńmi zachodzącego słońca, i po raz pierwszy w życiu, obłoczki te przybierały w jej oczach cudowne jakieś kształty, tajemnicze mające znaczenie. Po raz pierwszy chciała odgadnąć to znaczenie; i odgadła zapewne, bo choć oko jej rozmażone błądziło po niebie, rumieniec ziemski zakwitł na dziewiczej twarzy. Tam na niebie czerwieniło się słońce zachodzące, a na Hanny twarzy zarumieniła się zorza wschodzących uczuć.

Kawalerowie czas jakiś jechali stępo a w milczeniu; snać oba zamyśleni. Pan Piotr razy kilka oglądał się za sobą i patrzał póki mógł dojrzeć stary dwór pana cześnika. Pan Jan nie patrzył za siebie; on marzył i dumał, ale już nie o pięknych krajach włoskich. Jemu świeciły przed oczami owe oczęta:

te dwa krasne fijałki skromne ale pełne tajemnego uroku, jakim je każda obdarza wiosna.

— No i cóż Jasiu? ozwał się pierwszy pan Piotr gdy już za laskiem znikły mu z oczów kominy cześnikowskiej rezydencyi.

— A i cóż?... nic! odpowiedział Magnuszewski zły, że mu towarzysz próżnem słowem lube przerwał marzenia.

— Prawda że śliczna? rzekł znowu pan Piotr.

— I cóż tobie z tego? odpowiedział Magnuszewski, i nie mógł powstrzymać szyderczego przycisku.

— Nie rozumiem ciebie Jasiu, mówił Wroński trocha zadziwiony.

— Bo ona ciebie nie kocha! zawołał pan Jan, zaśmiał się i puścił konia z kopyta.

A więc i Wroński puścił się wraz z nim; oba gonili szalonym pędem, ale nie mogli przecie przegonić raz rozbudzonych myśli i uczuć. Magnuszewski nie mógł zataić przed sobą, że mu dziewczyna podobała się bardzo; a Wrońskiemu latały ciągle po głowie te złowrogie przez przyjaciela wyrzucone słowa: „Ona ciebie nie kocha!“

I przychodziło mu na myśl w poparcie tych słów całe dzisiejsze przyjęcie. Lecz nie śmiał nawet spytać go o wytłumaczenie tych słów, bo bał się przekonać o tem, czego sobie dusznie nie życzył.

Milcząc jechali dalej i milcząc rozjechali się każdy do swego dworu.

Od tej chwili pan Jan Magnuszewski co raz częstszym bywał gościem w domu pana Boskiego, i coraz milszym dla cześnika i rotmistrzównej. Zdybywali się tam nie raz z Wrońskim, który co dzień smutniejszy, co dzień nieśmielszy, ani myślał już o oświadczeniu się, widząc jak go panna co dzień zimniej przyjmuje. Jeden rotmistrz pocieszał go stałą przyjaźnią swoją, ale jak wiemy rotmistrz nie wiele znaczył w domie braterskim i nieśmiał nawet wystąpić ze zdaniem swojem przed cześnikiem, który Wrońskiemu co raz kwaśniejszą okazywał minę, a za to co raz słodziej przyjmował Magnuszewskiego.

Ten zaś kochał Hannę na prawdę, z całą siłą swojego namiętnego usposobienia. Wprawdzie odzywał się w nim głoś niejako sumienia, wyrzucający mu że zdradza przyjaciela. który mu się zwierzył i który go przecie uprzedził w domu Boskich. Lecz co znaczy głos obowiązku naprzeciw głosowi rozbudzonej namiętności, a jeszcze w człowieku, który z natury był gorączką, popędliwym i niepohamowanym. A przykłady, jakie widział nie raz za granicą, zmniejszały winę jego w własnym wyobrażeniu i tłumaczyły to postępowanie, o którym coś mu tam ciągle w duszy gadało, że może być włoskie ale nie polskie zaiste.

Najlepszym dowodem że wewnętrznie sam siebie potępiał, było to. że się krył z uczuciami swemi przed przyjacielem, a nawet w obec niego, gdy się u cześnika zdybali, pilnował więcej i słów i spojrzeń swoich. To też jak to bywa zwykle najwięcej interesowany wiedział najmniej. Skarzył się nawet przed Magnuszewskim na zimne z nim obejście się panny i stryja.

— Zostaw to czasowi! odpowiedział mu pan Jan.

— Dobrze tobie mówić! ale ja widzę że co dzień gorzej.

— Ha cóż robić! humor kobiety zmienny: istny kwiecień!

Temi sposobami bałamucił niejako przyjaciela, który też odwlekał od dnia do dnia swoje oświadczyny, co dzień mniej mając nadziei.

A Hanna!... ta nie mogła dać sobie rady z swojem serduszkiem, które tak żywo biło z każdem razem, gdy przyjechał Magnuszewski, a z twarzą to by się rada pod ziemię schować, takim płonęła wstydem, byle tylko oczy zostawić, aby niemi choć ukradkiem spoglądać na chłopca tak ślicznego, że już wedle niej ładniejszego nie było na świecie. Czuła i ona wyrzut sumienia, gdy patrzała na smutną twarz Wrońskiego, bo chociaż nic nigdy mu nie przyrzekała, ale nie mogła tego sama przed sobą zataić, że dawniej daleko była grzeczniejszą dla niego.

I więcej nawet, nieraz gdy w samotności rozmyślała o położeniu swojem, o ile kochająca dziewczyna rozmyślać jest w stanie, przyznawała panu Piotrowi wszelkie zalety, i prawie dziwiła się sama sobie, dla czego mogła przenieść innego. Ojciec burczał ją nieraz.

— Cóż robić kochany tatko! odpowiadała dziewczyna z płaczem prawie. Kiedy ja go nie kocham.

— Głupia dziewka!.... mruczał zły pod nosem i co raz częściej uciekał do wieży starosty, i mścił się na starych zbrojach i orężach, któremi ciskał niecierpliwy.

Cześnik był najszczęśliwszym; bo im dłużej taka trwać będzie niepewność, tem dłużej zostanie w domu szczerze przez niego ukochana synowica. Na każdy zaś wypadek był zdeterminowany oddać ją Magnuszewskiemu, w którym cenił światowość i większy majątek. dwie te pozorne zalety, które exmecenasowi imponowały całe życie. A że zwyczajnie jak jurysta miał nie mały popęd do złośliwości, niemógł wytrzymać, by rozmaitemi sposobami nie okazać biednemu Wrońskiemu swojej niechęci, o ile to tylko godzić się mogło z gościnnością, która wówczas była nadto narodową cnotą, by się niej mógł cześnik wyprzeć zupełnie.

Razu jednego, było to pod jesień, czy naumyślnie czy przypadkiem przyszedł na stół harbuz,

do którego złośliwie cześnik namawiał biednego młodzieńca.

— Waść podobno lubisz harbuza! powtarzał nie zważając na błagalny wzrok Hanny zarumienionej po uszy, i na sapanie i rwanie wąsów rozgniewanego rotmistrza.

Po obiedzie odjechał Wroński rozżalony do żywego, i czwałem pogonił do przyjaciela, któremu wszystko opowiedział.

— Nic to! ozwał się tenże na to z nieszczerą dwuznacznością: wszak się dotąd nie oświadczyłeś, więc harbuz żadnego nie ma znaczenia. A z resztą, dodawał z hypokryzyą, wszak ty ją bardzo nie kochasz!...

— Zapewne! odpowiedział Wroński, i odjechał do domu, a po drodze i w domu szumiało mu w uszach: Oj co kocham to kocham! Ale od tej chwili coraz rzadziej odwiedzał cześnika.

Łatwo odgadnąć jaki koniec być musiał. Magnuszewski oświadczył się i został przyjęty jakoś po ś. Michale, a po nowym roku Hanna została jego żoną. Wroński dowiedział się ostatni o oświadczeniu przyjaciela, i to od zupełnie obcego człowieka. Przykro mu się serdecznie zrobiło, ale by rozpaczał bez miary tego nie powiemy, bo romantyczne rozpacze nie były jeszcze w onym czasie weszły u nas w zwyczaj. Ani też pojedynkował się z współzawodnikiem, bo

i pojedynki z powodów romantycznych, nie były się jeszcze u nas tak bujnie rozpleniły, jak to później nastąpiło. Wroński nadto był szlachetny, by się mścić za to, i mścić na kim? oczywiście na Hannie!...

— Ona go kocha! szeptało mu poczciwe serce.

Tyle tylko było jego zemsty, że unikał Magnuszewskiego; a gdy go przypadkiem zdybał, patrzał na niego jakby na nieznajomego.

— Mam słuszny powód nienawidzenia go, mówił nie raz do rotmistrza. gdy się z nim w Czersku lub gdzieindziej zdybał. To też niechcę póki żyje, nic nie mieć z nim wspólnego, ani grobu nawet. I niech mi nie włazi w drogę! powiedz mu to panie rotmistrzu, bo ja nie Włoch by zdradzać, ale Polak by rąbać.

W złej czy dobrej dobie czas przemija zawsze, i zaciera wszystko prawie tak złe jak i dobre, prócz uraz osobistych mianowicie między dawnemi przyjaciółmi, które zda się z czasem zwiększają się,o tyle właśnie, o ile silną była dawna przyjaźń. I nic nadto naturalniejszego, bo każda uraza między przyjaciółmi tem się z czasem większą wydać musi im więcej się zmniejsza i rozrywa ta dawna przyjaźń, i zażyłość, którąby mogła przemawiać za pogodzeniem i urazą w sercu tłumaczyć. Z każdem dniem rośnie to obopólne oddalenie się, ten rozdział dwóch serc, który

sam przez się stając się przykrością większym jeszcze jadem napełnia urażone serce.

Tak się też stało między naszemi bohaterami. W pierwszych czasach choć się nie widywali, ale pomni na dawną zażyłość, więcej doznawali smutku z rozerwania przyjaźnych stosunków, niżeli żalu lub złości do siebie. Pan Piotr czasem tłumaczył pana Jana w poczciwem sercu, a pan Jan czując się winnym, tłumaczył sobie urazę przyjaciela. Lecz im więcej pamiątka dawnej przyjaźni niknęła, tem większą wydała się panu Piotrowi wina pana Jana, którą już w sercu nic nie tłumaczyło, a którą duma obrażona co raz większą wystawiała. Toż samo działo się w sercu i w głowie pana Jana; wyrzut sumienia robił mu tem nieznośniejszem wspomnienie dawnego towarzysza, a powoli zapomniawszy własną winę, lub sam przed sobą wytłumaczywszy, począł się uważać słusznie urażonym, przez to niesłuszne usunięcie się pana Piotra od niego. Jednem słowem uraza obopólna stała się z czasem nienawiścią. Obaj dawni przyjaciele nie przestawali już na obojętnem milczeniu, ale obwiniając się głośno nawzajem, dawali sobie co raz nowe powody do złości na siebie, poduszczani jak zwykle przez bliższych znajomych i przyjaciół, którzy się zaraz skupiają w około jednego i drugiego w stronnictwo.

Tak rzeczy stały, gdy nowe a ważniejsze za-

szły w kraju zdarzenia. Nie jest to rzeczą naszego obrazku, opowiadać dzieje ówczesne znane zresztą wszystkim dobrze. Bo któż nie zna owej smutnej epoki, gdy Karol XII. król szwedzki, ów sławny awanturnik w koronie, któremu spokój był nienawistny, postanowił zrzucić z tronu polskiego króla a elektora saskiego Augusta, a natomiast zrobić królem polskim Stanisława Leszczyńskiego. Wybór nie był złym zaiste, bo Leszczyński pełen był cnót prywatnych i zalet nawet monarszych, czego później dowiódł, gdy nawet w dziejach świata zaszczytne zachował miejsce pod nazwiskiem króla filozofa. Lecz najlepszy król nie wynagrodzi wojny domowej, tego ze wszystkich klęsk, jakie naród trapić mogą, największego nieszczęścia. A z wyborem Stanisława Leszczyńskiego, wyborem zrobionym pod wpływem prywatnych nienawiści do dawniej już wybranego króla, i zbrojnej interwencyi wojska szwedzkiego, musiała nastąpić wojna domowa. Rozbudziły się wszystkie złe chęci, wszystkie złości i zawiązki prywatne, wszystkie zadawniałe kłótnie, nienawiści i pretensye rodzinne; jednem słowem poruszone zostały wszystkie męty, jakie zawsze być muszą w każdym składzie społecznym. Obce wojska stały się narzędziem nienawiści i zemsty prywatnej. Obywatele podzieleni w zdaniach swych trzymając się to jednej lub drugiej strony, korzystali z tego powszechnego

zamieszania, i używali wojsk obcych, aby nienawistnych sobie włością i domy, pod pozorem, że do przeciwnego należą stronnictwa, skazywać na rabunki i pożogi. A i same wojska obce tak szwedzi jak i sasi wojując ówczesnym zwyczajem, który głównie na rabunku polegał, łupiły i niszczyły na wyścigi okropnie. Szwedzi gdzie byli mocniejsi, napadali stronników Augusta paląc i mordując; a gdy nastąpili na ich miejsce Sasi, mścili się sowicie nie przebaczając przyjaciołom Stanisława. Wojna domowa prócz tego ma to jeszcze w sobie najgorszego, że rozbudza wszystkie najgorsze namiętności, i przez to samo, przyprowadza walczących do zawziętości niesłychanej w każdej innej walce, zawziętości tem kary godniejszej, że to synowie jednej matki, bratobójczą prowadząc walkę, krew własną wylewając, popełniają niezaprzeczenie rodzaj samobójstwa, które się takiem prędzej czy później okaże. Najsmutniejszy tego co rzekliśmy przykład podać mogą własne nasze dzieje, w których domowe niesnaski nasze tak obszerne a smutne następstwa bogate zajmują miejsce.

Lecz wracajmy do naszych bohaterów. Łatwo pojąć że pan Jan i pan Piotr, choćby ich inne ważniejsze nie wiodły powody, przez samą już prywatę, w przeciwnych stanęli obozach. Magnaszewski pierwszy oświadczył się za królem Augustem, do czego przyłożyły się może najwięcej względy, jakich

rzeczywiście doznawał od dworu: a potem jako człowiek majętny, żonaty, ojciec rodziny, wolał się trzymać tego co jest, niżeli puszczać się na niepewne hazardy. I stał się tak gorliwym stronnikiem Augusta że w naturalnej każdego konserwatyzmu konsekwencyi, zbrojno nawet wystąpił, by utrzymać Sasa.

— To mu Bóg podał tę myśl, zawołał pan Wroński, gdy się o tem dowiedział. O kobietę nie mogłem, ale o tron to możemy się zdybać w walce z sobą. I zaiskrzyły mu się oczy, gdy w chwili zapału dobył szabli, i przejrzał się w polerowanej stali, która mu łyskawicą na łyskawice spojrzeń odpowiedziała.

— A potem co Piast to Piast mospanie! potakiwał mu rotmistrz Boski, który swoją dawną weneracyę dla Sobieskiego przeniósł na Leszczyńskiego, a Augustowi tego nigdy nie mógł zapomnieć, że wyrugował Sobieskiego ród z tronu im należącego.

— Niegodziwy Sas! nieznam go, krzyczał teraz głośno pan Stanisław Boski, bo prócz zmian politycznych wiele także zmieniło się w prywatnych stosunkach jego.

Zaraz z samego początku, gdy się zabierało na wojnę domową, pan Ignacy mocno się gryzł i przestraszył.

— Kłócić się to rozumiem! mówił nieraz, ale bić się, to oczywiste głupstwo.

Jako prawnik nie lubił krwawych rozpraw,

chyba prywatnych mogących dać assumpt do pieniactwa.

— Arma togae! powinny ustępować, utrzymywał zawsze.

A co go najwięcej bolało, to że się ta wojna przysuwała coraz bliżej do jego okolicy. Jako człek skąpy i chciwy bał się utracić majątek, który cenił nad wszystko. Dosyć że tak się gryzł i przestraszył, że wkrótce obłożnie zaniemógł. Słabym już będąc, co dzień się do tego gniewał na brata, który choć gębą, nie mogąc czem innem, promowował Piasta. Dosyć że się żółć rozlała, i nie chcąc się przez skąpstwo radzić żadnego cyrulika, jak wszystkich doktorów nazywał, coraz było mu gorzej. Po kilkunastu dniach słabości umarł, nie zostawiwszy co wszystkich mocno zdziwiło, żadnej pisemnej woli ostatniej. Rotmistrz wziął po nim majątek.

Pochowawszy go należycie, zdawało się rotmistrzowi, że już wszystko dlań uczynił, co uczynić należało; w wielkie wszakże nie wdawał się żale, ile że się nigdy bardzo nie kochali, i czas nie był po temu.

— Niech sobie w Bogu spoczywa! mówił do Wrońskiego, którego ze wszystkich najserdeczniej kochał. Dla niego mospanie i lepiej. Tam mu spokojnie, a tu by się ciągle gryzł, bo to mospanie

czasy wojenne nastały; to nie dla jurystów i kauzyperdów.

Pierwszem zaś dziełem samowoli pana rotmistrza było, że owe ulubione zbroje i oręże z wieży starosty na dół znieść kazał i najpiękniejszą salę w nie ubrał.

— Jabym rotmistrzowi radził, aby się do niczego nie mieszał mówił pan Piotr.

— Panie Piotrze, ja cię kocham, boś poczciwy chłopiec, ale rozum mam własny i jak tylko wszystko będzie gotowe i konie i rzędy i ludzie, to się przyłączę do partyi króla Stanisława!

— To jest do Szwedów! przerwał pan Piotr z gorzkim uśmiechem.

— Patrzaj go mospanie! a waść że co lepszego robisz?... z tą różnicą, że ja jeszcze nie miałem czasu, i nie mogłem za życia nieboszczyka, a waść mospanie już tam uganiałeś i wojowałeś.

— Uganiałem i wojowałem kochany rotmistrzu, odpowiedział z smutnym przyciskiem. Wojowałem, bo miałem nadzieję zdybać się...

— A z tym Włochem, paniczem!...

— Jest przecie mężem córki waszej! mówił Wrońki co raz smutniej.

— Bo głupia! ja temu nie winien, ja jej mospanie zawsze mówiłem: idź za Wrońskiego...

— Tamtego kochała!...

— Rzucił na nią jakieś włoskie uroki. Ale dobrze jej tak; cierpi za swoje...

— Cierpi?... zawołał pan Piotr; wszak żyją z sobą bardzo dobrze...

— Ot dla oka ludzkiego... Ale paniczowi dom, żona i dzieci nie w głowie; jemu mospanie państwo w głowie i ambicya, jemu się roi kasztelanja, wojewódzkie krzesło, ot próżny i dumny człowiek! zwyczajnie za granicą chowany..

— Ale jest waleczny przynajmniej! Wszyscy mówią, że się bije tęgo.

— A przecie nigdzie go niezdybałeś..

— Nigdzie!... wykrzyknął pan Piotr i oczy jego zaiskrzyły się dawnem gniewu zapałem. Tak Bóg chciał, mówił dalej; a może jeszcze go zdybię... to moja rzecz; ale wy rotmistrzu nie występujcie naprzeciw własnej córki.

— Właśnie ja za nią występuję; ona zawsze tam sama jedna nudzi się i tęskni!... Razem go poszukamy, a damy mu przecie radę... no a jak już takie przeznaczenie panie Piotrze... ja mam majątek — wdówka będzie jeszcze młoda!...

— Panie rotmistrzu! niemów takich słów, bym do reszty nie zmierził sobie tej okropnej wojny...

— Bo to za Piastem przecie...

— Ale wojny domowej zawsze...

— Nie długo mosanie trwać będzie.

W tej chwili wszedł dworzanin pana rotmistrza i przyniósł list jakiś.

— Posłaniec od państwa starościców! rzekł oddając.

Był to list od pani Hanny Magnuszewskiej, donoszący o smutnym wydarzeniu. Jan Magnuszewski, mocno dosyć ranny pod Klisowem, leży w domu. Biedna sama jedna kobieta wzywała ojca, aby przyjechał do niej.

— A co nie mówiłem; już ranny! ozwał się rotmistrz podając przyjacielowi list córki.

— Ranny! zawołał pan Piotr i w pierwszej chwili nie zdołał przytłumić łyskawicy, co mu z oka wystrzeliła; lecz wnet opamiętał się, zamyślił i posmutniał.

— Biedna Hanna! ozwało mu się z cicha poczciwe serce.

— Pan rotmistrz pojedzie do córki? zapytał go po chwili.

— A gdzież ja mogę jechać; oni tam sobie dadzą rady; jak sobie posłała, niech się i wyspi. Z resztą może z dziećmi do mnie przyjechać, bo wiesz przecie że mamy zjeżdżać się na sejmiki celem uznania króla Stanisława.

— Z woli i rozkazu jenerała szwedzkiego Steinboka! dodał Wroński coraz smutniejszy, bo coraz mniej zadowolony ze sprawy publicznej.

Na tem skończyła się tym razem rozmowa, bo pan Piotr wrócił do siebie, a rotmistrz odpisawszy córce, by do niego z dziećmi przyjechała, uwijał się ciągle z przygotowaniami na wyprawę tak sejmikową jako i wojenną. Stary chodził i biegał jakby tuman prawdziwy, oszołomiony zdarzeniami politycznemi i upity żeby się tak wyrazić, wolnością, którą przez śmierć brata po tylu latach niewoli odzyskał.

Zdarzenia tymczasem szły swoją drogą. Wojna domowa wrzała na piękne. Wszystkie wojska skupiały się w okolicy, która naszemu obrazkowi służy za widownię. Wojsko szwedzkie stało obozem pod Czerskiem, dowodzone przez jenerała Steinboka, prawdziwego *Condotieri* owych czasów, który nierozumiał wojny bez srogości, bez rabunku i pożogi. O mil dziesięć dalej stały oddziały saskie, które się zbierać zaczynały na nowo pod Klisowem i snuły się po kraju odbywając rodzaj partyzantki. Obywatele okoliczni opanowani szałem wojny domowej, prawdziwym szatanem co ich głowy i serca pomącił, latali jak szaleni, ci tu, ci tam, do obozów to saskiego, to szwedzkiego, jedni drugich oskarżając i wywołując okropne dla obu stron wdawanie się wojsk obcych. Pobyt w takiej okolicy nie był bardzo bezpieczny, czy dla stronników Augusta, czy dla przyjaciół Stanisława; ci ostatni wszakże chwilowo

byli górą. bo też i górą były liczniejsze a bitniejsze zastępy szwedzkie.

I to było zapewne powodem, że nagle przed starą rezydencyę cześnika, dziś przerobioną przez rotmistrza na rodzaj forteczki, zajechała kolasa i bryk parę, i z niemałem zadziwieniem rotmistrza a większą jeszcze radością, wysiadła córka z trojgiem drobnych dzieci. Biedna Hanna bardzo była zmieniona; zawsze piękna jeszcze, ale w oczach przyćmionych znać było smutek jakiś, znać było łzy częste, te wrogi najzaciętsze kobiecej piękności. Hanna nie była tak szczęśliwą, jak sobie roiła w dziewiczej duszy, gdy oślepiona spojrzeniem ognistem pana Jana, z bijącem radością sercem szła do ołtarza. Pan Jan Magnuszewski kochał żonę dotąd a co więcej szanował ją, poznawszy jej prawdziwie szlachetne i poczciwe usposobienie, ale oczywiście po roku czy dwóch małżeństwa nie mógł zachować tych przesadnych i romantycznych uczuć, które pobudzone jego ognistem temperamentem i nawyczkami za granicą przybranemi olśniły swym cudnem blaskiem prostoduszną dziewczynę. Ona myślała idąc za pięknego Jasia, że całe życie bujać będzie po tych poetycznych obszarach pełnych cudów i uroku, które jej Magnuszewski przez czas starania się odsłonił, trwoniąc dla przypodobania się dziewczynie wszystkie skarby swojej bogatej wyobraźni, pod włoskiem niebem wybujałej i włoskiemi pieśniami kar-

mionej. Kobieta zaś gdy raz pójdzie na tę drogę złudzeń, ku której i tak ciągnie jej usposobienie, już z niej zejść nie potrafi i w prozie koniecznej życia stratę poetycznych złudzeń opłakuje, jakby stratę wszelkiego już dobra wszelkiego szczęścia. Dla tego Hanna nie czuła się zupełnie szczęśliwą i nieraz w chwilach samotnych, a takich chwil było coraz więcej, przychodziło biednej na myśl, że stokroć byłaby szczęśliwszą poszedłszy za mniej pięknego i mniej poetycznego pana Piotra, bo ten nie byłby jej wprawdzie otworzył nieznanego pełnego urojeń świata, ale by też był go nie zamknął przed nią i byłby nie tak może gorąco przez chwil kilka, ale kochał ciągle i bez wszelkiej zmiany. Kochała ona zawsze męża swego, i zarzucała sobie chwilowe myśli takie, ale nie mogła nie czuć tego i nie widzieć, że ona niczem nie jest w życiu męża, którego niespokojne usposobienie i namiętny charakter, nie mogą się wiecznie zajmywać jednem ładnem, ale chwilowem tylko cackiem.

Zapłakana przyjechała do ojca, bo jej to było przykro w głębi serca, że ją sam mąż wyprawił do ojca. Rozsądek jej mówił, że mąż zrobił to właśnie przez szczere do niej i dzieci przywiązanie.

— Tam będziecie bezpieczniejsi! mówił do niej na pożegnanie. Ja wyzdrowieję i sam, a będę o ciebie i o dzieci spokojniejszy.

Ale serce, to serce zepsute przedślubnem rojeniem, nie mogło być zadowolone. Ona wolała by przebyć najwyższe niebezpieczeństwa, byle widziała, że się mąż bez niej obejść nie może.

Rotmistrz ucieszył się widokiem córki, nawet rozczulił na godzin kilka, ale wnet wrócił do swoich przygotowań wojennych, któremi prawdziwie stare dziecko bawił się ciągle. Widząc smutek córki, mówił jej czasem prosto z mosta:

— Wszystko to przez tego zapalonego Włocha. Ale on podobno mocno ranny. Bóg wie co robi. Zobaczysz pana Piotra, jak on tęgo wygląda. To mi człowiek, to mi chwat!... i Piasta utrzymuje, nie jakiegoś tam Sasa. Zobaczysz go Hanusiu moja! dodawał z uśmiechem, on ma do mnie dziś jutro przyjechać.

— Ja go widzieć nie będę; odpowiedziała Hanna poważnie. Za twojem ojcze pozwoleniem zostanę w swojej izbie.

— To ci pewnie mąż nakazał.

— Nie ojcze! on sam nadto szlachetny, aby nie ufał mojej prawości.

— Róbcie co chcecie!... ja nie mam czasu gadać z babami! zawołał rotmistrz i wybiegł na dziedziniec, gdzie gwałtem chciał poddanych swoich poczciwych Mazurów wykierować na tęgich kawalerzystów.

Słusznie Hanna powiedziała, bo panu Janowi

ani przez myśl nie przyszło, że może się u ojca zobaczyć z dawnym swoim wielbicielem. Był jak mówiła Hanna za nadto szlachetny, a może czego się niedomyślał, za mało już dbały o tę tak gorąco pierwej ukochaną Hannę. On był do niej przywiązany jako do matki dzieci swoich, jako do poczciwej kobiety, ale grzechem i nieszczęściem jego żywota, była ta namiętna niespokojność jego duszy i umysłu. Życie domowe nie mogło mu wystarczyć, a więc z całą namiętnością rzucił się na burzliwe morze życia publicznego. Ambicya rozbudziła się w nim, ta ambicya, która jest najwytrwalszą namiętnością, bo najwięcej daje żywiołu niespokojnym burzy ciągłej pragnącym umysłom.

Po wyjeździe żony rad był, że ona i dzieci już bezpieczne, ale ani myślał o niej, a może nawet umyślnie się jej pozbył, aby nie zawadzała jego marzeniom, aby lamentem kobiecym nie przeszkadzała cierpiącemu. Leżał na łożu blady i męczony cierpieniem, bo mu cyrulik musiał kulę wyjmować z ciała i marzył niecierpliwy o wyzdrowieniu.

Utrzymanie Augusta przy tronie, to było marzenie jego ambicyi. W ustalonym Sasa tronie przewidywał wszelkie dla siebie zaszczyty.

— Żeby nie ta głupia rana! mruczał sam do siebie dzień i noc.

I krzyczał na cyrulika, krzyczał na dworzanina,

co koło niego siedzieli, zarzucając im, że go umyślnie w łóżku trzymają. Taki niepokój nie pomagał kuracyi, to też przez kilka dni po wyjeździe żony było mu gorzej, o czem dworzanin posłańcami donosił pani swojej.

Biedna kobieta gryzła się tem więcej, że jej utyskiwania ojciec przyjmował z pewnym uśmiechem, który ją bolał, jakby wyrzut własnego sumienia.

— Coraz mu gorzej! mówił rotmistrz do pana Piotra. który go odwiedził, by z nim razem na konwokacyjny sejmik pojechać.

— Gorzej! odpowiedział pan Piotr zamyślony z niepewnym wyrazem. On mimowolnie marzył o tak szczerze kochanej Hannie, którą widzieć nie mógł.

— Boi się go głupia kobieta! powtarzał rotmistrz patrząc na Wrońskiego ze znaczeniem.

Pan Piotr nic na to nie odpowiedział, jeno zamyślony patrzył przez okno.

— Jakiś tuman kurzu widać na drodze; zawołał nagle. Poczet zbrojny jedzie!.. dodał po chwili.

— To Szwedzi! zawołał rotmistrz patrząc także przez okno, a głos jego był niby wesoły, chociaż starowina poskrobał się w głowę.

Już i jemu zaczęli się naprzykrzać ci goście wymagający za nadto.

Po chwili wszedł szwedzki oficer, młody jeszcze ale mocno zarosły, z rudym wąsem ogromnym i

wyrazem dzikim na twarzy. Był to prawdziwy żołnierz owoczesny, bez litości wszelkiej, zdolny wypełnić rozkazy najokropniejsze, byle tylko wyszły od starszego.

Miał z sobą szlachcica jakiegoś zagonowego wpół pijanego, który mu służył za tłumacza. bo Szwed ani słówka po polsku nie umiał; on umiał tylko polską ziemię łupić po szwedzku.

— Jestem rotmistrz Goldstiem; rzekł przez tłumacza.

— I przyszedłem tu u was odpocząć, mówił dalej, bo mój jenerał zapewnił mi, że wy szwedzki przyjaciel.

Rotmistrz kłaniał się a kłaniał, i kazał przyrządzić śniadanie.

— Dla mnie i dla mego szwadronu! mówił Goldstiem pokręcając wąsa. Tylko żeby wszystkiego było dosyć, bo wy Polacy to lubicie wszystko chować i przed wrogiem i przed sprzymierzeńcem.

— Ale gdzież tam! tłumaczył się pan Stanisław.

— Nam to wszystko jedno! ciągnął wąsaty szwed dalej stawiając wściekłego marsa; bo my potrafimy znaleźć, choćbyście jak schowali. Tylko prędzej! bo my mamy jeszcze drogę przed sobą.

— I gdzież, jeżeli wolno spytać? ozwał się pan Stanisław.

— A z wizytą! odrzekł Szwed i dzikiem parsknął śmiechem, aż nawet rotmistrz zadrżał.

— Z wizytą, powtórzył Goldstiem, do jednego z waszych: spodziewam się że będzie rad. Znają w całem wojsku naszem i zna jenerał Steinbok, który mnie wysłał jakie to są moje wizyty.

— Do kogoż, pytał rotmistrz stary dalej.

— Do Magnuszewskiego! ryknął ze śmiechem rudy Szwed.

— Do niego? mruknął rotmistrz.

Pan Piotr nic nie rzekł, jeno wypatrzył się na Szweda i natężył ucho.

— Niechciał przyjechać na sejmik zwołany przez naszego jenerała, z woli najjaśniejszego króla naszego, który wam Polakom chce z łaski swojej dać króla; a więc ja jadę do niego.

— On ranny podobno! ozwał się rotmistrz.

— To właśnie gorzej dla niego, bo on ranny, gdy się odważył wystąpić zbrojno naprzeciw nam. Już ja mu dam za to! Mnie przywołał jenerał Steinbok, a to wielki jenerał, pierwszy po waszym królu, a ja po nim pierwszy, bo on mnie zna dobrze. I powiedział mnie jenerał tak: weź szwadron z sobą i wpadniesz na dom tego rebelizanta Magnuszewskiego i spalisz mu dom i spalisz mu wieś; a zabierzesz wszystko bydło i wszystkie konie i każesz mu zaraz zapłacić dwa tysiące złotych dukatów, za karę jego

przychylności widocznej do nieprzyjaciela naszego króla, do tego saskiego Augusta, który się śmie nazywać królem, wtenczas, kiedy my tu innego przyprowadzili króla; a jego samego tego buntownika Magnuszewskiego przystawisz mi do mojego głównego obozu.

— I ja to zrobię! i ja go przystawię! dodał po chwili z dzikim śmiechem, potrząsając głową i pokręcając rude wąsiska.

Pan Stanisław spojrzał z ukosa na pana Piotra i sam nie wiedział, jaką tu przybrać minę.

Pan Piotr zaś miał oczy spuszczone w dół i nikt się też domyślić nie mógł, co ma na myśli.

— No dawajcie prędzej jeść i pić! wołał Szwed głosem rozkazującym, jakby w kraju był zabranym i zawojowanym.

Służba weszła wnosząc do sali stoły i jadło rozmaite. — W tej chwili zamieszania przybliżył się nagle pan Piotr do pana Stanisława i ścisnąwszy go za rękę szepnął mu do ucha:

— Bądź zdrów panie rotmistrzu! ja odjeżdżam...

— A gdzie?... spytał rotmistrz patrząc ciekawie na mówiącego.

— Jadę przed wami na sejmik!.. wy macie gości! spodziewam się, że potraficie uraczyć takich gości, jak się należy; ale oni się uraczą i sami.

— Co on zamyśla?.. pytał się pan Stanisław sie-

bie samego; on jakoś dziwnie mówi: czy nie myśli on przy tej sposobności zrobić obrachunek z tym Włochem.

Pan Piotr wyszedł i dopadłszy konia, a był to dziarski koń prawdziwej rasy polskiej, puścił się gościńcem. Ledwie pominął bramę, puścił konia jak szalony i leciał wiatrem, burzą, łyskawicą; leciał jak wściekły, aż się chmury piasku z ziemi aż pod niebo podnosiły. Czas jakiś jechał gościńcem, lecz ledwie lasek przeminął, puścił się na przełaj, a puścił czwałem, bijąc konia w bok nogą i ostrogą. Szkoda konia! bo i żaden na świecie koń tak szalonej nie wytrzyma jazdy; trzeba na to ludzkiej namiętności.

Zostawmy go tak goniącego, i wróćmy do Szwedów zmiatających śniadanie im podane. Oni nie tylko jedli, choć jedli ogromnie, jak prawdziwe sałdaty najezdnicze, których żołądki bywają nienasycone. Oni pili jeszcze więcej. Pili jakoby prawdziwe kufy bez dna. Zdawali się mieć pragnienie niczem nienasycone. To szczęście, że pan Stanisław miał piwnicę dobrze zaopatrzoną. Jakkolwiek zawsze gościnny, ale zaczął się już skrobać w głowę. Najwięcej podobał się Szwedowi stary miodek nieboszczyka cześnika.

— To jedno u was Polaków najmądrzejsze, ten wasz miód! powtarzał z ukontentowaniem.

Dobrze już było ku wieczorowi, gdy wyruszyli przecie Szwedzi pijaniuteńcy. Rotmistrz popatrzył za niemi kiwając głową i jakkolwiek Włocha, jak Magnuszewskiego nazywał, nie lubił, żal mu się go przecie zrobiło.

Rotmistrz Goldstiem jechał na przodzie, i co chwila był gorszy i gniewliwszy; najwięcej mu zawadzało, że musiał porzucić dobry miodek; postanowił też zemścić się za to na Magnuszewskim, jako najwinniejszym w tej mierze.

Ale dobrze to mówią, że człowiek strzela, a pan Bóg kule nosi. Zmrokiem zbliżyli się do włości pana Jana.

Nagle ozwał się strzał. Upadł rajtar szwedzki jadący w świcie rotmistrza.

— Co to? krzyknął przeraźliwie Goldstiem pełen gniewu. Ten rebelizant chce się bronić jeszcze. Naprzód! siekać! zabijać! mordować! co tylko nadybiecie!...

Nowe padły strzały. Krzyki i jęki rozległy się po pustym obszarze.

— To Sasi! krzyknęli Szwedzi!

— Sasi! zawołał Goldstiem; a oni tu zkąd?

— Ktoś ich musiał uprzedzić! zawołał inny.

Kusa była rada. Przeklinając i wściekając się ze złości, musieli się cofnąć Szwedzi, i to co prędzej, bo siła Sasów była przemagająca.

Rotmistrz Goldstiem wysypał całe bogactwo luterskich zaklęć, przysięgając sobie, że dowie się, kto mu tego figla wypłatał i że się zemści na nim srodze. Toż samo powtórzył sam jenerał Steinbok, który nie mógł się uspokoić i rotmistrza nałajał sowicie. Jenerałowi nie tyle szło o Magnuszewskiego osobę, ile o owe dwa tysiące dukatów; a szwedzki jenerał był wielkim dukatów amatorem. Nie szło mu wcale o stronę polityczną tej wojny, i było mu to rzeczą obojętną, czy Stanisław czy August panuje w Polsce; jemu szło o stronę finansową; by kabzę swoją napełnić wyłupionem złotem.

Nie długo też zostało tajemnicą, kto Sasów uprzedził. Już rajtary szwedzkie pijące na dziedzińcu u pana Stanisława Boskiego zauważali szczególny pośpiech, z jakim tak nagle wyjechał Wroński; a wracając z nieudałej expedycyi znaleźli niedaleko od wsi pana Jana Magnuszewskiego rozciągniętego konia, po którym poznali, że do jakiegoś bogatego należał szlachcica. I w krótce pokazało się, że to koń naszego stolnikiewicza. Pan Piotr to, mimo nienawiści i słusznej, jaką miał do Magnuszewskiego, nie chcąc korzystać ze sposobności, jaka mu się do zemsty nastręczała, poruszony szlachetnością, skoro dowiedział się o niebezpieczeństwie grożącym Magnuszewskiemu, nie zważając na nic, poleciał wprost do posterunku saskiego o parę mil odległego i

Miejska Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

Spis rzeczy.

	Str.
Ostatnie lata Stanisława Augusta	3
Kto się w opiekę podda Panu swemu	17
Tatary pod Zbarażem	37
Zgoda, powieść historyczna z dziejów Lwowa	49
Wtargnięcie Turków do Galicyi w r. 1498	61
Zamek nad Bugiem	73
Moje wspomnienia	89
Polska szlachetność	176

Wyższa Szkola Pedagogiczna
w Kielcach
BIBLIOTEKA

285971 2H

Biblioteka WSP Kielce

0011776